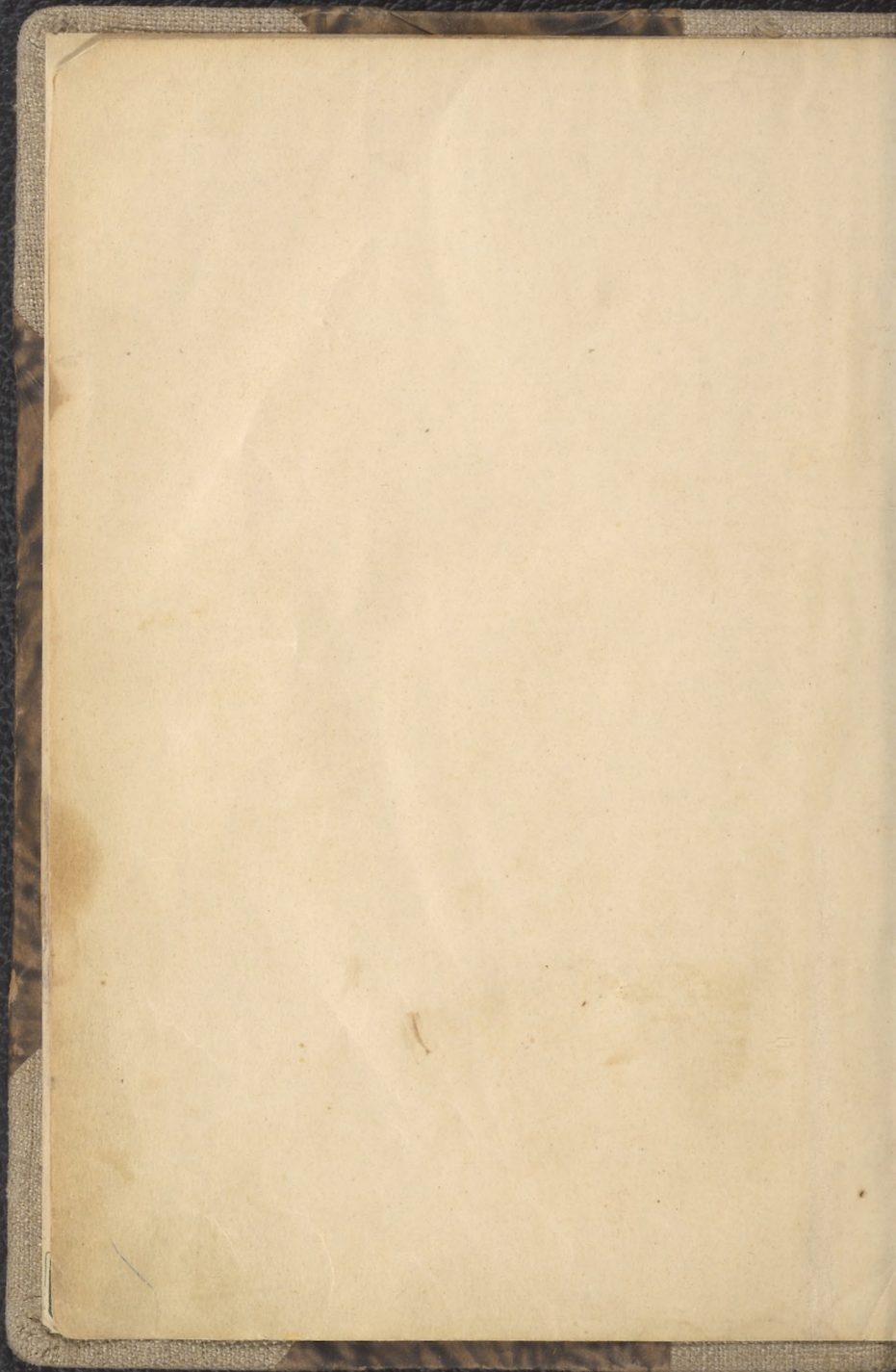




ZDZISŁAW SZAFRANEK
WARSZAWA - KOSZYKOWA 26
GMACH BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ

ZA USZKODZENIA KSIĄŻKI,
NIEODNOTOWANE NA TEJ KARTCE
PRZEZ BIBLIOTEKARZA,
ODPOWIADA CZYTELNIK.

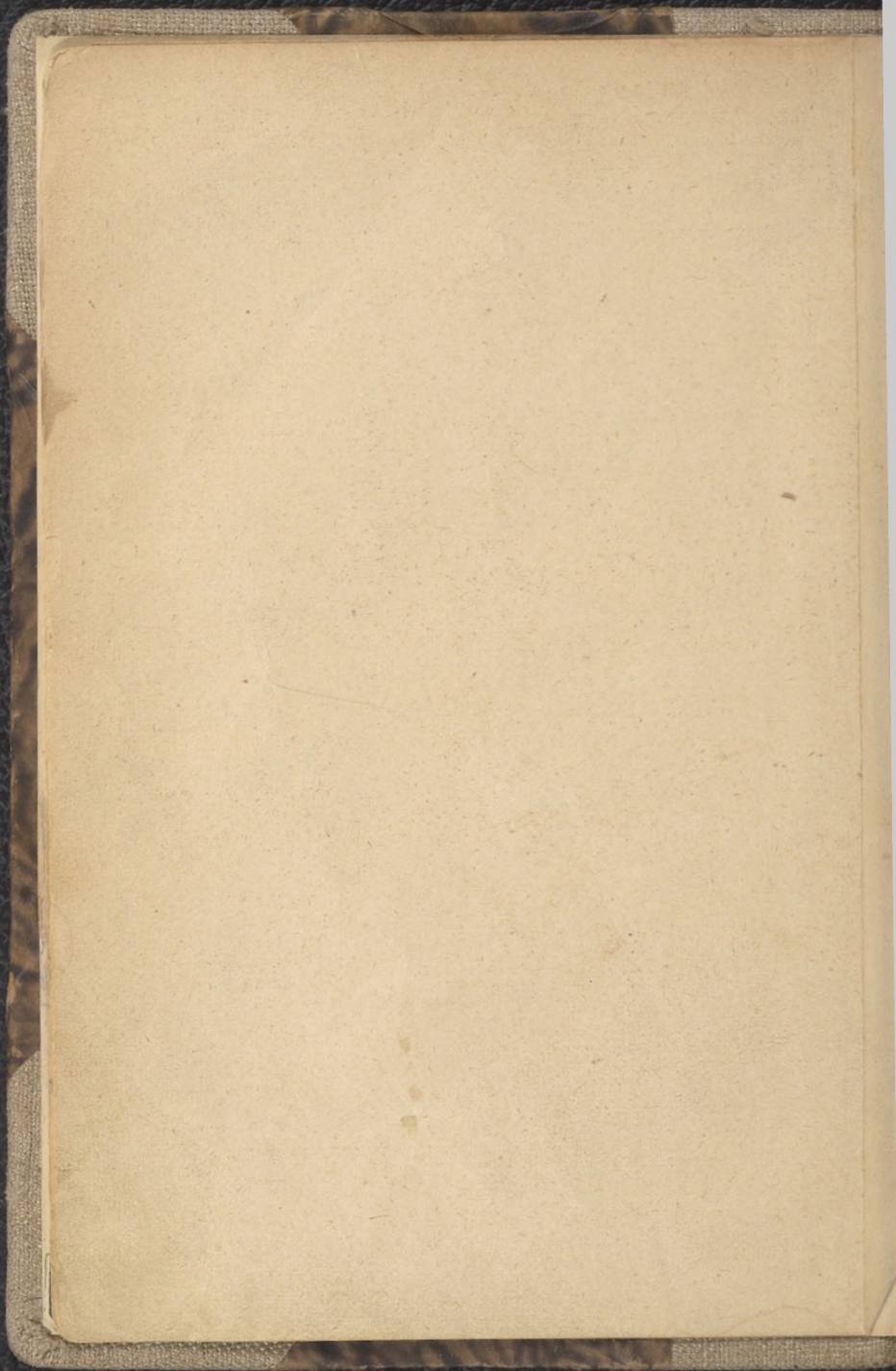


PRZED JUTREM

30

7

11 90



*Aut. 1936
31/11*
GUSTAWA JARECKA

PRZED JUTREM

30432

POWIEŚĆ

WARSZAWA — 1936
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

Wydano z dubletów
Bibl. Publ. m. st. W-wy

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001016541724



Drukarnia
„Monolit”
Warszawa
Elektoralna 3
Telefon 5.81-92



I 238.941

1962 W-691 | 20

Tego dnia, pierwszy raz od dwóch tygodni ruszyła fabryka. Ożył budynek fabryczny, biuro i dziedzińiec. Ludzie szli w tę stronę, otwierali furtę od ulicy, gdzie stopy natrafiały zaraz pierwszy, pojedynczy, równo z ziemią prawie starty, kamienny stopień przed wejściem.

Fabryka jest na Częstochowskiej, tam, gdzie kończy się miasto. Obok jeszcze szeroką ulicą biega szynny tramwajowe, jeszcze są sklepy spożywcze i bar, a już z boku wybiegła mała, niebrukowana uliczka, o nazwie, której nikt w mieście nie zna i sięga puste, niezabudowanej przestrzeni, kresu miejskiego życia.

Na Częstochowskiej rozsiadły się fabryki. Daleko od śródmieścia, gdzie plac jest tani i niema mieszkalnych domów.

Be-Te-Ha, gwoździe drut. Olkowski i S-ka, przetwory smołowcowe i Nonplus, grzebień.

Ostatni, mały ciemno czerwony budynek z cegły to Nonplus. Na wysokiej, żelaznej furcie grube, okrągłe złote litery. Nonplus ultra.

Nikt na ulicy Częstochowskiej nie czyta napisu. Wszyscy wiedzą zwyczajnie. Gdzie robisz? W Nonplusie.

Przez cztery dni w tygodniu, o siódmej rano blisko stu ludzi przestępuje, ściera kamienny stopień przed furtą.

Przez trzy pozostałe dni, nieliczne tylko stopy wędrują tędy. Nonplus zastyga w milczeniu. Obok odległym szumem oddychają Be-Te-Ha- i Olkowski.

Po trzech szerokich, kamiennych stopniach na prawo, jedyny człowiek zmierza do biura. W innych dniach przed furką, na jezdni, w błocie uliczki toną koła czarnego Forda, Nonplus drży szumem pasów i ostre zgrzytami kół. Przez podwórze na parter, na pierwsze piętro wchodzi ludzie.

Na parterze jest szlifiernia. Okna zasnutę grubym pokładem mialkowego pyłu. W kuczki przed gałganami nawiniętymi na ramy siedzą mężczyźni i kobiety. Szorstkie grzebienie migają w szarości miękkich, pyłem, szeleszczących szmat. Ich surowa, zielonkawa żółta powierzchnia poleruje się. Tu pracują sami wykwalifikowani.

W drugim pokoju przy piecach zwyczajni dniówkowi topią, zmiękczają rogowe płyty. Ciepły, duszny swąd zwierzęcego tłuszczu płynie stamtąd.

Żeby się słyszeć nawzajem, trzeba przekrzyczeć szum. Więc poprzez szorstkie, jednostajne tarcie gałganów o róg, wołają do siebie:

— Powiadają, że piąty dzień będziemy robić. —

— Kto powiada? —

— Majster gadał. —

— Zaś tam. Trzeci tydzień zaliczki dają same. —

Co chwila urywa się rozmowa. Trzeba liczyć. Po śpiech. Tempo. Wszyscy robią na akord. Na pierwsze piętro wiodą schody wydeptane bez miary, drewniane, ku środkowi zgięte, przysypane pyłem rogowym,

ale nie tym cienkim, ostrym ze szlifiarek, ale tłustym, lepkiem, który sypią fajlarki. Kosztowny pył sprzedawany do fabryk sztucznego nawozu.

Głębokimi haustami wchłaniają go chciwe płuca. Otworzyć drzwi, a już otula jego obłok.

Wirówki, które wycinają zęby w małych grzebykach huczą, kamienne koła fajlarek zgrzytają przeciągle. Ledwie można przekrzyczeć ich łoskot, kiedy są w ruchu. Zdania wykrzykuje się jak depe-sze.

— Nie wiecie kiedy pogrzeb Rosiakowej Helci? —

— Ona dziś po pieniądze miała przyjść. —

— Taki koszt. I dzieciaka szkoda.. —

Tylko na chwilę w ciągu dnia zagląda właściciel, pan Zienkiewicz. Kontrola surowca, krótka lustracja. Więcej nie trzeba. Wszyscy robią na akord. Mężczyźni przy fajlarkach, kobiety od wirówek.

Palce nabrały jedynych, przedziwnych ruchów, oszczędzone jest każde zbyteczne zgięcie.

Ćwierć niepotrzebnego ruchu na sekundę. Oszczędność, piętnaście ruchów na minutę. Pośpiech. Palce migają, grzebienie padają na stół.

Powszedni dzień Nonplusu upływa spokojnie. Tylko czasem, rzadko, zdarzenie jak klin wbija się w jednostajność. Tak jak owego zimowego dnia, kiedy na podwórzu nie wiedzieć skąd wzięło się zamieszanie.

Kobieta w rozpiętym palcie wybiegła z biura. Za nią jeszcze ktoś. Urzędnik. Szarpnęli parterowe drzwi

szlifiarni. Poprzez łoskot rozbijanych płyt rogowych, kobieta zawołała ochryple.

— Niema pana Zienkiewicza? —

Obojętnie z nad gałganów ludzie pokiwali głowami — Nie. —

Wtedy po schodach pobiegli w górę. Pył sciszał łoskot kroków, huk maszyn zagłuszył wołanie. Drzwi szarpnięto naociecz, przeciąg porwał tumany kurzu. Pierwszy odwrócił się Zienkiewicz, za nim inni utkwili oczy we drzwiach.

Kobieta w palcie z gołą głową i jasnemi, potarganemi włosami stała w progu dysząc — Proszę pana...

Wtedy wszyscy odgadli, każdy wiedział, że tak przychodzi nieszczęście. Poblądły Zienkiewicz dopadł jej jednym skokiem. Służąca z domu.

— Co się stało? — wyjąkał.

— Pani, nasza pani... —

— Prędeej.. —

Wtedy ręce w szerokich rękawach palta podniosły się i dotknęły twarzy w śmiertelnem przerażeniu i głos przekrzyknął szum pasów:

— Z okna się zrzuciła, o Jezu.. —

Wdół po schodach popędziły kroki. Jakby jeszcze coś można naprawić, czy uratować. Zienkiewicz tak jak stał, kobieta za nim.

Wiatr sam zatrzasnął drzwi sali, w której nieprzerwanie dudnił wrzaskliwy hałas wirówek. Ruchy ludzi osłabły. Co trzy minuty tuzin. Tuzin dwa grosze. Z minuty na minutę rosną straty. Słowa jak depesze iskrowe przekrzykują szum pasów.

Od wirówek stara Pawlakowa wołała wprawnym, wysokim głosem.

— Patrzenie państwo. Zeskoczyła. Z okna. O Jeny, dlaczego to taka? —

Gładko uczesane, przedziałem rozdzielone, rzadkie włosy wychylają się spod chustki. Pod przysypanemi pyłem brwiami mrugają małe, szare oczy.

— Dlaczego? Że też ludzie, co mają takie życie jedwabne z okien skaczą. —

— A dzieciaka ostawiła, no.. —

— Ze zbytów chyba — woła Andzia Sikora i kaszle swoim miękkim, wilgotnym kaszlem. Sporo ludzi zgóry to „piersiowi“.

— Ale stary poleciał, no.. —

Stary Pawlak złamał grzebień. Za cienki był. Zakłął. Jego usta, w których tkwią ostatki żółtych, ciemnych zębów, głębokiem basem górują nad wszystkim.

— Dziury w niebie nima jak człowieka ubywa, ino górka na ziemi. —

Ktoś przypomniał sobie, że czas ucieka, za nim inni. Ręce ożywiły się, ludzie umilkli. W zaciętej uwadze odrabiają stracone tuziny.

Kamienne koła fajlerek zgrzytnęły głośno i przeciągle. Cienki głos Andzi Olszewskiej, która przypomniała, że jutro pogrzeb Rosiakowej Helci zginął jak bzykanie muchy.

Wirówki wyrzucają tuziny grzebyków ze zwyczajnego krajowego rogu. Z jednej strony rzadkie,

grube zęby, z drugiej cienkie, gęste. Fajlarki wygładzają szorstki róg.

Na wielkim stole w rogu sali Pelagja Jakubiak z trzema palcami u jednej ręki układa długimi rzędami grzebienie. Byle prędzej.

Po dwóch dniach wróci do roboty Rosiakowa (dwa dni zarobku w tym tygodniu). Po dwóch tygodniach przyjdzie posiwiaty lekko Zienkiewicz.

Przez cały czas Nonplus wykonywał wszystkie zamówienia. Może znów będzie się robić pięć dni.

Inne prawo niż życie i śmierć rządzi Nonplusem.

Tego dnia stała przed domem na Wspólnej karetką Pogotowia. Głośna, krzykliwa trąbka na ulicy, ciałło na bruku. Ruda krew zaschła na kamieniach, okrągłemi; żrenicami plam po godzinach jeszcze patrzyła ludziom w oczy.

Tajemnica wyrwała się przez okno, należała już do całej kamienicy, do ulicy, do miasta.

Bo to nie było to samo, jak kiedy dyskretnie z okna klatki schodowej zdarzało się skoczyć służącej, albo przechodniowi z nieznanym ulicy, którego historję opowiadało wylewnie, nieproszone ubranie i twarz.

Odsłoniwszy tak bezlitośnie spokojne mieszkanie na trzecim piętrze, Jasia, Janina Zienkiewicz nie miała pogo wracać do niego schodami. Na noszach przeniesiono ją do karetki i już pierwsze odgłosy trąbki były jej marszem żałobnym. W ciągu długich

następnych godzin jej rodzina błąkała się bezradnie po pokojach wyziębłych i pustych. Do wieczora czynili to bez celu i ciągle nanowo ktoś wybuchał płaczem. Potem (kto właściwie pierwszy?) ktoś wyciągnął szufladę jej stolika. Jedną i drugą. I już w pewnej chwili szukali wszyscy. Mąż, matka i siostra.

Ale szuflady milczały. Zawsze trochę niedbała i roztrzepana, skruszona w przedśmiertniej godzinie, uprzątnęła Jasia do czysta, zostawiła tylko fotografie i listy, które znali wszyscy.

Był tam najczęściej ich syn, Stefanek, niemowlę z jasnymi włoskami, mały niedźwiadek na saneczkach i chłopiec w marynarskiem ubraniu.

Pótr, jego ojciec, niezręcznymi rękami wyrzucał te zdjęcia, a z nimi kołnierzyki i chusteczki, przedmioty pachnące ulatniającą się wonią mydła i perfum, które leżały tu niegdyś. Ale nigdzie nie było śladu tego, co sprawiło, że Jasia górną drogą przez okno opuściła swój dom.

Matka z podpuchniętymi oczami w zniszczonej twarzy płakała rzadkimi łzami na poręczy fotela. Szukała najmniej. Wszystko jedno. Jasia uczyniła coś gorszego niż to, że umarła dobrowolnie. Trzeba było cierpieć i wstydzić się w milczeniu wszystkich, nawet zięcia.

Marja pomagała Piotrowi z gorączkowo czujną uwagą. Znaleźć w porę i zniszczyć. Jej łzy wilżyły stare rękawiczki z szuflad, na szczęście nic więcej.

Jeszcze po raz ostatni w mieszkaniu było wszystko jak dawniej. Jasia trwała jako ośrodek wszystkie-

go, co się działo. Nieład w pokoju, firanki, które należało już zmienić (a więc były już oznaki), wszystko było przepojone nią samą.

Spod palców Piotra besilnych, zmęczonych szukaniem wymknął się pierwszy jasny lok Stefanka zapakowany w miękki ze starości papier. Trzeba było porzucić szukanie i znów płakać zdumionymi oczami, które jeszcze nie rozumiały nic, tak, jak na górze w fabryce, kiedy wtargnęła wiadomość:

— Pani. Nasza pani z okna.. —

Tylko mały Stefan, jedyny syn, wczoraj przezornie wysłany do dziadków, nie wiedział jeszcze, że nie miał matki.

Długo ociężałe siedzieli na swoich miejscach. Czas, w którym zatrzymał się cały bieg życia, kapał tykaniem zegara. Ale im było wszystko jedno która godzina. Niedomknięte szuflady wytrzeszczały lśniące, drewniane zręby. Trwało to tak długo, aż Piotr uwierzył, zrozumiał ostatecznie, że coś nieodwołalnego ukryło się przed nim, tak długo, aż Marja musiała wstać i w przedpokoju rozległ się dzwonek, a potem kroki.

Siostra Piotra, wysoka, tęga, podobna do niego, jasnowłosa z zapłakanymi oczyma i wargami, które już drżały, kiedy rozpięła pierwszy guzik palta, weszła do pokoju. Podeszła do niego i stanęła przy jego fotelu.

— Piotruś — szepnęła i rozplakała się. Palto spadło na podłogę.

Obie kobiety odczuły to przyjscie natychmiast ja-

ko wtargnięcie zewnętrznego świata w ich własną sprawę.

— Muszę pójść — rzekła Marja.

Na jej twarzy łzy wyznaczyły palącą, zbolałą smugę. W trzydzieści pięć lat płacz nie przynosi już ulgi, ból nie spływa razem ze łzami. Ale poza tym domem osieroconym i już obcym, był jeszcze inny, własny i Marja musiała pójść.

Ale kiedy tylko zamknęła drzwi nieodłącznie przywarło do niej wspomnienie Jasi. Jak wyglądała żywo i młodo, jaki miała dźwięczny głos i proste ruchy i jak za odległych lat w domu niedbale wyciągała nici z kłębka tak, że plątała wszystkie pozostałe i zostawiała je potem innym. A oto był właśnie jej splątany kłębek. Marja nieoczekiwanie ze zgrozą pomyślała o własnym dziecku, o swojej córce i niespokojnie szukała myślami, jaka ona jest?

....Od pół godziny Zocha udawała, że śpi i leżąc cicho z zamkniętymi oczami czekała na matkę. Nie było jej jeszcze o dziesiątej. Ojciec zjadł już kolację. Jadł ją zresztą potrochu. Widocznie chciał czekać, ale nie wytrwał. Zocha długo udawała, że ma mnóstwo lekcji. Przeczytała nawet to, co zadano na pojutrze, ale o wpół do dziesiątej trzeba było iść. Niewygodna to rzecz ojciec lekarz, zważający na ilość godzin snu.

W domu panował niezwykły nastrój. Ciotka Jasia nie żyje. Jutro pogrzeb. To straszne, ale to jeszcze nie wszystko. Wiadomo, wyraźnie, że jest jeszcze coś.



Nie było lekarzy, ani choroby, ani katastrofy, była tylko śmierć.

Dlatego powieki, które codzień spadały tak prędko na zmęczone oczy, dziś czuwały uparcie: nie zasnąć.

Przez uchylone drzwi stołowego wpadało pomarańczowe światło, cedzone przez wielki abażur. Ojciec z szelestem przewracał stronicę gazety i ziewał. Nie przywykł siedzieć wieczorami w domu. Dwa razy szedł do telefonu i łączył się z kliniką, żeby pytać o swoich pacjentów. Potem znów gazeta szeleściła i zegar w wysokiej dębowej szafce stukał glucho. Coraz trudniej było pamiętać, że niewolno zasnąć. Ale w pewnej chwili zadzwoniono u drzwi przeciągle, potem zbliżyły się kroki, ojciec wstał i choć nie było słyhać słów, Zocha wiedziała już, że matka była w domu.

— Musisz odpocząć i uspokoić się, Marysiu — powiedział ojciec bardzo łagodnie.

— Nie, nie — odrzekła matka ochryplym głosem — posiedzę chwilę. —

I znów łyżeczki cienko dzwoniły o dna szklanek. Głos ojca było słyhać doskonale, ale matka mówiła urywanie i bardzo cicho.

Dlaczego to zrobiła? — zapytał ojciec.

— Wolę sama nie wiedzieć, byle inni też nie wiedzieli. Nic nie wiemy. —

— W gruncie rzeczy — odparł ojciec — u Jasi to jest do pewnego stopnia nieistotne dlaczego. Miała

za słaby kościec psychiczny, jeżeli można tak powiedzieć. Taka miła i ładna, taka młoda.. —

— Była lekkomyślna — rzekła gorzko matka.

— Nie, to nie to. Nie umiała sobie poradzić nigdy ze swojemi sprawami. Myślała, że świat nie może się obejść bez prawdy o jej życiu, a do tej prawdy miała naiwny stosunek. —

— Skąd ty wiesz, że tak było? — spytała głośno matka.

— A czy ty myślisz, że było inaczej? —

— Życie jest niesprawiedliwe — wybuchnęła matka gorzko — kobiety zawsze żyją gorzej niż mężczyźni. —

Było wyraźnie słychać urywane szlochanie między słowami.

— Marysiu, musisz się uspokoić. Trzeba pomyśleć, co ze Stefkiem i żeby Zosia nie usłyszała czego. —

Telefon zadzwonił. Zdaleka Zosia słyszała jak ojciec mówił. — Zaraz będę. —

Matka została sama przy stole. W pewnej chwili Zosia ją chciała zawołać. Bała się. Tego, że ciocia Jasia nie żyła, że to właśnie było „tak“ i że sama należała do dziwnego gatunku kobiecego, pełnego tajemnic. Ale wtem usnęła.

...Jeszcze Marja płakała nad Jasią jeszcze miała ją w oczach żywą, a już coś nowego weszło między jej ból i rozpacz. Rzecz obojętna, a ważna. Trzeba było szukać nauczycielki dla Stefanka, Zosia mogłaby korzystać przytem.

Już między natrętne słowa nekrologu, które dręczyły ją cały dzień, wkradały się zdania ogłoszenia, które należało zamieścić „Potrzebna nauczycielka na pół dnia.“ Naturalnie, była jeszcze głęboka żałoba, ale coś się stało w chwili, kiedy Marja machinalnie skreśliła te słowa na kartce. Życie ruszyło naprzód mimo śmierci Jasi, nawet dla jej najbliższych.

Wczesnym ranem, kiedy jeszcze spał Andrzej, wyszła Anna z domu. Dzień był chłodny, chwilami zaczynał popadywać drobny, zimny deszcz. Pierwszym celem był Kurjer. W ciasnym pokoju administracji po trzech ludzi stało przy grubo oprawionym tomisku. Oglądali wszyscy gazetę od strony ogłoszeń.

Zniszczone, miękkie jak wełna stronicze gazety znajomym dotykiem wymykały się palcom Anny. Prędko, uważnie, nawykłe do szukania oczy wrywały adres, swobodna ręka notowała.

Za Anną czekali inni w kolejce. Też zmoczeni i przeziębli, też zaopatrzeni w ołówki i czarne tanie notesy (po pięć, po pięć, po pięć). Wielkomięscy ludzie pełni doświadczenia i wiedzy, że trzeba zacząć od samego rana, wprawni w notowaniu adresów, świadomi najlepszych sposobów zdobywania posad, odczytujący z prostych słów ogłoszenia zawią historję domów i ludzi, którzy „ofiarowali“ i mimo wszystko zawsze tak samo biedni, bez grosza, bez chwili, kiedy można było nie pamiętać co dalej.

Anna szukała wszędzie wyrazu kondycja. Nienawdziła go, ale wiedziała: musiał być. Na dnie myśli, której się wstydziła, była własna chęć zjadania codzień gorącego obiadu i kolacji bez wędliny na papierku.

Zanotowała i wyszła. Przez cienkie podeszwy pantofli czuła oślizglą wilgoć bruku. Palto i beret mężczyły ją zapachem zmoczonego sukna. Pierwsze było najlepsze ogłoszenie z Pięknej.

Anna pospiesznie odbyła drogę i zatrzymała się dopiero na schodach. Jej zmęczenie wyrażało się ostatnio nieskończonymi drabinami tych stopni, które przebywała za dnia; drewnianych i śliskich, albo takich jak te, wygodnych i szerokich.

Na tabliczce przy nazwisku był tytuł lekarza. Znała na pamięć wewnątrz, nim otworzyły się drzwi.

Czysty przedpokój z błyszczącą podłogą, na prawo, albo lewo pokoi, poczekalnia z fotelami w sztywnych, niekształtnych pokrowcach. Pokojówka w białym fartuszk. Można to było nieomylnie przewidzieć. I już stała Anna w tem mieszkaniu, już szła po chodniku z manilli do nowocześnie urządzonego pokoju, już czekała samotnie przy owalnym stole i serce jej było pełne upartego pragnienia, żeby nareszcie gdzieś wylądować i lęku przed wilgocią bruku, która czekała znów za chwilę. Wysoka, czarnowłosa kobieta weszła do pokoju. Obie powiedziały niedosłyszalnie swoje nazwiska. Małe, piwne oczy uporczywie tkwiły w twarzy Anny.

— Pani z ogłoszenia? Jakie kwalifikacje? —

Biegle, płynnie odpowiedziała to, co mówiła tak często. — Dyplom, romanistyka i długoletnia praktyka.

— Długoletnia? — pani uśmiechnęła się powątpiewająco i uprzejmie. — Ileż pani ma lat?

— Dwadzieścia trzy. —

Czemuż to można było tak dokładnie przewidzieć wszystko, nawet to zdziwienie i to, że długo jeszcze będzie się mówiło o warunkach, o uczenicy, o uczniu, nim się usłyszy to prawdziwie ważne. Będzie, czy nie.

W samym końcu pytania osobiste. — Czy pani ma tu rodzinę? —

— Nie — rzekła Anna krótko.

Andrzeja trzeba było przemilczeć. Naturalnie. To była największa przeszkoda do otrzymania posady, tej, czy innej.

Mąż wykluczony. Częste wychodne wieczorem, za dużo własnych spraw i kłopotów, za dużo własnego życia. Powiedziała tę nieprawdę z łatwością. Tak ocalała się jakąś własną cząstką dla siebie. Stawała ścisła granica między tem, co musiało być tu, a tem, co trzeba było zostawić za drzwiami.

Dlatego przekreśliła Andrzeja jednym słowem i trwała z oczyma spokojnie odpowiadającymi na badawcze spojrzenia.

Odpowiedź wypadła blado i niepewnie, zostawiła strzępek nadziei i obudziła wszystkie wiadome doświadczenia napróżno przebytych schodów i po aptekach, w sklepikach wydzwonionych telefonów.

— Niech pani zadzwoni jutro. —

...Na Złotej były czyste schody. W małym ciemnym mieszkaniu pani z wylupiastymi oczami powiedziała ze zmęczeniem. — Już zajęte. —

Kiedy? Było jeszcze tak wcześnie. A może tylko nie chciała jej?

Na Śliskiej (ulice zostały rozłożone według rozsądnego planu, przekreślone ołówkiem gdy zawodziły. Ponura, czarna drabinka) schody były wąskie, drewniane, kręte. Już odrazu na ich wydeptanych schodach nie było nadziei. Droga, która jednych biedaków wiedzie do drugich, cóż mogła mieć u kresu?

Na Żelaznej było czwarte piętro bez windy, mieszkanie pełne ludzi jak hotel, tu dawali obiady i dopłatę. Praca na pół dnia, dopłata starczyłaby na tramwaje.

Po Krochmalnej, po Ceglanej, po Lesznie jeździł z pasją szorstki, tani ołówek. Każda kreska przecinała jakąś jedną nitkę, która łączyła człowieka z powszednim dniem pracy.

Dzień przeładowany ludźmi wypychał ich w męce poza siebie, nazewnątrz, na drugą stronę, a oni bronili się rozpaczliwie.

Ostatniego adresu nie pożarła już czarna kreska. Został. Zrezygnowała. Nogi tak bolały. Na Żelaznej przy Twardej stanęła przy znajomym zakręcie. Powiało dawnymi latami, sklepem, gdzie się kupowało zeszyty i gumki i naklejanki, sztywne, kolorowe, błyszczące cuda. Zawsze w tem miejscu zawracało się w starą przeszłość — do domu.

I, Anna zawróciła. Dzień rozdarł się nagle jak

zbutwiała szmata, pozostały jego wielki strzep leżał przed nią. Twardą, między wiadrami kiszonych ogórków przed bramą bazaru, koło sklepów pachnących śledziami i mydłem szła aż do starego domu z czystym kwadratowym podwórzem. Na oknach stały tam w doniczkach liście salonowe, a za kuchennymi oknami w powietrzu wisały garnki uciepione parapetu.

Wąskie schody z żelazną poręczą, strome stopnie, na których bije serce. Na drzwiach metalowa tabliczka „Halina“.

Rodziny dom. Drzwi były otwarte. Węgiel drzewny w żelazku wydawał zapach. W kuchni szyły dziewczęta usadowione ciasno. W pokoju z pociemniałymi ścianami mierzyła klientka.

Kiedy Anna weszła, matka klęczała na starej poduszce z włosia, podniosła żółtą twarz ze szklami na oczach i nie zmieniając wyrazu, powiedziała —
Usiądź —

Klientka w upiętej z materiału spódnicy przeglądała się w lustrze. Kurz leżał na niem cienką warstwą — jak zawsze. Lampa nad stołem ze szkaradnym zielonym abażurem była tak samo przysypana kurzem. Czy Anny odnalazły nawet znajomą plamę na abażurze.

Ręce mamy błyskawicznie manipulowały szpilkami. Miała ich kilka między bladymi wargami.

Lustro na wygiętych nogach, łóżka i straszna, dziurami i włosiem ziejąca kanapa, wielki kredens z kurzem zakrzepłym, zbieiałym w zakamarkach to było wszystko, co od lat stało tutaj, przetrwało dzie-

ciństwo i młodość Anny niewzruszenie w tem samym miejscu, coraz starsze i nędzniejsze. Kanapę „wykończył“ ostatnio Danek. Zniszczone żurnale zwisały ze stołu. Na kredensie leżał stos książek i zeszytów Danka.

Klijentka poprawiała fałdy, skracała, zwięzała i zmrużonemi oczami przypatrywała się sobie w lustrze. Trwało to długo. Przez ten czas mama milcząco zukosa przyjrzała się parę razy Annie. Widziała, że wygląda źle i jest źle ubrana. Naturalnie. Skąd?

Tęga niewiasta pozwoliła nareszcie zdjąć z siebie upiętą spódnicę i ubrała się. Mama wyszła, żeby ją odprowadzić i wróciła. Anna zdjęła tymczasem beret i palto.

— Co słyhać? — spytała.

— Ładnie wyglądasz — rzekła gorzko mama, składając ręce na poręczy krzesła. — Nie zarabiasz, co? —

— Mało — powiedziała Anna — A gdzie Danek?

— Gdzie ma być? W szkole. Też się kształci, żeby później latać za lekcjami. A może już wyszedł ze szkoły. Czy ja wiem? Myślisz, że on zaraz do domu wraca. Wczoraj tu mała firanki nie spalił przez jakieś swoje doświadczenie z cuchnącą butelką. —

Zaciskała usta. Oczy za szklami były zmęczone i łzawe.

— A ojciec? —

Wzruszyła ramionami w zjadliwym milczeniu. Stara to była historia z włóczęgą ojca z kąta w kąt. Nie miał pracy. Nie umiał, czy nie mógł znaleźć. Bez-

czynnie i gorzko plątał się zawsze gdzieś niepotrzebnie. Matka pracowała sama.

— A robota jest? — zapytała Anna, usiłując złozić iskrę w tej beznadziejności.

Porządkowała tymczasem żurnale na stole i przyglądała się matce.

— Jest trochę. Ale wiesz przecież, że moje związkowe panny dzielą się ze mną zarobkiem. Na swoje nieszczęście wpadłem na lewicowy związek. Strajk. Podwyżka. Nic innego się nie słyszy. One żyją, mają wolną godzinę, zarabiają, a ja? —

— Czego chcesz, mamó, przecież wszyscy chcą móc wyżyć ze swojej pracy. Nie one biorą za dużo, ale tobie zamało płacą. —

Twoje teorje pięknie cię zaprowadziły — rzekła i odsunawszy krzesło przysiadła ciężko. Nabrzmiałe jej palce przebierały sztywny materjał.

— No, a co on? — spytała wreszcie, zadając pytanie, które widać ciążyło jej od początku.

— Andrzej, wyjedzie pewnie w tych dniach. —

— Tobie też przydałoby się wyjechać. —

— Jestem zdrowa — rzekła chłodno Anna.

Naturalnie, rozmowa z mamą była znów taka, jakby Andrzej był największym wrogiem jej córki i jakby te blade, wąskie wargi umiały tylko przytrzymać szpilki, albo wyrzucać słowa jak szpilki ostre i kłujące.

Anna strzepnęła wytarty gobelinowy obrus i obejrzała się za czemś, żeby zetrzeć kurz. Oczy matki śledziły ją gorzko i pogardliwie.

— Znów? —

Od lat sprzeczały się o ten kurz.

— Nie mam czasu na sprzątanie. Wstałam o piątej i nie wiem kiedy się położę. —

Podniosła się, przypomniawszy sobie, że i teraz szkoda czasu.

Sztywny materiał pocięty białymi linjami fastryg, sterczący stalowymi szpilkami włókł się za nią. Dwie były prawdy. Jedna, że ona wstała naprawdę o najbiedszym świcie i powieki jej były poranione pracą, a druga, że przecież mógłby być starty kurz, który leżał odwiecznie na tych nędznych sprzętach, tak jak od zawsze na jej życiu leżał ciężar nadmiernej, rozpaczliwej męki.

— Pójdę — powiedziała Anna — mam jeszcze adresy. —

— Może zostaniesz na obiedzie? — spytała matka.

Ale Anna jednym spojrzeniem dostrzegła w oczach mamy niepokój. Kto wie, jaki miał być dziś ten obiad.

— Nie, nie — rzekła szybko, dziwnym trafem jak zwykle w tej chwili najbardziej głodna — Dowidzenia mam, wpadnę w tych dniach. —

Popołudniu tego dnia Andrzej Dolis wychodził z ich odnajmowanego na Wroniej pokoju. Na stole, przy ustawionym stosie książek oparł kartkę. Słowa patrzyły wprost na wchodzących liljowemi literami rozcieńczonego atramentu:

— Przyjdę o szóstej.

Wszystko, co czynił było już związane z bliskim wyjazdem i teraz, od samej bramy na Wroniej, po drodze na Stawki szła za nim utrapiona myśl, że trzeba będzie zwyczajnie samemu przejeść swoich dwieście złotych.

Starczyło tej drogi na wspomnienia jak po najgorszej z zim (wszystko w niej było, więzienie i choroba) przyszła robota. Na spółkę z kolegą elektryfikowanie klatki schodowej i te dwieście złotych jego części. Czekala wtedy na nie z notesu wyrwana kartka z drobną kaszką literek Anny.

Palto letnie (dwa wykrzykniki).

Buty (Andrzej).

Pantofle (Anna),

potem gęstymi linijkami: pullower, skarpetki, pończochy i to, co nie zostało zapisane, codzień dla dwojga: śniadanie, obiad, kolacja.

Potem wszystko okazało się inaczej.

Znajomy lekarz, taki swój człowiek, wystrzelił bez ogródek:

— Chcecie w gruźlicę wpaść? Nie? To jazda teraz na wieś. Miesiąc, sześć tygodni najmniej. Moi drodzy, kogo chcecie wykiwać, siebie czy mnie? Nie dwa tygodnie, tylko sześć. Trzeba się zupełnie pozbyć tego stanu podgorączkowego i żeby wam przybyło jaknajwięcej. —

Tak więc zabierał się do tego wyjazdu i od dziesięciu dni wieczna niechęć łączyła się z ukradkowem mierzeniem temperatury. Czarny słupek stał uparcie niewiele ponad czerwoną granicą.

Rano bywało normalnie, nie pojedę. Z wieczora
37. 3 — trzeba jechać.

Już na innej kartce tego samego notesu wyliczono na ile czasu pobytu na wsi wystarczą te pieniądze. Przynajmniej coś dla Anny na tutaj, upierał się przy tych rachunkach.

Ulicami wzdłuż sinych szyn tramwaju, pod niezłomnymi szeregami domów, w miarę jak stopy obijały się o coraz bardziej dziurawy bruk, czuł Andrzej, jak serce lgnęło do tego miasta i spraw jego ludzi, jak ciężko było wyjeżdżać teraz od swoich i pożegnać za chwilę przyjaciela, Stefana Pietrzaka.

Tylko zmęczenie, które go ogarnęło przed domem na Stawkach, upewniło znów, że już chyba naprawdę trzeba jechać.

X Nad studziennem podwórzem, pod wysokimi, pociemniałymi murami z cegły wisiał strzep nieba jak błękitna, szklana salaterka kształtu podwórza. Schody z sieni do suferyny wąską, stromą drabiną wiodły do tego, co na liście w bramie nazywało się „mieszkanie 36“.

Jako główny lokator był tam Kwiatkowski Szymon, posadzkarz.

Lista sublokatorów czarnymi kreskami wymazań przecięta, koło tego mieszkania wskazywała długą kolejkę. Tam, między Szymczak Marją, pracownicą igły, a Klocem Janem, któremu zabrakło zawodu, można było odnaleźć Stefana Pietrzaka, szlifierza. Piwniczny chłód, złagodzony stałą ludzką obecnością, nasiąknięty zapachem kiszonej kapusty panował na

tych schodach, po których nawet znajomy tu Andrzej schodził ostrożnie.

Drzwi na dole otwierały się na korytarzyk, zrobiony z piwnicznego, dalej była duża kwadratowa izba. Przez dwa okienka na górze płynęło światło odbite o kocie łby podwórza. Wydawało się najczystszą jasnością, temu, z mroku otwierał drzwi. W tej jasności rzucały się zaraz w oczy posłania i parawan. Żelazne łóżko, raz, połowe z krzywymi drewnianymi nogami, dwa, i trzeci siennik pod derą. Resztę łapczywie zagarniał, osłaniał sobą szeroki w kwiatki parawan. To była część głównego lokatora, posadzkarza Kwiatkowskiego z żoną i dwojgiem dzieci. Kiedy Andrzej wszedł, jak zawsze, na stole pod samem oknem siedziała pracownica igły lat trzydziestu czterech, z twarzą koloru kamieni podwórza i migocząc szydełkiem z oślepiającą szybkością robiła kołnierzyki na sprzedaż do hal.

Podrygując górną częścią ciała, zadzierała głowę pod same okno, żeby wyłowić całe jasne, darmowe światło dnia. Kradły je chwilami czarne cienie nóg, które szły po podwórzu i przesłaniały okna suteryny.

Na sienniku pod ścianą siedział Stefan. Jasnowłosa, krępy, szare oczy pod szeroką brwią, dawny, od smarkatych lat sąsiad, z Wolskiej, towarzyszył od ślizgawek po rynsztokach, od klipy, kuksa i palanta, poprzez różne trochę losy ich obu do dziś. Koło niego inni dwaj.

— Co cię wcale nie widać, Andrzej? —

Stefan wstaje. Prostuje się w całej swojej barczy-

stej szerokości. Na sienniku można zajmować miejsca wzdłuż i wszerz.

Przedstawiają się. — Nitka —. Młody, czarny chłopak z piegowatą twarzą i drugi (nazwiska głośno i wyraźnie.) — Dębowski. —

Zaraz na wstępie utyka rozmowa. Każdemu wiadomo, co przy kim można. Dopiero Stefan zaczął ją nanowo, tak, jak była urwana, nie oglądając się na Andrzeja.

Targając Nitkę za guzik sztuczkowej marynarki, rzekł przyciszonym głosem:

— Takie zbieranie się jak wasze, wiecie do czego? —

— Pewnie, że na nic — mruknął lekcoważąco ryży.

— Do d...y — rzekł dobitnie i wściekle Stefan — Zebrali się pod Puppem — wyjaśnił Andrzejowi — wiesz, w tym tygodniu o zapomogi dla nierejestrowanych. Stoją sobie grzecznie, czekają. Żeby jedno słowo, jedno przemówienie, nic, nic. Dziady kalwaryjskie. Coście wyczekać chcieli? —

— Delegacja poszła — bronił się. Nitka czerwony jak dziewczyna.

— To właśnie delegację poprzeć trzeba, co wy, mało jest do mówienia — wtrącił się Andrzej — a co wyszło z tego? —

— Nic. Dostaną odpowiedź — cisnął się Stefan na sienniku, aż szelestem gniecionej słomy podniosło się trochę kurzu.

— Na przyszły tydzień — rzekł ryży — idziemy znów.

— Na przyszły tydzień — zaczął Andrzej stanie Blaszancka. Wszyscy mają wymówione —.

Ktoś kiwnął głową. Umilkli. Tak się znowu wydało Andrzejowi niemożliwem wyjeżdżać od tych spraw najbliższych, wiecznie jednakowych, że się wstrząsnął, kiedy Stefan spytał:

— A ty co? —

— Ano jadę — rzekł.

Po schodach od sieni, nieumiejętnie stopami macając, schodził ktoś wdół. Przez ścianę wyraźnie słyszało się lekki, niepewny chód. Nadsluchiwali. Tylko Marja Szymczak na stole, nie odwracając głowy, migiała szydełkiem. Za parawanem chlupotały niewidzialną ręką prane szmaty.

Między drzwi ostrożnie uchylone młoda dziewczyna wsunęła głowę. Miała ciemne, nienakryte włosy i jasnobieskie oczy pod czarnemi brwiami. Nim zdążyła coś powiedzieć, podniósł się Pietrzak:

— To do mnie —

Dziewczyna nie ruszała się:

— Ja za interese. Może pan Stefan wyjdzie na chwilę? —

— Tu można — szepnęła ryży zaczepnie, ale Stefan już był za drzwiami.

Andrzej wstał i przeszedł się do okna. Marja Szymczak obruszyła się gniewnie —

— Co jest? —

— Nie do pani idę —

Mężczyźni z siennika zaśmieli się: — Ale zła Jak
osa. —

Ryży poczęstował Covboyami w pudełku. Leżały
dwa i garść skruszonego tytoniu.

— Nie palę — odmówił Andrzej.

Tamten błysnął domyślnie oczami — Zapalimy
po połowie —

— Nie, nie dlatego — i jak na potwierdzenie
krótki, suchy kaszel załaskotał go w gardle. — Wi-
dzicie — rzekł Andrzej — kaleka ze mnie, nie mogę.

Tamci dwaj zapalili. Za drzwiami szemrały głosy.

...Zgóry przez uchylone drzwi sieni wąski pas
światła padał na schody. Na dole zostawało z niego
rozrzedzone pasmo. Oczy dziewczyny migotały
w niem wilgotno i lśniaco.

— Wie pan Stefan — szepnęła — u nas na Non-
plusie, powiadają, szlifiarza wezmą. Kober idzie.
A szefa teraz niema, żona mu się zabiła. Bez niego
wezmą. —

Poczuła zaraz, jak przy tych pierwszych słowach
poruszył się znagła, oderwał od sino pobielanej ścia-
ny. Przez cienkie brązowe palto ujął jej ramię.

Zajrzał w wesołe, ciemno podkrążone oczy —
Julka, dlaczego Kober idzie? — Odwróciła się ku
schodom — Bruderszaftu my z panem Stefanem nie
pili—

Przyciągnął ją bliżej — To nie mówić „ty“, co? —
Zaczerwieniła się.

Na górnych schodach ktoś szybko zbiegał wdół.

Zatrzaśnięto drzwi sieni od podwórza. Na schody su-
teryne wpęzła gruba, duszna ciemność.

— Można mówić — szepnęła Julka.

Była tak blisko, że Stefan czuł jej zapach świeży
i cierpki jak wiatr. Jego ręce objęły ją ciasno. Poprzez
palto i wszystkie szmatki poczuł piersi. Dyszała szyb-
ko, gorąco.

— Tamby trza jutro iść — szepnęła, kiedy na
chwilę zwolnił uścisku.

Puścił ją zupełnie, potem znów ujął ręce i przy-
trzymał zdaleka.

— A co było z Kobrem? —

— A nic przez nogi idzie, spuchnięte ma. Cał-
kiem już chodzić nie może — zapewniła.

— Pamiętaj — rzekł — nie co innego? —

Udała, że już nie pamięta o mówieniu „ty“:

— Pan Stefan zawsze taki. Możeby i robota prę-
dzej była, żeby nie te polityki. —

Jej ładne, błyszczące oczy posmutniały.

— Przyjdę jutro pod Nonplus — rzekł.

Nabrała trochę nadziei: — Żeby się pan Stefan
odmienił. —

— A jakibyś chciała, co? Żebym się na czyjeś
miejsce wpychał. Takbyś chciała? — pytał uparcie,
a słowa gubiły się w ciężkich, szurających krokach
zgóry.

Milczała zmieszana, ręce kręciły przy pasku kla-
merkę.

— Jutro przyjdę, ty głupia — ścisnął jej małą,

twardą rękę, aż chrząstki trzasnęły scicha i otworzył swoje drzwi.

Julka poleciała w górę, dudniąc po zmurszałych stopniach. Pantofle miała rozdeptane i krzywe. Wstydziała się, kiedy oglądała je pod światło. Wogóle wstydziała się teraz i była zła. Poco tu przychodzić, głupia — wymyślała sobie sama, a wtedy przypomniła sobie jego „głupia“. Było takie jakby popieścił.

Wewnątrz tymczasem tamci czekali długo. Światło z podwórza coraz bardziej zaćmione i bure zalewało cienką szybę suteryny. Marja Szymczak znalazła ze stołu. Wszyscy widzieli jej chude, proste jak dyle nogi. Płaskie stopy tkwiły w kraciastych bamboszach.

Ryży z wypukłymi oczami wysunął się naprzód siennika:

— Wy gdzie robicie? — spytał Andrzeja.

— Inżynier jestem — rzekł powoli — ale stałe bezrobotny — mało kiedy w moim fachu robię.

Oczy tamtych wnikliwie zawisły na nim. Wypukłe ryżego jasno szare, czarne pod smolistą brwią Nitki i przyjazne Stefana, nawet Szymczak Marji — źrenice odwróciły się puste, ni to szare, ni zielone.

— Trzy miesiące w fabryce za mechanika robiłem jeden raz —

— Był czas — rzekł Pietrzak, oczami Andrzeja wskazując, — że się mogło trafić, że robotniczy syn wychodził na inżyniera. —

— Ale to się coraz trudniej zdarzy. Może już wcale — dokończył Andrzej.

— My z jednego podwyrka, prawie razem chowane — dokończył Stefan dziwnej prezentacji.

Naftowa lampa pracownicy igły rozjaśniła stół bladym światłem. Siennik Stefana zostawał w łagodnym mroku, tylko sino pobielana ściana nad nim wystąpiła wyraźniej z zielonymi smugami wilgoci. Drobnymi jak rzucane kamyki zaczęły dudnić po schodach kroki. Obeznane z ciemnością i wilgotnym drzewem stopni zjeżdżały nogi młodych Kwiatkoszczaków. Przyszedł chłopak w watowanej kurtce i dziewczyna w kaloszach zamiast butów. Za parawanem zrobił się ruch.

— Na Nonplusie ma być robota — rzekł Stefan. Poruszyli się wszyscy.

Nonplus trzy dni idzie — rzekł ryży niedowierzająco.

— Ma iść pięć, a ludzi już dawno mają zamało — rzekł Stefan — żeby się przynajmniej tam dostać. —

Ryży skinął — Każdy dziś byle do środka, do roboty, a co w środku to wszystko jedno.

— A ty chodziłeś gdzie szukać? — spytał go Stefan.

Ów buty przed siebie wciągnął i ramionami wzruszył:

— Mało chodziłem? Nima. —

— Już jakby wcale ludzi nie było co cały tydzień robią. —

I... — rzekł Andrzej — dosyć ludzi robi jeszcze

dziesięć, dwanaście godzin na dzień. W trykotarzach, kotoniarze... Albo na akord. —

— W Nonplusie też sami akordowi — odparł Stefan.

Ryży tylko milcząc patrzył na swoje buty. Rozciapane, wielkie, szerokie od wytarcia stąpały cicho jak kalosze. Buty, co w milczeniu potwierdzały, że chodziły szukać...

— Schodzą się.. — mruknął Stefan, kiedy znowu kroki zaczęły walić w schody.

Ryży i Nitka wstali. Wstrząsali mocno rękami, umówili się i wyszli. Andrzej tylko jeszcze pozostał na sienniku.

— Tylko chwilę — rzekł — pogadać chciałem. —

— Kiedy jedziesz? —

— Lada dzień. Przyjdiesz kiedy, to ci Anna powie, gdzie jestem i jak wszystko. —

— Ano jedź, odpasiesz się, gorączka ci odejdzie, będzie dobrze — rzekł Stefan — Jakbym miał forse to cię odwiedzę raz kiedy. —

— Przyjedź przyjedź — ucieszył się Andrzej i nagle otworzyła się pusta chwila, pełna niewymówionych słów. Trzeba było iść, albo mówić.

— Nie chce mi się jechać — mruknął Andrzej.

— Ale przecie musisz — zdziwił się tamten.

Wtedy Andrzej wstał i długo skolei trząsł twarzą, dużą rękę przyjaciela:

— No bywaj. —

— Bywaj. —

Pocałowali się niezgrabnie, mocno i już znów

Andrzej poomacku trafił ze stopnia na stopień, aż odetchnął na ulicy pełnej zapachu szewckich warsztatów zabłąkanym powiewem marcowego powietrza.

Tam zostawili swoi, bliscy ludzie i sprawy, a samemu trzeba było wyjść poza to życie, chodzenie za pracą, zebrania, usiąść na wsi jak w zamkniętym słoju i czekać cierpliwie tak, jakby jeden dzień nie nie znaczył, czekać dni i tygodnie, aż nie będzie gorączki wcale.

Poczuł znów lekkie klócie pod łopatką, nieznośna myśl o przeżarciu pieniędzy wydała się bardziej usprawiedliwiona, wraz z nią zjawiły się nagle tyśiączne kłopoty, co z pokojem na Wroniej, z obiadami, z całym dniem Anny.

Taką nieoczekiwaną drogą zbliżył się Andrzej do Anny. Ale to było proste. Wszystkie drogi prowadziły do niej. Pod gęstym, zimnym deszczem biegł prawie na Wronią do domu. Szkoda było każdej z ostatnich godzin.

„Dom“ to był odnajęty pokój na Wroniej, pokój z dawnych lat, zastawiony starami gratami, pełny zawiłych, niepotrzebnych mebli, stolików do samowaru, żardinierok, fotografji i portretów w zakurzonych ramach i utajonej biedy.

Na stole, oparta o stos książek wciąż jeszcze czekała kartka „Będę o szóstej“. Andrzej usiadł i machinalnie zaczął ją drzeć na wąskie strzępy.

Nad stołem wisiała na łańcuchach lampa przero-
biona z naftowej, z kolorową amplą i w sto skreco-
nych ramion wygiętymi ozdobami, z których niespo-
dzianie wyrastały puste oprawki na żarówki. Paliła
się tylko jedna.

W jej świetle czytał Andrzej, kiedy Anna otwo-
rzyła drzwi. Podniósł zmizerniałą twarz, brunatno
podkrążone oczy rozjaśniły się uśmiechem.

— Co robiłaś cały dzień?

— Znalazłam coś, tylko nie jestem jeszcze pew-
na — powiedziała Anna, siadając na najbliższem
krześle tak jak stała w zmoczonem palcie i berecie.
Była za zmęczona nawet, żeby się uwolnić od drę-
czącego zapachu wilgotnej, rozgrzanej wełny.

— Kondycja u dwojga starszych dzieci; Siedem-
dziesiąt pięć zł. Dobrze, prawda? Dzieci przed połud-
niem w szkole. —

Andrzej zmarszczył się.

— Wzięłaś jednak kondycję. Wolałbym dziesięć
najcięższych lekcji. —

Chciała już odpowiedzieć coś gniewnego, że jemu
nie potrzeba jedzenia, ani dachu nad głową i w re-
zultacie ma teraz zagrożone płuca, ale pomyślała, że
on już wyjeżdża i ze smutkiem powiedziała:

— To nie jest złe wyjście. Nie będę nawet potrze-
bowała płacić za pokój, kiedy ciebie nie będzie. —

Andrzej wstał zwolna od stołu. —

— Jestem spakowany — rzekł.

Jego wysoka postać była bardziej jeszcze szczupła
i wąska jak zawsze. Wiedziała że chciał podejść

i trudno mu było zarazem. Podniosła głowę. Natychmiast znalazł się przy niej.

— Zdejm to mokre palto — usiłował jej pomóc — odpoczniesz kiedy wyjadę. Czuję jaka jesteś zmęczona. Ale wróć zdrowy, zobaczysz. —

Jego jasne oczy nabrały ufego, chłopięcego wyrazu.

Zaczął odpinać guziki jej przemoczonego palta. Poczuła jak nagle jego ręce stały się niecierpliwsze. Wiedziała to poprzez ścianę zmęczonej obojętności, która nie mogła jednak przeszkodzić troskliwej myśli, jaka blada jest jego twarz.

Objął ją ciasno i ukrył głowę na piersi.

— Nie chce mi się jechać — wyszeptał — od pracy i od ciebie... —

Nie widzieli swoich twarzy. Bolesny skurecz wezbrał w krtani Anny. Powoli gładziła ręką włosy Andrzeja tam, gdzie od skroni falowały zlekka.

— Tak nie chcę jechać — powtórzył, trzymając ją w ramionach.

Wtedy łązy, uwolniwszy się spod powiek, rozświetliły oczy Anny, a w nich ten pokój ciemny, duszny, ścianami i sprzętami obnażający nieprzytulność niedostatku.

Ale trzymała je na uwięzi, te łązy i pełen wstydu żal, że nie żałowała dostatecznie jego wyjazdu.

Zobaczyła oczy Andrzeja, jasne, prawdomówne i gorące. Ucałowała je. Wtedy Andrzej uniósł ją w ramionach i wstał ze swoim ciężarem.

...Nawet wtedy, kiedy już spał z lekko uchyłonemi

ustami i oddechem rżącym w piersiach tylko dla Anny dostrzegalnym szmerem, pod kołdrą było jeszcze zimno.

W ciemnym pokoju pełnym cieni sprzętów, nie było nic, czego Anna nie chciałaby opuścić i jeszcze raz przywoływała siebie samą jak kogoś, kto zaczyna błądzić.

To jest Andrzej, ten sam, który kosztował tyle łąz w domu i był pierwszym silnym postanowieniem młodości, on z którym przeżyło się trzy lata i ten ostatni rok, jakiego się nie zapomina.

Już jutro wyjeżdża. Jeszcze raz pod powiekami głęboko się zjawiły łzy.

— Co się ze mną dzieje? — Jestem przemęczona — pomyślała Anna i znów z wysiłkiem odmówiła sobie łatwej pociechy rozczulenia.

Tak już było zawsze, że wszystko stawało się znużeniem wśród dni przeładowanych lekcjami, kiedy z jednej na drugą biegało się byle najkrótszą drogą.

Ciężar codzienności leżał na wszystkim, a chwila pozostała na rozmyślanie, ukazywała ponure oblicza zapracowanych ludzi, kurczowo uczepionych jakiejś krawędzi życia, byle go nie utracić.

Ale wśród tych dni wybuchała niespodzianie któregoś, gorąca radość z przypadkowego powodu, który przypominał niezwykłą prawdę, że jest się jeszcze młodą.

Tak bywało zawsze, ale dawno już nie zdarzało się Annie. Dopiero dziś. Właśnie dziś, kiedy nie stało się nic radosnego.

Przed niedługą chwilą była blada i mówiła to, co chciał słyszeć Andrzej. Tylko to. A teraz nagle zaśniała odbłaskiem jasności tego dnia, nie umiała się oprzeć radości wiosennej pogody, ona od trzech lat codzielną widząca prawdziwe oblicze ludzi, ulic i rzeczy, którym nie mogły pomóc słońce, ani pogoda.

Możnaby sobie każdego dnia łatwo wybaczyć szaleństwo tej wiosennej radości, byle nie dziś, kiedy zapelnionym wagonem trzeciej klasy w kolejce, przyciśnięty do okna, wyjeżdżał Andrzej blady, zdenerwowany, pełen niepokoju ludzi chorych, którzy jadą się leczyć.

Ale radość przyszła właśnie teraz, razem z wezbranem uczuciem dla swojego miasta. Znajome sklepy, nad niemi szyldy, szeroka ulica z rozmachem zamienia się w Plac. Już tam zdaleka znana wysmukła kolumna. Z jednej strony rozciągnięty nierówno żółty wielokąt zabudowań, Pałac królewski, Pałac pod Blachą i daleko, daleko w samej głębi wypełza z wielkiego Placu mroczna, mała uliczka Świętojańska z uwięzionym w sobie duchem starego, minionego miasta i świata.

Anna jest jeszcze na moście. W dole kolorowe przystanie, łodzie na rzece, słońce na falach. Dzień jest piękny i idąc mostem ku miastu, Anna przeczuwa każdy dom, który będzie za chwilę, cała jest pełna radości i piękna drugiego mostu, może dlatego,

że temi ulicami idąc, mija własne przeszłe życie, tak, jak się je mija zawsze na ulicach miasta, w którym się żyje od lat.

Tędy długie cztery lata temu szła z Andrzejem wieczorem wdół ku Wiśle błyszczącej i czarnej pod żółtymi światłami lamp łukowych. Były zawieszzone jak lampjony na ich dzień.

Teraz już oddawna wydawało się, że Andrzej od zawsze jest w jej życiu, on i te dni z lichymi obiadami i zimną kolacją, pełne wspólnych kłopotów z praniem i cerowaniem, na które nigdy nie było miejsca w ich studenckim kawalerskim życiu jednego ciasnego pokoju przy rodzinie. Dobre dni, własne i wolne, choć pełne po brzegi.

Praca i wspólne sprawy wypełniły te lata, sprawiły, że przeszły jak chwila, a jednocześnie trwały nieskończenie długo.

Tej zimy, po tym samym moście wdół, nad rzeką szła wiele, wiele razy do sądu śledczego, kiedy Andrzej przez dwa miesiące był w więzieniu. Potem w poczekalniach lekarskich, przy wielu oknach i biurkach czekało się odpowiedzi lekarza, słuchając trwożnie jak Andrzej kaszłał na żądanie.

Ale chociaż mówił o tem każdy kamień i każde przęsło mostu i wszędzie stały żywe strzępy jej młodego, trudnego życia, szła Anna tak, jakby z dzisiejszym dniem zaczynało się wszystko od początku.

W obcistem, zniszczonem palcie letniem i berecie wyglądała młodo i nie czuła nawet swoich dwudziestu trzech lat. Coś w jej młodości zbliżało ją raczej

do młodej dziewczyny, niż kobiety. Anna wiedziała to i pomijała, przekreślała jednym słowem: brak osiadłego życia. Ale to nie było to.

Tramwaj zużył dwadzieścia groszy z ostatniej złotówki. Przy Pięknej wysiadła. Dziś lekcja, od jutra zaczynała się kondycja.

Przez czystą, pustą bramę weszła do sieni. Dzwonki prowadziły z bramy do mieszkania, drzwi sieni z przeciągłym skrzypieniem zamykały się za wchodzącym.

Bogaty, strzeżony dom. Na drzwiach lśniły tabliczki. Milczące i zamknięte osłaniały te drzwi różne dole, ale zawsze dalekie od jednej, zimna i głodu.

Po białych stopniach poszła Anna w górę, odczuwając obcość nowej atmosfery. Przystanęła u drzwi mieszkania, które musiało stać się jej własnym na jakiś czas.

Coś zaczynało się od początku. Ale młodość człowieka nie boi się początku, zawsze niepomna, że każdy musi nosić w sobie nieuniknioną istotę jakiegoś końca.

Od pierwszego dnia, prawem znanem wszystkim ludziom wędrującym za pracą, zaczyna się nowe życie. Tyle tylko, że w znany już sposób.

Przy swoim stole, nad ceratą w nieznamy deseń, Zosia i Stefanek odrabiają lekcje, każde oddzielnie.

— Panno Anno, czy można napisać „Pan Ta-

deusz jest typowym przedstawicielem szlachcica z czasów...“ —

Zmarszczone czoło i piwne bystre oczy zwracają się pytająco... —

— Nie można. To frazes. Powiedz zwyczajnie, tak jak mówisz i myślisz. —

Zachęcony Stefanek pyta szybko:

— Proszę pani, czy można hydroplanem przelecieć przez Atlantyk? —

Już odrazu, na pierwszej lekcji można odgadnąć, jaka jest nowa pani. Poznaje się nawet jej słówko.

Najczęściej mówi: „poprostu“.

Anna zna na pamięć nietylko ich kurs, wie co przechodzą, odgaduje ich samych od pierwszego wejścia i pytania.

Zamożne dzieci od najwcześniejszych lat rozwijane przez najnowsze gry, zabawy i książki, dzieci, które znają tyle słów, wiedzą tak dużo, a przecież nie wiedzą nic z tego, co wie pięcioletni smyk z Wroniej: złotówka to jest dużo pieniędzy.

— Mamo, składka — mówi Zosia — nie wiem ile trzeba dać.. —

Wszystko jest proste, bo mama wie ile. Anna wie odrazu o Zosi i Stefanku, jacy są, Zosia i Stefanek wlot nabierają wiadomości o niej. Że panna Anna zna mnóstwo nieznanych rzeczy, że czyta nietylko książki ale też gazety (ojej co gazet!). Do Stasi mówi „panno Stasiu“, nie lubi, kiedy się posyła po coś. Ni by nic, ale już cała masa. Oni zato pouczają ją o obyczajach i sprawach domowych.

— Kiedy są przyjęcia u tatusia trzeba być bardzo cicho. —

— Ta pani przyniosła kwiaty. Operacja udała się. —

A mój tatuś nie jest doktorem. Ma fabrykę grzebieni. Fabryka nazywa się Non plus ultra. —

Po lekcjach do pokoju wchodzi zwykle matka Zosi. Bystre, spokojne spojrzenie po pokoju. — Już po lekcjach? —

Spojrzenie dociera wszędzie, sprawdza. Jest coś przykrego w tej wizycie. Źle ukrywana kontrola.

Zosia i Stefanek uczyli się zaniedbanych przedmiotów, poznawali „kurs“, Anna uczyła się jakie drobne przyjemności codziennego życia mają ludzie na Pięknej.

Najlepszy okazał się mały ogródek z zakurzonemi krzakami. Annie wydał się rajem zieleni i roślinności. Oddawna nie była tak bliska prawdziwej zieleni trawy.

Zosia biegła tu ze swobodą i wesołością dziecka wychowanego w dostatku. Była odważna i zręczna. Ujęła stół z altanki i przysunęła go Annie.

— Niech pani dosięgnie tego krzaku, widzi pani, tam już kwitnie bez. — Ja też zaraz przyjdę za chwilę — i Anna, przypatrując jej się, myślała przez chwilę, jaki piękny okaz zdrowia i urody wydało to życie dostatnie i syte.

Tylko błady, zbyt szczupły Stefanek niepewnie targał ręką krzaki agrestu. Nie umiał włączyć na drze-

wa, a nie chciał, żeby widziano jego niezgrabne wysiłki.

Pragnął zawsze uczynić wszystko tak dobrze, że przeciętne, mozolne łażenie po drzewach uważał za potworną niezręczność.

Anna wdrapała się na stół. Po wszystkich minionych, gorących dniach lat na palącym asfalcie i w dusznych pokojach odczuła nagle zapomnianą prawdę o nierozzerwalności człowieka z ziemią, o bliskim pokrewieństwie z trawą i kwiatem.

Zosia na drabinie sprawdzała pędy dzikiego wina. Była miła, rozumna i pojętna. Ale zawsze zostawała odległość między Anną, a takimi dziećmi. Dlatego, że... Anna nagle odnalazła żywą odpowiedź.

W| kąciku ogrodu stara kobieta peła grzedy schylona ku ziemi w fałdzistej spódnicy z kretonu. — To my, ta baba i ja jesteśmy z jednych stron — pomyślała Anna — chociaż obce, dalekie i różne. Obie wiemy, to, czego oni nie mogą zrozumieć, że lato to duszna spiekota i męka spoconego ciała, codzienna bieganina w słonecznym żarze, udreka, której początek jest zawsze, a koniec gdzieś razem z prawdziwym końcem.

Ale właśnie wiedząc o tem, można było teraz głęboko westchnąć, ucieszyć się blado liljowym, chłodnym, wilgotnym bzem zerwanym z samej góry.

— Pomóż mi zrywać — zawołała do Stefanka.

Zarumienił się i mruknął coś.

— Chodź — zachęciła Anna i usiłowała mu pomóc wdrapać się na stół, ale on skoczył sam rozpacz-

liwym wysiłkiem, z całych sił uderzył się w nogę i stanął na stole, wyprostowany, zarumieniony z bólu i zaprzeczył natychmiast, kiedy Anna go zapytała, czy boli?

Wtedy skrzypaneły drewniane drzwi w murze. Matka Zosi i jej ojciec weszli do ogrodu. Wysoka, czarnowłosa kobieta, z twarzą pod szminką trochę surową i gorzką widziała zawsze wszystko dokładnie i szybko. Ujrzała swoją córkę okrakiem siedzącą na drabinie, Stefanka, który nareszcie nabrał trochę rumieńca i młodą nauczycielkę zupełnie inną niż pierwszego dnia, weselszą, jaśniejszą, ładną, z brązowymi oczami i krótkimi promieniami jasnych włosów.

Pani Marja zirytowała się tem.

Doktór Stawan podszedł do Stefanka i położył mu rękę na ramieniu:

— Jak się czujesz, Stefan? —

Chłopak uśmiechnął się przyjaźnie, lubił wuja Jana, więcej niż troskliwą, stanowczą ciotkę.

Pani Marja zdążyła za przykrością odczuć, że mąż podszedł do Stefanka zamiast do Zosi. Powodu naturalnie domyślała się. Z tłumioną irytacją stanęła obok Zosi i wypytywała ją o szkolne sprawy.

Doktór Stawan popatrzał w górę do Anny:

— Zadowolona pani z uczniów? —

Uśmiechnęła się zakłopotana, bo nie miała odwagi zeskoczyć teraz z wysokiego stołu:

— Zosia jest bardzo zdolna. Tylko Stefan trochę zaniedbany. Nie ma podstaw. Ale odrobimy to —

— Tak, — rzekł Stawan i obejrzawszy się, do-

dał — chłopak stracił wczesnie matkę w tragiczny sposób. Dlatego jest tak wrażliwy i, niestety, zaniebdany — patrzył prosto w oczy Anny i spokojna siła tego wzroku mieszała ją.

Zosia też jest mało samodzielna — rzekła nagle ostro.

— Pomówimy o tem, pani ma słuszność — odparł Stawan i w spojrzeniu, jakie rzucił na córkę zobaczyła nagle ciepło tego wzroku.

— Żeby oczy były takie wymowne — pomyślała Anna z odrobiną niejasnego wzruszenia i zawstydziła się nagle znów, że stoi na stole.

Lekarskie bystre oczy pochwyciły to :

— Wstydzi się pani zejść? — zapytał

Zarumieniła się, ale kiedy poszedł naprzód do żony i córki, zeskoczyła natychmiast.

— Pójdziemy — powiedziała do Stefanka i poszła z dziećmi, Marszczyła się. Dzieci przyglądały się. Nigdy nie było wiadomo, dlaczego nauczycielki są niezadowolone. Ale panna Anna była dla nich łagodna, niepotrzebnie tylko spieszyła się do domu:

— Zosiu, jutro masz więcej lekcji, odrobimy dzisiaj historję. Stefan może tymczasem poczytać. —

Wiadoma rzecz, na takie powiedzenie nigdy nie ma rady. Poszli. Potem stronice książki mięły się w palcach Zochy. Była rozbawiona i zmęczona, ale panna Anna nie była zmęczona. Chyba nigdy, myślała Zosia.

Nieoczekiwanie po lekcjach nastąpiła jedna z inowacji.

— Po lekcjach, pół godziny dla ciebie, rób co chcesz — Zosia się dziwi. Taka jest właśnie panna Anna. Ciągłe i uparcie uczy: tak jak ty myślisz, dla ciebie. Ale gdzie jest własne „ja“? Kiedy się ma dwa-naście lat nie można spotrzebować pół godziny dla siebie, tak na zawołanie.

Zosia kręci się, dotyka książek, czyta wypadki z gazety. Coby tu zrobić dla siebie? Najlepiej, najciekawiej byłoby zobaczyć co robi panna Anna.

Ach, nie ciekawego, stoi przy oknie z tak samo zmarszczonem czołem i napewno, widać to doskonale liczy, oblicza coś.

Obliczenie jest proste. Jedna chwila, krótka jak błysk. Niewiadomo czy był. Z łatwością można udawać, że nie było go wcale. Nie przed innymi. To nieważne. Przed sobą. Tak jak w zadaniu dla Stefanka. Patrz w tym żółtym, zimnym kawałku bursztynu jest elektryczność. Wystarczy potrzeć. Ktoby pomyślał?

Więc jak należy, walczyć, czy poddawać się? Dlaczego walczyć, przeciw czemu? Przecież to się wie odrazu, tego się chce, tak powinno być. Skryta, zła prawda, wczoraj tak, dziś inaczej. Ale kto wie jak długie jest dziś? Może dziś oznacza już zawsze?

Więc dlaczego, dlaczego nie powinno? I co właściwie znaczy „powinno“?

— Panno Anno, jest pół godziny — woła Zosia wesoło — Nie, doprawdy, jeszcze nie skończyła... —

Do drzwi odprowadzał Annę dzwonek telefonu.

Doktorowa odezwała się i zaraz zdaleka zatrzymał Annę głos. Uprzejmie i stanowczo:

— Czy nie zechciałaby pani wstąpić do lecznicy męża z tym notesem. — (Inaczej, krótko: proszę pójść do lecznicy...)

Anna zgadza się natychmiast. Więcej, Anna cieszy się prawie, że idzie i nagle, usiłując powstrzymać własny, bezrozumny pośpiech i ożywienie, trudnym nawykiem szczerości z sobą pyta się: Dlaczego, dlaczego?

Dopiero w lecznicy zmieniło się. Anna zastała przygotowaną, odmienną atmosferę. Wszystko było tam w toku już od pół godziny.

...Najpierw zatrzymała się winda i dzwonek zadźwięczał krótko. Posługaczka otworzyła drzwi. Do zgęszczonej atmosfery ciężkiej operacji w Zakładzie przyłączyła się zaraz wiadomość. — Doktor Stawan przyszedł. Przyszedł w złym humorze. —

To była prawda. Od uchylenia drzwi, do zrzucenia okrycia spostrzegł natychmiast pośpiech przygotowań, niedomknięte drzwi pokoju instrumentów, obcych ludzi na korytarzu, łyzy, wilgotne, rozgrzane chusteczki i szybko pudrem zasypywane twarze kobiet. Napozór obojętnie ze skrytą nienawiścią przebiegł do swego gabinetu i zdjął fartuch z wieszaka. U drzwi zarządzającego, siostra Marja czekała z relacją i przeświadczeniem, że przewidziała zgóry każdą myśl.

Ze sala już, narzędzia w dyzjenfekcji, do zastrzyków przygotowane, a chory czeka. Zastygłe w posłu-

szeństwie oczy wisiały u jego twarzy. Spojrzał mimo. Złe.

Poco ten pośpiech na korytarzach, bezład, biegająca i niedomknięte drzwi od sali. Żeby niepokoić chorych i rodzinę, co? —

Zostawił ją w gabinecie przy otwartych drzwiach i do tej niechęci, która go ogarnęła przyłączyło się to, że nawet teraz czekała pewnie na jakieś przelotne muśnięcie ręką.

W białem, płaskim łóżku lecznicy czekał chory. Niby najważniejszy, a przecież odsunięty gdzieś na bok, poza salę, asystentów, rodzinę. Badając go teraz po raz drugi, doznał doktor Stawan wewnętrzznego uspokojenia, że to wszystko jest właśnie tak, jak przewidział. Skończenie prosty, niebezpieczny przyodek.

— Będziemy operować. —

Chory się boi. Pyta się, chce się upewnić. Twarz doktora rozjaśnia się w szczerym uśmiechu:

— Czy proste? O tak, naturalnie, zupełnie proste... —

Ale zaraz gdy na korytarzu znów są czepiające się ręce i przerażone oczy z nieskończonym zapasem łez, twarz zastyga w zamkniętej surowości. Doktor Stawan toruje sobie drogę:

— Zrobimy co trzeba, wszystko co trzeba. —

Ale oni nie mogą zrozumieć, że tylko to jest potrzebne i nic więcej.

Zakład rozumie. Posługaczki przestały biegać nerwowo, drzwi sali operacyjnej i opatrunkowej zamknę-

ły się. Białemi korytarzami idą spokojni ludzie, ciemchem tykaniem zegara płynie nieważny czas.

W skórzanym fartuchu z rękami obnażonemi po łokcie doktor Stawan jest gotów jeszcze raz wejść do pacjenta. Przewycięża wewnętrzną znajomą niechęć. Powstaje zawsze przeciw tym, którzy przychodzą tu otoczeni bliskimi, owinięci w mokrą od łez czułość, w przygotowane pod ręką honorarjum, rozdygotani o własny ból, o swoje małe, codzienne sprawy, do których, o rozpacz, mogliby nie wrócić. Tutaj napotykają największą prawdę swojego życia i nie mogą wykupić się od niej pospiesznie wyliczanemi niebieskimi papierkami.

Chorego przeniesiono na nosze. Doktor wchodzi do pokoju pełnego łez pożegnania. Oczy chorego czepiają się jego twarzy. Trochę otuchy wlewa się w nie. (Najlepszy, najdroższy doktor w mieście). Uspakaja się, doktor jest zupełnie łagodny, skąd odgadnąć, że to tylko on dziś w zakładzie widzi uśmiech lekarza.

...Siostra Marja z przyniesionemi z apteki ampułkami zmierza do sali. Od telefonu przez biały wąski korytarz gonią ją powiedziane przyciszonym głosem słowa.

Potrzebny notes, a potem panna Anna. Ampułki drżą. Wieczny lęk. Ile jest kobiet w jego mieszkaniu, tu w Zakładzie, na ulicy, na świecie?

Drzwi sali zostają zamknięte od wewnątrz, siostra Marja sama rozgoryczona nie chce za nic zrozumieć rodziny. Nie, nie można na korytarzu płakać, płakać trzeba w pokoju, (to obowiązuje wszystkich). Ope-

racja potrwa długo. Już, już trzeba zamknąć drzwi przez które zaczyna wiać dusznym, oszałamiającym zapachem narkozy, eteru i chloroformu.

W małej poczekalni, gdzie na oknie wesoło rosną w doniczkach zielone asparagusy Anna czeka przy stoliku nieskończenie długo. Możliwy zresztą oddać ten notes jednej z białych pielęgniarek. Ale doktor Stawan powinien już wyjść, jest po operacji. Szkoda jest krótkich godzin w ciągu dnia, jakie zostają dla siebie.

Tymczasem rozproszone myśli zabawiają się malowaniem twarzy doktora. Wyostrzone rysy i oczy zawsze jakby wyteżone, zielonkawo brązowe, ciemne oczy i krótką bliznę na czole i maleńkie wyżłobienie nad brwią. Nie, jakże można tak dokładnie widzieć twarz, której niema, której się nawet nie widziało zupełnie blisko? W najmniej oczekiwanej chwili nadchodzą kroki. Ale wszystko jest inaczej niż się myślało, nawet twarz jest wcale niezmeńczona, tylko skupiona.

Doktor Stawan bierze notes:

— Dziękuję. —

Uprzejma, usługowa, lakoniczna panna Anna, wychowawczyni jest gotowa pójść. Nieznośnie do dna zielonkawo brązowe oczy przebijają uprzejmy chłód, tak jak przez skórę, mięśnie i tłuszcz widzą prawdę zropiałych ślepych kiszek.

W przeciwległej ścianie są drzwi, których dotąd nie zdążyła zauważyć.

— Czy chce pani zobaczyć mój gabinet osobliwości? —

Anna wchodzi naprzód, otwiera, doktor Stawan zamyka powoli, dokładnie. W przejściu Anna widzi wyteżoną twarz i włosy jeszcze zlepione od potu, wysiłku.

Naprzeciwno w pokoju cała prostokątna ściana jest oszkloną szafą. Za szkłem przegródki. Nieskończenie wiele przegródek z dziwaczными przedmiotami. Anna podchodzi bliżej.

Jak małe, bajeczne potworki, miniaturowe smoki, złośliwe dziwadła leżą za szkłem żółte, zielonkawe i brunatne kamyki, okruchy, ponura mineralogja ludzkich chorób.

Ślepe kiszki, ale nie te zwykłe, lecz skrzycone, ze zrostami, skrzywieniami, obrzękami, kolorowe sarcomaty, pojedyncze usunięte nerki jak olbrzymie ziarna fasoli i wielkie kamieniste bryły guzów.

Wszystko za szkłem, ujarzmione, zdobyte — i dlatego pewnie z uczuciem zasłużonego tryumfu pokazał je zwycięzca Annie.

Ukryte za szczerym podziwem, za wzruszeniem, zdumieniem i ciekawością leży to najprostsze, co Anna rozumie w tej chwili.

— Musi być panu dobrze patrzeć na to — mówi cicho.

Doktor Stawan przeczy ruchem głowy. — To nie jest to. Zupełnie coś innego. Tutaj to już jest coś innego. O początek chodzi, o walkę, wie pani? —

Anna wie. Niespodzianie jednak mówi zupełnie coś innego:

— Tutaj pan nie jest taki jak w swoim domu. —

— Bo to jest tylko dom. —

— Moznaby znaleźć sensacyjny tytuł dla opisu tego gabinetu, — mówi nagle Anna — tajemnice ciała ludzkiego, albo coś podobnego. —

Doktór Stawan uśmiecha się. Nie widać uśmiechu, a przecież Anna czuje jego obecność.

— Nie — mówi — to co pani mówi, to jest zupełnie coś innego. Czy wie pani, nawet i to? — I po chwili. — Nie, tej tajemnicy pani nie zna. —

Oddalony o krok stoi za nią. — A gdy podszedł jeszcze bliżej — dręczy Annę zawstydająca myśl. Czy wyciągnie rękę?

Po korytarzu biegają szybkie kroki. — Pana doktora wołają. Gdzie pan doktor? —

— Dowidzenia panna Anno — mówi Stawan. Uścisk jego ręki trwa krótko. Anna jest znów na ulicy i spieszy się. — Przesiedziałam dwie godziny — powtarza surowo i nieuważnie.

W tych dniach, kiedy nakaz lekarski: odpoczywać, zmuszał Andrzeja do bezczynnego leżenia na trawie pod niebem koloru farbki, ultramaryny, wstawały minione lata jak stary film rozwijany w samotne godziny, żeby odnaleźć początek dzisiejszego dnia. Był tam sklep zaciemniony beczkami, bańkami z oknem zastawionem spiętrzoną wystawą kolorowych pudeł.

Pachniały kiszone ogórki i słone śledzie, mydło i wilgotniejące kartofle, w okrągłych blaszanych pudłach słodkie landryny, a w szufladach ostro, czysto woniejący chlorek. Widok naprzeciwko zaśnieiała czerwona fabryka tapet zwartym szeregiem ceglanych budynków.

Sklep to był dom, fabryka — świat. Wszyscy zostawali w sklepie, tylko ojciec szedł do fabryki. Stamtąd przychodziły wszystkie zmiany i najwcześniejsza ta, która się zdarzyła jakiegoś ledwie pamiętnego dnia zimą.

Pod ladą leżały pudła wyżebrane i uproszone, kolorowe pudełka od papierosów i blaszane puszki od herbaty z gałęzią wiśni i złotymi literami na pokrywce.

Pod ladą siadywał Jędrus na zimnej podłodze z cementu. Na tej samej podłodze kroplistym śladem ka-pała krew ojca, kiedy go wówczas przyniesiono.

Wysokie czapki kozackie i nieznamy gwar żyły z tych czasów w pamięci.

Potem nie było już ojca, nikt nie chodził do fabryki, a oni we dwóch ze Stefanem Pietrzakiem zbierali cynfolję od czekolady i kolorowe kartki zapisane nieznanym językiem. Żeby to umieć przeczytać wszystkie.

Potem znów na szarej, chropawej podłodze mama w kuczki z rękami na brzuchu:

— Oberwałam się. Jędrus, —Jezu, leć po ciotkę.—

I znowu ciurkiem ciemna krew, nie taka wcale jak bywa ze skaleczonego palca, z rozbitego kolana.

To jest daleki początek, za nim niema nic, tylko

już dużo dalej, szkoła, książka, zeszyty na drewnianej pokrywce beczki z ogórkami w sklepie, gdzie już zamiast mamy jest ciotka.

Andrzej leży na ciepłej płataninie traw, naprzeciwko niego tkwią dwa ruchome blade niebieskie punkty. Oczy chłopaka też Jędrka jak on. Tylko dlatego zapamiętał go odrazu z pośród trzech innych w chałupie, starszych i młodszych o rok, z temi samemi włosami, i oczami jak woda z rozpuszczoną kroplą błękitu.

Brudna koszula, blade policzki i wyraźne kości pod opaloną skórą. Do nich przyjechał Andrzej karmić się powietrzem i słońcem i pić mleko wprost od udoju, które oni zostawiali tylko do miasta.

Z otwartej walizki ginęło wszystko, nawet chleb. O godzinę od miasta, o sto lat od zwyczajnego ludzkiego życia. Opowiadali: Barszczak szwagra zamordował. Pientnaście złotych cholera zabrał i już. Oddać, nima powiada. No to Barszczak za widły, a tamten nie miał czem, pogrzebaczem się zastawił. —

Jędrak jakoś prędko łązić za nim począł, przypatrywać się co robił i w milczeniu w kuczki siadać sobie obok. Lubił po coś polecieć, zapytać się.

To on przejęty ważnością przynosił za rożek listy i gazety, które pierwszy raz przychodziły tutaj z listonoszem.

Opalona i twarda mała ręka trzymała list, oczy uczepiły się ilustrowanego dodatku gazety.

— Chcesz zobaczyć? — spytał Andrzej i oddał gazetę.

— Je list — uśmiechnął się Jędrak.

Andrzej chwycił go szybko i usiadł. List był od Anny. Pisała o nowej pracy, o tem, że szukała na przedpołudnie szkolnej praktyki, o tem, że Stefan miał już pracę, zadawała bez końca pytania, jak Andrzej się czuł, jak gorączka, odżywianie, czy nadchodzą gazety i co z praniem. Wszystko w nim było. Zaufanie, rozsądek i troskliwość. Nie było tylko Anny.

Z rękami opartymi na kolanach Andrzej siedział długo na rozgrzanej, miękkiej trawie.

Z chałupy buchał zapach brukwi i kartofli, który mldił przyzwyczajonego do lichych restauracji Andrzeja.

Dzień był pusty, beczynność ciążyła, słońce paliło gorąco i duszno.

— Prz pana niechno pan... — odezwał się Jędrak, siedząc w kuczki z podniesioną ilustracją:

— Co te ludzie robią i co na onych tablicach stoi? —

Pod same nieuważne oczy Andrzeja podsunął ilustrację, gęsto zbity tłum z transparentami. To był marsz głodnych na Londyn i Andrzej odrzekł:

— W Anglji (Wiesz co to Anglja?) wiele tysięcy ludzi, którzy nie mają co jeść poszli przez dużo kilometrów do swojego głównego miasta żądać chleba i roboty, żeby zapracować na siebie. —

— Tak? — spytał niepewnie Jędrak, pełen niejasnego zdumienia, że się tych głodnych sfotografowało:

— I co jem dali? —

Nic — odrzekł Andrzej. — To nie tak łatwo. Trze-

ba pomyśleć i popracować, żeby oni wszyscy dostali. Tego się trzeba nauczyć. —

— Naprawdę zaś taka nauka? — przyjrzał mu się Jędrak.

Andrzej nagłym ruchem ujął go pod podbródek: — Tak — powiedział ciepło. — Nauczysz się, co? —

Chłopak zaśmiał się wstydliwie. To w dużej panowie walizie, w książkach musiała być cała nauka, wcale inna jak w szkole, właśnie o takich ciekawych rzeczach z gazety. —

W niedzielę od rana przyjechali Stefan Pietrzak i jego starszy brat, od paru lat pracujący w fabryce radjoaparatów. Byli zakurzeni, bladzi, bladeścią miejskich ludzi i nawet mizerna twarz Andrzeja wydała się przy nich hoża i rumiana pod lekką opalenizną. Byli weseli i głośni, wdychali z rozkoszą wiejskie powietrze i cieszyli się wyglądem Andrzeja:

— Wspaniale się poprawiłeś, chłopie. Ale masz py-ski... — I porwali go swoją radością, uprościli nagle zwykłymi pytaniami najtrudniejsze sprawy.

— Nie kaszlesz już — spytał Stefan.

— Prawie wcale — odrzekł Andrzej.

— A twoja żona będzie dzisiaj? —

— Wiesz przecie, nie jest wolna. Djabli z tą kondycją — i zachciało mu się nagle wypytać Stefana dokładnie, jaka była Anna, kiedy ją widział. Ale nie doszło do tego. Tamci cieszyli się wszystkim naokoło, słońcem i cieniem, drzewami i trawą. Pełni byli ra-

dości i ochoty życia, która tryskała po godzinach ciężkiej pracy ich skromnego, trudnego życia.

Marjan, monter był z nich najstarszy, miał trzydzieści trzy lata, a w nich siedemnaście pracy. Zarabiał w nich zawsze sam dla siebie na życie i raz, w czasie strajku na małą bliznę na czole. Dzisiaj, po ich upływie pracował trzy dni w tygodniu i wiedział dobrze, że na wypadek redukcji będzie pierwszy, właśnie spowodu spraw związanych z ową blizną.

— Ale żyjesz, bracie — powiedział Stefan — żeby mnie tak na wsi posadzić sadłem bym obrósł. —

— Zobacz jak się tam gospodarze mojej chałupy na wiejskim powietrzu utuczyl — odrzekł mu Andrzej, wciąż jeszcze łatwo się zasepiając.

— Ja ze wsi wyszedłem — powiedział nagle Marjan, — ale wiecie jużbym nie chciał wracać, zdaje mi się, żebym nie wytrzymał. To twarde ludziska. Jak pazurami ziemi się trzymają, a jeden drugiemu wróg. Nasz ojciec mało mnie raz w gniewie nie zatłukł, żem parę groszy wydał. Tak to się u nich wszystko w całym inna stronę jak trzeba obraca. —

Leżeli niedaleko chałupy na łączce i przeciągali się z rozkoszą. Andrzej przypominał sobie, jak to pierwszych dni on sam nie mógł się nasycić zielenią i zapachem trawy.

Tak i oni teraz zrzucili marynarki, zawinęli rękawy koszul i z zachwytem dopadli maślanki, którą im wyniosła Stacha gospodarzy. Zawołali, żeby została, ona jednak za młoda jeszcze była i śmieszka, uciekła

wstydliwie, czekając, czy nie zawołają znów, ale oni zaraz zapomnieli.

Stefan wyrwał garść trawy i palcami przebierał w szorstkich, soczystych źdźbłach:

— Żeby czasem tutaj latem побыć. Osiem, nie dziewięć lat, zem nie był na wsi. Jeszcze jak chłopak a ciotki w Aninie. To tak potem człowieka ciągnie. Przyjdzie lato, coś się wyrывa, choćby na trawie pod miastem poleżeć. Byle od murów. —

Marjan ku słońcu, nastawiając szramę, odetchnął głęboko powietrzem pachnącem rozgrzaną trawą, krokami i świeżą słomą:

— Od murów, powiadasz. Gdzie tam od murów. Bywa czasem, że tak do fabryki ciągnie. Jak czasem roboty nie mam, a słyszę, fabryka idzie, tobym się rwał tam. Jak bracie roboty nie masz, to najgorsze. Tak oni psie dusze człowieka ciągną. Jak robisz to za grosze i wciąż o coś użerać się musisz. Żeby wyżyć, żeby za zniszczone nie płacić. No wiecie, a niech tej roboty nie ma, to... Dlatego się człowiek za nią spręda najprędzej. —

— Jak mojego ojca w piątym roku zabili, to się wtedy tak mówiło, żeby dzieciom było lepiej. A my właśnie byliśmy wtedy maleńkie dzieci — rzekł Andrzej.

— A my znów dla dzieci, co? —

— Dla nas — odparł Andrzej.

Będę miał robotę — powiedział Stefan — Nonplus ma pięć dni iść. Od soboty zaczynam. —

— Twojego świętowania też zaraz dosyć, nie Jędrus? —

Poweseleli obaj i Andrzej razem z nimi poczuł sam, że napewno niedługo wróci do miasta, że się znajdzie praca i — Anna. Wzięło się to z zieleni i słonecznej pogody i z tej piosenki, którą kobieta śpiewała zdaleka, od strony sąsiednich opłotków.

— Lulajże mi mój maleńki.

U kaczora srebrne pióra,

U kaczuszki złote nóżki...

Z tego, że tak we trzech leżeli spokojnie na zielonej, pachnącej trawie.

Naprawdę ułożyło się trochę inaczej.

Anna przyjechała na jeden dzień, żeby opowiedzieć, że wyjeżdża z uczenicą nad morze. Była serdeczna i rozmowna i w pustą noc po jej wyjeździe, bo odjechała przedwieczorem, przekonywał Andrzej siebie, że nie miało sensu to, czego on pragnął skrycie. Żeby zmieniła kondycję i została gdzieś blisko.

Taką dobrą kondycję i wyjazd nad morze. Dlaczego miała zrezygnować. Dlaczego?

Andrzej rozważywszy to, napisał pogodny list, zachęcający Annę do wyjazdu.

[Anna знаła już zbliżony dom i jego ludzi. Zdaleka, podczas pierwszych dni wszystko było ujęte w gotowe wyrazy; zwyczajni burżuje. Potem zjawilo się bliższe oblicze, nowe, ludzkie, rozsadiło gotową formę wyrazu. Najpierw, doktor Stawan, wielki chirurg, potem krótko w myśli „jego żona“.

Przywiedła twarz pod różem, we włosach kilka siwych nici. Uczepiona rozpaczliwie sprawy posadzki w gabinecie, nadziei na nową lampę, zajęta po uszy, kiedy trzeba kupić sukienkę Zosi, wystraszona, kiedy dokonywa się coś na świecie (znów tam gdzieś rewolucja, w Hiszpanji zdaje się. Tyle ofiar), poprostu wcześniej starzejąca się kobieta, która chce, musi być ważna i zajęta, żeby usprawiedliwić swoje życie.

Raz w tygodniu wychodziła Anna na cały wieczór. Ilekroć wracała wtedy, zastawała ją najczęściej w stołowym pokoju, na samotnej wyspie światła, która spod abażuru spływała na stół.

Czytała jakieś pismo, albo może nie czytała go wcale. Kąty pokoju tonęły w mroku. Zegar w szafce pojękiwał miarowo. Jeszcze raz owego wieczoru odczuła Anna straszliwość życia tej kobiety, która nie umiała sobie poradzić z jednym wieczorem.

Z wiecznie robionym swetrem zastała ją przy stole, spokojną, wytworną panią doktorową i zwykłą, smutną kobietę, która starzała się prędzej niż jej mąż. Prostolinijne, nowoczesne meble otaczały ją obojętnie. Sprzętów było mało. Tylko śliczny klosz z błękitnej kopenhaskiej porcelany był staroświecko podtrzymywany przez niemodne amorki i staroświecka była samotność kobiety przy stole.

— Już pani idzie spać, panno Anno? —

Uprzejmie jak zwykle, ale nieco cieplej. Ze zwyczajną ludzką tęsknotą, żeby nie być zupełnie samą, woła Stawanowa i Anna musi podejść do stołu, z niechęcią i żalem.

— Niechże pani siądzie na chwilę. —

Złote koło światła obejmuje już obie. Są razem na wyspie. Daleko, w kątach, oddzielone przestrzenią leżą obce łądy mebli.

— Pani nie lubi być sama? — pyta Anna niepewnie i niezręcznie jak człowieka, z którym niewiadomo o czym mówić.

— Jestem przyzwyczajona. —

Gorycz, zawsze utajona w kątach karminowanych ust budzi się.

W przedpokoju ostro dzwoni telefon. Anna wstaje, ale doktorowa szybko uprzedza ją. Sama chciwie chwyta słuchawkę, naturalnie szukają jego.

— Niema — mówi głos przy telefonie.

„Niema“ mogłoby być krzykiem, ale jest zwykłym, chłodnym zaprzeczeniem. W czarnych włosach nad stołem, w świetle lampy widać dokładnie wszystkie siwe.

— Znam doskonale mojego męża, zawsze wiem, odrazu spostrzegam, czy jest czemś innym zajęty. —

Anna jest niespokojna, chciałaby wstać, ale głos obok wyzwolony z samotności opada i wznosi się wciąż.

— Zawsze przewiduję jego nowe projekty. Wiem, kiedy zaprzęta go coś, o czym nie opowiada — mówi kobieta z czarnymi bystremi oczami i przemilcza, że nie wie tylko o czym to nie mówi on i że ona zato rozmyśla przez dni, wieczory i noce: Kto? Dlaczego? Ręce porzuciły druty. To nie jest narzędzie pracy. Rozrywka. Inaczej migają druty pracujących. Ale te

leżą spokojnie na stole i cienkimi srebrzystymi linjami przecinają czarną wełnę roboty.

— Pani nie wie jeszcze co to jest życie. —

Ręce układają się na stole gestem zmęczenia. Palce Anny cienkie, jeszcze czerwone z zimna drgają. Siedzą długo naprzeciwko siebie. Na jednej wypie blade złotego brzegu świetlnego. Mówią do siebie.

Mieszkają razem. Ale są obce. Tyle, że odchodzą od siebie z jednakową myślą: Co ty wiesz....

Raz w tygodniu o dziewiątej wieczorem wychodziła doktorowa. Na posiedzenia towarzystwa dobroczynnego. W ten wieczór nabierała ożywienia, Spieszyła się, cieszyła się, była zajęta. W korytarzu, Annę idącą do pokoju, spotkał doktor ubrany do wyjścia.

— Pani wychodzi wieczorem? — spytał.

Zaprzeczyła. Skłonił tylko głowę. W stołowym dzwoniły kluczyki kredensu, pani domu zabierała je przezornie. Zdaleka drzwi otwierały się i zamykały, aż wejściowe trzasnęły w zawiasach. Mieszkanie zastygło nieoświetlone puste od strony pokojów.

Anna przy stoliku nad książką czekała. Jeszcze w ciszy pełnej szmerów tykania zegara i wiatru za oknem upłynął kwadrans. Po raz trzeci czytała z napiętą uwagą, bez najlżejszego rozumienia ostatnią stronicę... Potem u drzwi wejściowych ktoś włożył klucz do zatrzasku.

Anna wstała z sercem bijącym tak, że szemrało w uszach. Może zostać? Podeszła ku drzwiom. Tam

spotkali się. W milczeniu oczami pokazał jej drogę.

— Pójdę i powiem — przekonywała się Anna. Posadzka skrzypiała zdradliwie, obce meble cudzego domu trzeszczały cicho. W gabinecie lekarskim, z jednej strony pełnym bieli kanapki, szafy z narzędziami, z drugiej ciemnym i dostojnym paliła się na biurku mała lampa. Stawan podszedł blisko. — Czekala pani? — spytał.

Ale ona w gorącym odrętwieniu nie mogła znaleźć ani jednego ze słów, które chciała powiedzieć. Dopiero, kiedy poczuła jego ramię, rzekła cicho:

— Niech mnie pan puści. —

Przytrzymał. — Naprawdę pani nie chce. Czy nie rozumieliśmy się przez ten cały czas? Nie chcesz? —

Naiwnie, z głęboką troską szepnęła:

— Mam męża. —

Zdumiał się. Jego ramiona opadły na chwilę. Przypatrywał jej się. Potem nagle znów zbliżył się do niej. Nie całował, zamknął ją tylko w ramionach.

— Wiedziałaś? — zapytał tylko.

Wtedy Annę powiedziała prawdę, (która |powoli dojrzała w ciągu ostatnich dni.

— Wiedziałam, ale.. —

Jego palce twardo przytrzymały jej ramiona.

— Jakie mogą być jeszcze „ale“, jeżeli to wiedziałaś? —

Podniosła brązowe oczy pełne smutku i żaru:

— Dlaczego? — zapytała boleśnie.

— Jest tylko jeden powód — odparł doktor Sta-

wan, ten obcy, bliski człowiek, który ją trzymał w ramionach:

— Jedyne prawdziwy powód, jest ten, że tego chcemy, a że chcemy bardzo, więc będzie. —

A potem nagle stało się wszystko niezmiernie proste, tak jak słowa, które dostrzegały jedną tylko przyczynę. Stawan nachylił się ku niej. Kiedy ją objął i gorącymi palcami usiłował zdjąć ubranie, Anna uczyniła to, czego nie śmiała zrobić w wyobraźni, zrzuciła swoją granatową sukienkę i obca dla siebie samej, dziwnie wysmukła, wysoka w tym wielkim, cudzym pokoju stała przed nim, jakgdyby na to właśnie czekała od lat — całe życie.

...O dwunastej ostrożnie otworzono drzwi wejściowe. W przedpokoju szły spokojnie, równe kroki Marji Stawan. Mieszkanie spało cicho. W sypialni Marja zapaliła światło, nie było nikogo. Westchnęła. Nocna cisza szemrała tykaniem zegarów i nieuchwytnym trzeszczeniem posadzki.

W odległym gabinecie Anna szepnęła — To straszne.. —

Stawan przycisnął jej rękę do ust. — Codzień — powiedział tak cicho, że ledwo słyszała — codzień mordujemy żywe stworzenia, żeby jeść.. —

Pocichu, dławiąc się własnym oddechem dotarła Anna do swego pokoju.

W pierwszej chwili przyjazne poduszki ogarnęły ją tak łagodnie, aż je Anna skolei objęła miłośnie, zatargana bólem i radością minionego wieczoru. Miękkie, białe płótno gładziło wyrozumiale. Bezczelna

młodość krzyczała z radości, z dosytu, przekrzykiwała słowa listów Andrzeja i ohydę wędrownki na palcach z bijącym sercem obok przymkniętych drzwi oszukanej kobiety.

Szczyście posiadania własnego młodego ciała szalało w Annie, kiedy je nieoczekiwanie zdusiła, przytłoczyła myśl o dniu, który nadchodził.

Jak już zaraz na dzieńdobry trzeba się będzie uśmiechnąć, a potem napisać do Andrzeja? Nie napisać wcale?

Łagodna biel pościeli ukazała gwałtownie swe skryte oblicze. Paliła, grzała, ciągnęła w przepaść, gdzie była tylko jedna chęć: nie stracić tego i sto innych, pytań, ale jak żyć dalej?

Naturalnie z zamkniętymi oczami znało się teorię, co należy. Odejść jutro z tego mieszkania. A tymczasem jutro czekał zwyczajny, nieznoszący wielkich spraw powszedni dzień z walizami, z przygotowaniem podróży na pojutrze.

W zasłoniętych pokojach noc bywa stokroć czarniejsza niż rzeczywista noc nieba i ziemi. Oszczędzać tę kobietę, która spała niedaleko. Była starsza, była matką i oszczędzać Andrzeja, był chory, był dobry i bliski i oszczędzać Zosię, tak bez końca, bez końca rozwiązywała Anna to zadanie i nie pomagała codzienna wprawa, nie można go było rozwiązać. Na próżno mówić jak do Zosi i Stefanka: Uważaj, uważaj..

Bardzo wczesnem ranem w sennem mieszkaniu szły kroki. Był telefon. Doktor Stawan wyjeżdżał do

miasta. Tylko czujna pani Marja słyszała i wstała razem z nim.

Stojąc pił zbyt gorącą herbatę i patrzył na drzwi. Za niemi była Anna. Dziwna rzecz, miała męża. Jaki mógł być?

— Młody chłopak — pomyślał Stawan z wyrozumiałością, która była podobna do niechęci.

Późne morskie lato zwodziło ludzi. W południe niby słońce już paliło, ale wiatr zrywał się jeszcze ciągle zimny, przewiewał zniecacka bure, wodą nalane chmurzyska i piasek wybrzeża, pod suchą białością pierwszej warstwy, był wilgotny i zimny. Letników przyjeżdżało mało.

W Kaczej Dolinie podnajmowane jeszcze w kwietniu i maju pokoje stały puste, już sprzątnięte dla gości, a gospodarze, opróżniwszy szafy, musieli od swoich staroświeckich luster z konsolkami, od haftowanych błogosławieństw na ścianach i papierowych nastrzępionych kwiatów, sprowadzić się do nędznych przybudówek i komórek.

Któregoś z tych dni wietrznych i zimnych, pełnych szumu wiatrem pędzonych fal, kiedy Joachim, odłożywszy szczudło, naprawiał na ławce grabie, przydzwigał się powoli przed furtkę, ocierając pot z czoła, tutejszy numerowy Kunkel, z wózkiem pełnym bagażu. Opasłe walizy z kolorowemi kartkami, pledy i pościel w paskach, a wszystko razem pachnące nowiną, podróżą i letnikami, stało przed domem.

Joachim, najstarszy syn, opierając się na szczudle,

szybko pokulał naprzód, z ogrodu wyszły Hilda i Marja w fartuchach, obie szczupłe, suche z zaondulowanymi żelazkiem włosami. Matka Czoske podeszła do samego płotu, żeby odgadnąć do którego mieszkania przyjechali letnicy.

Kunkel zaczął zwałać bagaż z wózka i wtedy na mostku zobaczyli przy płocie Czoskowie dwoje dzieci. Trzynastoletnią dziewczynkę, młodszego chłopca (jaki cienki, zdumieli się wszyscy odrazu) i pannę w zwyczajnem palcie z paskiem.

Nie mogło tu być żadnej pomyłki. To była panna od tych dzieci. Ich matka nie przyjechała wcale. Dziewczynka była wesola, chłopak zmęczony, a panna pod czarnymi brwiami miała oczy brązowe niby uśmiechnięte i niby poważne. Takie jak żadna dziewczyna, odrazu pomyślał Joachim nabrzmiały całoroczną tęsknotą do nowych letnich miłości i zdarzeń.

Wszyscy poruszali się żywo. Letnicy byli do dwóch najlepszych pokoj, gdzie w zielonej pluszowej ramie z drukowaną wiązaną białozielonej konwalji wisiał pobożny niemiecki napis: „An Gottes Segen ist Alles gelegen.“

Trzepano pościel, pakowano rzeczy do szaf, dzieci pomagały, a panna stała potem przed matką Czoske i zamawiała dwa razy dziennie świeże mleko.

Czoskowa uśmiechała się młodą twarzą pod gładkimi siwymi włosami. Miała dziesięcioro dzieci, a wyglądała szczupło i młodo jak wiele kobiet wybrzeża.

— Jo sama doja moja krowa — powiedziała wesoło — trzy razy dziennie świeże mleko. —

Pod oknami i na ganku kręciły się dzieci, próbowały okiennic.

— U nas nie kradną — uspakajał je Wiktor Czoske ostrzyżony na zero czternastolatek z długimi rękami.

Stefanek z odległości zadawał pytania:

— Czy się już kąpią i którędy do morza? Czy w strumyku są ryby? —

Wiktor z gorliwym zainteresowaniem objaśniał, że niektóre goście chodzą się kąpać, a tutejsze wcale się tyle nie kąpają.. Do morza zaś szło się „tandy“.

Stromo w górę z kotlinki Kaczej Doliny. Z jednej strony rósł tam na wzgórzu gęsty, pełen mszystego poszycia las, z przeciwnej po spróchniałym mostku nad szemrzącym strumieniem wychodziło się na piaszczystą Morską ulicę

„Tandy“ do szerokiej drogi, którą zaczynano brukować, a kiedy wchodziło się na tę drogę, zdaleka w dole leżało nieogarnione, płaskimi brzegami majaczące, wciąż nowe, a zawsze to samo — morze.

Wiktor pomagał zamknąć ciężkie okiennice, Hilda w brzuchatym dzbanku przyniosła ciepłe odudoju, spienione mleko.

Jeszcze wciąż przyglądano się sobie, zadawano grzeczne pytania, czy pomęczzone z drogi, a goście, jakie tu pogody? Tak letnicy weszli w życie Czosków, wszystkich potrochu, a najwięcej Joachima.

To on, nie mogąc dość szybko o swoim szcudle

ruszyć w świat, czekał aż co rok latem daleki świat przysyłał mu swoich wysłańców.

O wczesnym świcie wstawali Czoskowie. Najpierw matka, potem stary i chłopcy.

Kiedy słońce paliło sypki piasek wybrzeża i suszyło rozpięte rybackie sieci, na Morskiej drodze zakwitały jak kolorowe kwiaty, parasolki i płaszcze letników a u Czosków w nisko położonym nad strumieniem ogrodzie, Joachim wrywał wtedy ostatnie marchewki i ścinał twarde seledynowe głowy kapusty na targ.

Mała furmanka czekała już zaprzężona. Przed laty, kiedy nie było letników, ani białych pensjonatów, ani bruku na ulicy i dworca, zawsze jednak było morze, były rodziny rybaków Adler i Borgman i ogrodnicy Czoskowie i Wetzlowie. Nie było jeszcze ani Joachima i Wiktora, ani Marji i Hildy, były ich babki w szerokich spódnicach, z bluskami pod szyję i ich dziadowie, ogorzałe na cynobrowy morski kolor spracowane chłopaki w białych chustkach na szyi, którzy teraz w „dobrym pokoju“ patrzyli z fotografii w pluszowych ramkach, albo innych nowszych, z szyszek.

Za Niemców jeździła furmanka do Wolnego Miasta z tą samą marchwią, kapustą i truskawkami.

W Wolnem mieście wybierali żony i mężów, sto razy już spowinowaceni z miejscowymi ludźmi, z rybackimi rodzinami Adler i Borgman, z ogrodnikami Wetzel i Czoske. Najstarszy z rodu dziad, rybak bronzowy i zmarszczony, z odciskami od wiosel na rę-

kach, po niemiecku tylko mówiący opowiadał chętnie i wylewnie: Jo Kasuba..

Tak powtarzał od lat, od czasu, kiedy nie było bruku, ani białych pensjonatów, ale było morze i stare rybackie rodziny. Jego dzieci stały się Niemcami, jego wnuki to znów byli Polacy, tylko on ostał Kasuba i tak starczym zwyczajem po raz nie wiedzieć który opowiadał Annie i dzieciom, które wielkiem, głębokiem czółnem woził w pogodne dni po błękitnem i srebrnem morzu w stronę białych chmur do urwistego wybrzeża Oksywji.

Stamtąd wracali weseli i pomęczeni w południe do Kaczej Doliny, a Joachim tymczasem zrywał truskawki, strugał pale do drzew, siekał paszę dla krów, potem z szopy wyciągał dyktę i cienkie, drewniane deski i zbijał dla pojedynczych letniackich pokoi w przybudówce lekkie szafki i stoliki.

Tyle tylko, że czasami oczami szukał, czy nie idzie panna po wodę, żeby jej prędko napompować, ukrywając wstydliwie szczudło i zapinając mokrą od potu koszulę.

W niedzielę zato skwapliwie przywdziewał nową nogę w lśniącym bucie zakupioną w Wolnem Mieście. Z tą nogą czuł się całkiem inaczej. Ale była tylko od święta. Matka Czoske w książce do nabożeństwa prasowała starannie niebieskie setki. Nie zmieniał się ich nigdy na drobne za pamięci dzieci.

— Dlaczego pan pracuje cały dzień bez przerwy? — zapytała Anna, stojąc w upalny dzień nad grzędą fioletowej kapusty.

— Jakże — odparł Joachim — trzeba robić na życie. —

— Ale pan już nie ma czasu na nic innego. Ani chwili dla siebie. A co pan robi zimą? —

— Zimą znów inna robota jest, A cobym miał innego? —

— Mało to rzeczy ciekawych — odparła wesoło Anna — Poczytać, wyjść gdzieś, łódką pojechać. —

— To my w święto — odrzekł Joachim gorący ze zmęczenia, wzruszenia i radosnego podniecenia tej rozmowy — A potem też.. — urwał i popatrzał na szczudło.

— To nic — powiedziała panna — tyle się można dowiedzieć, poznać i nauczyć. Chciałby pan przeczytać, ja pożyczę książkę, gazety.. Pracuje pan bez wytchnienia, więcej niż najbiedniejszy wyrobnik. A tymczasem, choćby ja jestem o wiele biedniejsza od pana. —

Tak to pod stromą ścianą gęstego lasu nad morzem, w kotłince Kaczej Doliny po dwudziestu czterech latach życia i już z jedną tylko nogą, poznał Joachim prócz corocznej nowej miłości, nieznaną tęsknotę do obcych stron, ludzi i nieczytanych książek.

Z dni wypełnionych pieleniem, sadzeniem i wszelką pracą, jał wrywać godziny na nieważne, dalekie sprawy, które szybko wrastały w życie. Niezadługo minęła miłość, ale owe sprawy i tęsknota zostały już na zawsze.

Nie obeszło się tylko bez krótkiego bólu zawodu.

Bo od słów panny, że jest biedna, wezbrała w Joa-

chimie pewna nadzieja. Odwracając oczy od swego drewnianego szczudła, patrzył na sad, dom i obórkę. Czwarta część należała do niego.

Cierpliwie czekał odtąd pod pompą, a wieczorem przy ganku i usłudzie pytał:

— Możeby pani na spacer poszła? —

Stukając szczudłem szedł potem obok Anny po wybrzeżu i krótkimi słowami oddawał jej swoje życie z dwóch epok. Kiedy była noga i kiedy ją zdjęli.

W tych rozmowach mało poślizgnięcie na lodzie i długie miesiące w szpitalu, a rosło wszystko, co jeszcze można było mieć.

Kiedy się już tedy wydawać mogło, że panna chętnie na te spacery chodzi i już Joachim godzinami obmyślał, żeby ją kiedyś wziąć za rękę, przyjechał wysoki pan, ojciec dziewczynki i od jednego spojrzenia brązowych oczu panny, okazała się nieomylna prawda, że wszystko na nic.

Joachim zawstydził się nagle głęboko, że mu się zdawało, iż ktoś przyszedłszy tutaj, zostanie i nakąpawszy się dosyta w niebieskim, letnim morzu, nie ucieknie od jego surowej, jesiennej prawdy, jak robili wszyscy.

Jedynego wieczoru, który ów pan spędził tutaj, poszedł na spacer z Anną i na mostku nad strumieniem (zgóry widziało się doskonale) objął ramieniem pannę.

Wtedy Joachim poczuł bolesną ulgę, że nie powiedział jej ani jednego z wszystkich słów, które układały się w myśli na długie rozmowy podczas gra-

bienia, kopania, pielenia i rąbania przez cały dzień, przez wszystkie dni tego lata.

Owego dnia skończyły się spacery Joachima i Anny. Wkrótce zresztą skończył się cały pobyt letników.

...Ostatnia waliza była zamknięta. Anna przyciskała ją własnym ciężarem, bo nie chciała się domknąć. Pakowanie trwało bardzo długo. O północy blisko wzięła się do własnych. Cały domek spał. Anna otworzyła drzwi sionki i wyszła na mały kamienny ganek. W głębokiej ciszy ciemnej, bezksiężycowej nocy doszedł ją daleki szum i łoskot. Jak odległy pociąg. Pies spuszczonego z łańcucha zaszczekał. Za nim powoli, stukając szczudłem szedł Joachim. Pilnował ogrodu.

Podszedłszy pod ganek przekrzyczał szum: — Morze tak bije. —

Szum zagłuszał cienki szmer strumienia.

— Możeby pani poszła na szteg? — spytał nieśmiało po raz ostatni.

— Bardzobym chciała — odrzekła Anna.

— To dobrze, ja zaraz, już możemy iść. Brytana zostawię. —

Przez mostek poszli prędko ku Morskiej Drodze. W ciemności nocy potykali się o kamienie rozłożone przy brukowaniu.

Wtedy martwo, bezdźwięcznie stukało drewniane szczudło Joachima, do którego Anna stosowała swoje kroki.

Na całej drodze nie było prócz nich nikogo. Ciemność przeszywała wąskim, żółtym promieniem daleka

latarka zawieszona przy budowie. Kiedyś, już niedługo, kiedy tu będą bruki z kamiennej kostki i asfaltowa jezdnia — pomyślała Anna — co się stanie z Kaczą Doliną w kotlinie, ze spadzistą drogą wdół? Zmie ni się? A ludzie? Może starzy Czoskowie sprzedadzą nowym hotelarzom nowego wybrzeża kuracyjnego?

Co się stanie z Anną? Która wyjdzie za beznogie go Joachima — tak myśleli oboje pytaniami wszystkich rozstań i wiedzieli, że się wszystko będzie zmie niało.

Nawet morze wyżerać będzie ląd i ląd ludzkimi rękami broniony wybiegnie na wodę, wyrzuci nowe molo jeszcze o kilkaset metrów dalej. Wciąż dalej. Niema kresu tej drogi.

U końca Morskiej ulicy, niżej za świecącym w ciemności szerokim pasem białego, chłodnego piasku leżało morze i biło o brzeg.

Na jesieni — opowiadał Joachim — to tak szumi, jakby wnet całą dolinę zalać miało — Natenczas cały szteg jest pod wodą, aż pod schody Mewy (pokazał biały dom), podchodzi. —

Teraz leżało w swoich brzegach, Wielkie czarne i srebrne drgało i podnosiło się ku lądowi uderzenia mi fal. Fala jak cios zadany ziemi rozpryskiwała się na piachu w długie promieniste bryzgi. Czółna na łańcuchach szamotały się wśród bulgotu wód.

— W takie noce wyjeżdżają na połów? — spy tała Anna.

— A jakże. Od Borgmanów Kurt i od Adlerów

jadą dzisiaj. Nie w takie jeszcze, oho noce łowią ludzi i dalej, aż pod Hel. —

Joachim opierał się, stojąc na szczudle, chciał mu się mówić przed długą, nadchodzącą samotnością, ale panna milczała.

Przysiadł więc obok na wywróconej łodzi, mokrej od nasiąkłego słońca wilgocią wiatru i słuchał szumu, w którym, żeby mówić, do siebie, trzeba było krzyć prawie.

— Chciałabym tu wrócić kiedyś — rzekła Anna

— Co się do tego czasu odmienić może — powiedział Joachim, myśląc o przeczytanych książkach panny.

Anna skinęła głową. Żalem zatargany Joachim zawołał głośniejszym głosem niż przedtem, przekrzykując huk fal:

— Pani się ożeni do tego czasu.. —

Drewniany pomost trząsł się.

— Jeszcze go woda poniesie — zawołała Anna.

Głosy ich brzmiały cieniutko wśród zmagania się ziemi i przedmiotów z falą.

— Poniesie, to nowy zbudują — odkrzyknął Joachim.

Łodzie na łańcuchach szczękały głośno. Fale zalewały białe jeszcze drzewo nowo zbudowanego molo. Z dalekich wybrzeży, z Gdyni, Jastarni i Helu, z Gletkau i Sopot połyskiwały małe, złote punkty światła.

— Wrócimy — zawołała Anna poprzez szum i przypomniała sobie co znaczył powrót.

Fala dosięgnęła ich stóp, gdy wstali. Ostry, słony

wiatr jeszcze raz przepoił Annę tęsknotą, która już nigdy nie opuszcza tych, co poznali morze.

Po niebrukowanej drodze ruszyła przed Joachimem naprzód. Życie, które zatrzymało się na chwilę, na czas pobytu tutaj, od jutra zaczynało się nanowo.

Drewnianą nogą stukał Joachim po swojej ziemi, na której się urodził i miał zostać. Nienapróżno przyjeżdżali dalekie letniki tu, do ich morza. Oni zostawiali coś ze swego wiecznego niepokoju i buntu, a zabierali nieuchronną tęsknotę, żeby tu kiedyś powrócić.

Na stołku stała waliza. W niej trochę bezładnie ułożone było wszystko, co Andrzej posiadał. Była mała i ciężka. Znajomy ciężar starych, biednych waliz. Książki. Po szybach ciekł deszcz i drzewa za oknem jęczały wiejskim lamentem. Gospodarze spali, w sionce tylko ktoś ploszył kury, które coraz zrywały się z gdakaniem.

Andrzej wyjeżdżał. Dzisiejszy chlupiący deszcz przyspieszył postanowienie. Nie mógł tu siedzieć dłużej, nawet gdyby później okazało się, że jest znów gorzej. W błyskawicznym obliczeniu już to zostało obmyślane: Krócej, ale żyć...

Do pracy, do swoich (czy to już naprawdę bez Anny?). Tam, gdzie się życie ruszało prędzej niż tu wśród twardych upartych przyzwyczajęń do głodu, nędzy i znoszenia wszelkich jarzm. Pojechać tam i tu

wrócić kiedyś później. Rzeczy były spakowane. Andrzej zamknął walizę. W tamtą stronę pakowała ją Anna. Dość. Nie odpowiedział już na jej list. Był wymijający. Niedorzeczną, upartą nadzieją czekał na rozmowę, a tymczasem mówił sobie: na nic, wszystko na nic. Albo jeszcze: ona się zatracą przy tej pracy. Ale zatem kryło się to, że on traci ją. Tylko nie wiedział dlaczego? Andrzej otworzył skrzypiące drzwi wyjrzał. Lało wciąż.

W sionce stał Jędrzek i wypatrywał za nim. Andrzej chciał mu coś powiedzieć, ale zamruczał tylko dobrotnie: No mały.. —

Wtedy Jędrzek spytał sam: — Jadzie pan do domu? —

— Jadę — powiedział Andrzej i wszedł do izby.

Chłopak został w sionce. Andrzej słyszał jak po twardo ubitej podłodze szurały jego bosc nogi.

Między miastowym letnikiem, mądrym bogiem, który wszystko wiedział, a nim jakże to było daleko.

Kręcił się więc cierpliwie i wyczekująco, żeby jeszcze o coś spytać, coś powiedzieć i nie uronić ani jednej z ostatnich chwil. Nieśmiałe kroki kołowały przy drzwiach. Drzwi były uchylone, spazzone, stare drzwi wiejskiej chałupy.

Miastowy pan stał przy stole zawalonym gazetami i nic nie robił. Ręce mu wisały. Gazet nie czytał, patrzył w jedno miejsce na ścianie, ale Jędrzek widział, że tam nic było, chyba biała plama po świętej Teresce, co tam kiedyś wisała. Stał cicho. Jak to tak człowiek może stać? Poco?

Nareszcie, podnosząc głowę, dojrzał go. Jędrak zawstydził się, a jego bóg, który umiał, jak wszyscy bogowie, nie krzywić się z bólu, rzekł:

— No właż tu, co powiesz? —

Potem rozmięklemi drogami, pod deszczem kropel z nieba i drzew, grzęznąc bosemi nogami w kleistym błocie, pomagał Jędrak wlec paczki do kolejki.

Zwyczajną gwizdką dawano znak odjazdu i swójski samowarek, dysząc ciągnął stare wagoniki. Za oknem, moknąc, machał Jędrak ręką. Andrzej widział potem zdaleka jak pędem wracał do wsi, gdzie w chałupach było przeważnie ciemno. Ludzie przesyłiali długi wieczór, żeby nie palić nafty.

W kolejce było pusto, na ławce naprzeciwko drzemał szczerbaty chłop, mrużył bezrzęse powieki i jego twarz nabierała wyrazu sennego ośpienia. Od ruchowo tylko, stopą w podartym bucie macał płótnem kryty koszyk pod ławką, czy jeszcze jest.

Od czasu jak szła tędy kolejka, jeździli ci chłopcy z żyłastymi rękami, drzemali przez drogę i tylko jedna myśl gnębiła ich sen, czy są te nędzne zawiniątka spod ławki, na które zewsząd zdawano się czyhać.

Zwolna zataczała kolejka szeroki łuk, mijała wysoki z śmieci usypany brzeg Wisły i skręciła. Zdaleka przez szyby zajrzała Wisła opatulona w szarą mgłę.

Byli na stacji. Samowarek stanął, ludzie zaczęli wsiadać, w Warszawie zaczynał się wieczór.

Pod sinemi, prostopadłymi strugami deszczu włókl Andrzej po schodach spod mostu swoją walizę do

tramwaju. Pod odwykłymi stopami czuł miły, śliski miejski bruk. Poprzez utajoną radość powrotu przebijająca się dokuczliwa myśl, jak to już wszystko było inaczej. Ani wspólnego pokoju, ani Anny. Jechał na Stawki do Stefana i w natłoczonym tramwaju, odsuwając wszystkie inne myśli, uparcie i uważnie obmyślał zdania artykułu o położeniu wsi, który chciał napisać.

Na Stawkach w suterynie paliła się już żółtą plamą lampa na stole pod oknem i z za parawanu chybotał się drugi spiczasty płomień knota bez szkiełka. Tylko siennik Stefana Pietrzaka tonął w mroku. Na nim leżał Stefan w ubraniu i butach, z głową wkopaną w poduszkę. Nie odwrócił się przy otwieraniu drzwi. U Kwiatkowskich za parawanem układali spać dzieciaki, pachniał kapuśniak i blaszane łyżki tępo stukwały o naczynia. Spod parawanu widać było nogi i co chwila ukazywała się cała postać. Posadzkarz w spodniach i koszuli, albo jego kobita, mała, czerwona na twarzy, z opierzczałkami od prania rękami.

Tylko ona na skrzyknięcie drzwi wyjrzała z za parawanu. Marja Szymczak przy stole oderwała oczy od lampy i zamigała szydełkiem:

— Panie Pietrzak — rzekła głosem skrzypiącym od rzadkiego mówienia — do pana ktoś —

Wtedy dopiero poderwał się Stefan zaspany, zapuchnięty, skoczył i chwycił Andrzeja za ramiona.

— Spałem — tłumaczył się jeszcze nie całkiem przytomny — jużem się od roboty odzwyczaił to tak się za dnia umęczone, że z wieczora jak kamień śpię —

mówił prędko, odganiając sen, jak nagle zbudzeni ludzie.

Wtedy zobaczył walizę.

— Nie mam mieszkania — rzekł Andrzej — można będzie tu u ciebie? —

— Ano — powiedział Stefan z namysłem, przyglądając mu się — Siadaj Jędruś, starej się zapytam i poszedł za parawan.

Po pierwszych cichych słowach doleciały zaraz stamtąd targi.

— Trzy złote za tydzień to aby dla pana. Dostyc już mam dla siebie suplikatorów. —

— Niech już będzie pani Kwiatkowska, zaraz pani dostanie. On długo nie pobędzie. —

— Jak długo? —

— Może za cztery, pięć dni wszystkiego, a najwięcej już do tygodnia. —

— No niechta — odezwał się posadzkarz — a co za jeden? —

— Panie Pietrzak — wpadła na to Kwiatkowska — ale jakby do tygodnia nie był to już wszystko jedno te trzy złote musi kosztować — i wyjrzała z za parawanu. Czerwona, zmordowana dniem, bystre oczami ogarnęła nowego gościa.

— Co za jeden? — powtórzyła za mężem.

— Z prowincji przyjechał. —

— Za robotą? — szyderczo i nieufnie zapytał posadzkarz.

— Wszystko jedno, niedługo pobędzie — uspokoił Stefan i wyszedł.

Przy pękatej, starej walizce koło drzwi, w gumowym palcie stał jeszcze tak samo jak wszedł, Andrzej chudy, wysoki i teraz było widać — wciąż jeszcze mizerny.

— Stefan — spytał — a jak potrwa dłużej? —

Szlifierz beztrósko machnął szeroką dłonią i rozjeźrał się za stolikiem:

— Siadaj Jędrus, tylko jeść już niema co. —

Na zielonkawo białe ściany koło zgarbionego cienia Marji Szymczak, koło kwadratowej plamy parawanu i wielkiego cienia Stefana Pietrzaka położył się długi, wąski cień przybysza i zamachał niekształtną płachtą palta wieszanego w kącie na grubym gwoździu obok kurtki posadzkarza i mokrej jeszcze babskiej chustki w spłowiałą kratę.

Po Dzikiej, po Smoczej i Stawkach rozeszła się dobra wiadomość. Nonplus szedł pięć dni w tygodniu. Złagodnieli ludzie w sklepikach i kto mógł ruszył się pytać może jeszcze kogo wezmą?

Po kocich łbach Częstochowskiej, sklejonych burem, świeżo wyschłem błotem z samego rana chrobotała głucho ciężarówka. Przywieźli świeży zapas rogu do przetapiania.

A że z jednej nadziei bierze druga, Julcia z samego rana ochoczo szykowała sobie kawę i chleb i biegła do fabryki ze skrytą myślą, że może już dzisiaj zgodzony nowy szlifierz.

Głupia to była nadzieja, z nici wysnuta, skryta pod innymi rozmowami z Andzią Sikorą:

— Ciekawa rzecz jak długo będziem robić pięć dni. —

Na to Andzia:

— Wyplacę się Urbańskiej za komorne. Ale tak samo zaliczki ino temczasem dają. —

Potem znów Julcia w szczekaniu wirówek, wśród krótkich warknięć przesuważy:

— Takbym w niedzielę do kina poszła na tę „Uwiedziona“. —

Od tego kina wzięło. Napróżno Julka sama zносиła grzebienie nadół, nim ryży Mundek zdążył przyjść po nie.

Z za szarych, grubym pyłem przysypanych szmat patrzyły zawsze wciąż te same, stare znajome, przypruszone okruszkami, z ciemnymi kreskami kurzu w każdej fałdzie skóry. Ale szlifiarza Pietrzaka nie było tam jeszcze.

Rano, za dziesięć siódma przed fabryką mijała Julka szatyna ze zrosniętymi brwiami, gisera od Olkowskiego.

Nie patrzyła na niego umyślnie, ani trochę, ale taka już była, że przytem widziała go. Sciskając butelkę zbożowej kawy pod pachą, przebiegała prędko z gołą głową w brązowym, kusem palcie. Tylko oczy patrzyły szare pod czarną rzesą, jasne jeszcze od wyspania, nieprzesłonięte kurzem rogowego pyłu.

W przejściu koło szatyna zjawiały się zęby. Dolne,

białe przygryzały lekko górną wargę. Poco? Niewiadomo.

Potem prędko przebiegała podwórze i po schodach na piętro. Stawały jednocześnie z Pawlakową i Andzią Sikorą do jednego rzędu wirówek.

Żadna nie pamiętała, w której chwili zaczęło się nakładanie grzebyków po trzy w rzędzie i już chciały, czy nie, jednym tchem musiała każda biegać po swoich trzech wirówkach. Nałożyć. Pierwsze szczęknięcie. Wyjąć. Druga maszyna. Trzecia. Wyjąć, nałożyć.. Następna. I już upartem, nieznużonem szczęknięciem woła pierwsza wirówka.

Kamienne koła fajlarek przeciągłym zgrzytem zaczynają dzienną drogę.

Z fajlarzy zawsze pierwszy zasiada Feliks Zając ze skrzywioną łopatką. Pasy transmisji hucząc obracają koła. Podłużnymi szuflami zbierają kobiety pył. Julka rzuca okiem na Andzie. Już szarość pyłu zaczyna powlekać jej chudą twarz z małemi burakowemi wypiekami na kościach policzkowych.

Od piątku w południe Julka powtarza swoje:

— Chodź Andzia, kiedy cię proszę, chodź do „Unji“ na „Uwiedzioną“. —

— Kiedy ja nie pójdę — upiera się Andzia — u nas w domu mama choruje. —

— Ale na pięćdziesiąt groszy nie bądź taka chyttra. —

Julka na pieniądz niema żadnego zrozumienia. Może nie być w domu na chleb, na kartofle, ona gdzieś swoich parę groszy posieje. Tomasz brat —

bezrobotny, matka posługę ma w biurze, a zameżna siostra Hela tylko patrzeć jak do domu wróci, ale nie sama, tylko z facjatką, co jej mąż zrobił, a teraz grosza nie zapracuje.

Nie ciągnie ją do domu po fajrancie.

Kiedy na południe wrywa się z komina zgrzytliwy gwizd, powoli przystają wirówki. Ręce w pierwszej chwili, jakby niedowierzając, ostatkiem tempa wrywają grzebyki. Wstają fajlarze zgóry same stare chłopy. Pawlak bez zębów, krzywy Feliks Zając, wąsaty Urbański, ojciec pięciu dzieci i zabijaka Piotr Chudzielec, który się o bójkę sprawy w sądzie doigrał, a teraz ciągle tylko kary się boi.

Pawlak go uspakaja: Jak niekarany jesteś to zawieszają.

I wciąż tak: Zawieszają aby?

Mężczyźni schodzą na podwórze, żeby zapalić, zjeść. Pawlakowa w kącie karmi swojego starego chleb mu drobi, żeby przegryzł łatwiej. Tylko dziewcząt parę zostaje na górze przy stołach.

Andzia, bo nieruchliwa. Pelagja sortowaczka bez dwóch palców, ta o której niegdyś było w gazecie pod nieszczęśliwymi wypadkami, że została schwytana przez tryby maszyny uległa poszarpaniu dłoni i zmiażdżeniu dwóch palców. Kiedy się to wygoiło, Pelagję trzypalcówkę przyjęto tylko z łaski. Z niemi zostaje Julka, bo gdzie łaźić?

Wraz z ustaniem maszyn jaśniejają, rzędną w powietrzu chmury kurzu i tylko delikatną, cienką warstwą jedna po drugiej układają się na ścianach, sto-

łach i maszynach, przenikają skrycie Andzię suchotnicę, trzypalcówkę Pelagję i ładną Julkę.

One zaś przysiadły za stołem, zając z paczek i blaszanek. Andzia piła zupę mączną, a tamte obie jadły chleb złożony w grube poprzeczne pajdy.

Pelagja mieszkała u siostry straganiarki. Jej chleb bywał zawinięty w żółtawe, bibulaste, zadrukowane arkusze powieściowego dodatku. Czarne, ku brzegom jaśniejsze wyspy tłuszczu opływały miejscami stronicę. Julcia ostrożnie zdmuchiwała z nich okruszyny i podsuwając na bliższą okna stronę stołu, czytała prędko, trochę opuszczając opisy, „Tajemniczego dżentelmana“.

Carot nazywał się szlachetny bandyta, imieniem niespotykanem na Dzikiej, ani na Stawkach.

Mówił do swoich kobiet takimi słowami, od których wzdłuż po krzyżu spływał błyskawicznie gorący, słodki dreszcz.

Imieniem Carot huczały najeżone grzebieniami wirówki. Nabrzmiałe lekko od stania nogi ruszały się wtedy najwolniej. Żaden z fajlarzy, żaden szlifiarz, ani wytapiacz rogu, nikt taki nie był ani trochę jak on. Żeby to na codzień w życiu pełnym maszyn, grzebieni i szczybatych talerzy, które z całego dnia czekały na zmycie tłuste i przyschnięte, żeby znalazł się taki Carot, bandyta, silny odważny, a czuły.

Niecodzień pakowali Pelagji chleb w „dalszy ciąg“. Brakowało, albo powtarzało się. Na parterze wciąż jeszcze nie było szlifiarza Pietrzaka, jedyne go człowieka podobnego trochę do Carota.

O jasnym, wiosennym zmroku na Częstochowskiej zaczynały huczeć syreny. Cienka, krótka Nonplusu na koniec roboty i gruba, przeciągła Olkowskiego na drugą zmianę.

Kiedy w pierwszej robił giser Jan Seweryniak, bywało, że pokreślił się koło Nonplusu, aż powoli najpierw z szlifiarni, potem z piętra zaczęli schodzić ludzie. Dziewczyny na samym końcu.

Seweryniak był sportowiec. Miał krótką bliznę nad brwią i małe bystre oczy. Wysoki, mocny, ale niepodobny do Carota. Śmiał się chichotliwie, bezwstydnie i nieprzyjemnie. Przechwalał się. Ale trudno prosto z Nonplusu do domu chodzić. Niedaleko, na Pokornej w oficynie matka zaraz kładła się spać, brat Tomasz w domu nie bywał, jedzenie ciepłe i zgęstniałe czekało w piecyku.

Dzień się kończył jednakowo wcześniej i jednakowo biadoliła matka, żeby na komorne chować, a nie na pantofle. A pantofle Julci scerowane, szramami pęknięć porysowane zaraz rozpadną się.

Nie jutro to za dwa dni. Rozlecą się napewno. Zwyczajnie odpadnie góra od zelówek. Cały dzień w tych samych, ile co już czasu?

Julka mówi: — Zobaczy mama, rozlecą się. —

A mama swoje: — Najpierwsze komorne. —

Nie rozlatują się naprawdę. Niewiadomo jak, ale się trzymają.

Pietrzak Stefan nie przyszedł. Niema poco latząc do niego. Nie to nie. Do niczego widać takie ciche

przecucie, jakie czasem chwyciło. Zato podchodzi Seweryniak.

Idzie koło Julki.

— Dobrywieczór pannie Julci. —

Rozmawiają.

— Na strzelnicy byłem w niedzielę. Ale mi szło powiadam pannie Julci. O, ten znaczek już mam. Bronzowy znak. —

W klapie marynarki błyszczy bronzowy znaczek. Owszem, chłop też niczego, ale gdzie jemu do mądrości Pietrzaka Stefana. Żal zalewa nagle gorzko serce Julki.

Pod podeszwą wyraźnie leżą śliskie, wilgotne kamienie Dzikiej ulicy.

— Na spacer pójdziem se tam — powiada Seweryniak i ledwie Jula kiwa, że owszem, można na spacer, już on pod rękę ją chwyci i przez cienkie bronzowe palto wyraźnie oblepia jej ramię pięć twardych palców gisera.

Na Dzikiej, tam, gdzie małe uliczki sięgają już pustych pól z porzuconemi bez dna garnkami z niebieskiej emalii, wieją zamiejskie, chłodne wiatry.

— Jeszcze jeden taki spacer w tych pantoflach, a na amen pójdą — myśli Julka.

Seweryniak prowadzi ją tymczasem i opowiada jak Kowalska Mela z ich fabryki za nim lata. Powiada niewinnie:

— Jak klajster się przyczepia. Niektóre dziewczyny bez żadnej ambicji. —

Gdzie to takie dziewczyny — myśli Julka — jak

te za którymi chadza Pietrzak Stefan. Przecież i on musi jakieś. No nie?

Za białym parkanem jest skład desek. Tam siadają na szorstkiej, wilgotnej belce. Ledwie siedli, już ramię w jesionce ogarnia Julkę. Ona się szarpie.

— Panna Julcia wstydliva. Ojej. Ja wolę kobitę, żeby szczerą była, nie takie tam, a tu nie, a tam nie. Przecie nie zjem. —

Julka śmieje się. Niegłośno i niebardzo wesoło, ale nagły strach się w niej bierze, że Seweryniak pójdzie sobie. Po ulicy chodzą ciasno spojone parki. Niema co czekać na królewicza. Dziewuch dzisiaj więcej jak chłopców. Na Pokornej po ciemku mama spać się kładzie, Julka, nie żeby przykro było, kiedy giser tak ją trzyma, ale nie to jest, nie to...

Seweryniak powiada:

— Jutro mogę po pannę Julcię przyjść. Pójdziem do kina, a później u jednego kolegi się zbieramy. Powiem, że z narzeczoną przyjdę. —

Śmieje się. Ręka już jest trochę wyżej. Julka waży chęć odepchnięcia z nadzieją na jutro. Kino i narzeczona. Prostuje się. Już czuje jakby z jej ciemnych włosów spływał welon tiulowy na dwa metry. Żartował aby, czy nie? Wszystko jedno.

Giser Seweryniak jest tuż na drewnianych deskach, można posiedzieć z nim i pogadać.

— Ja to już najwięcej kino lubię. Ach, tyłkobym w kinie siedziała i patrzyła na obrazy. Najlepiej smutne. Nasze życie też przecie smutne. —

— Wolę covbojskie filmy — przyznaje Sewery-

niak — a wogóle nie przepadam. Towarzyską zabawę lepiej wolę. —

— Zabawę też — potakuje Julka.

Nogi naturalnym ruchem wysunęła już przed siebie. Jest mrok i nie widać pantofli. Ręka gisera powoli, a nieomylnie sięga wyżej. Julka odsuwa się trochę. Niedużo.

Mógł przyjść Pietrzak choć raz pod fabrykę. Żeby chciał. Ale on nie chciał. Do klasztoru iść przez to? Ciężko jest i niewesoło. Czas się wlecze. Serce bije. Jaka to musi być dziewczyna, żeby za nią Pietrzak Stefan chodził?

Z małej, brudnej cukierenki zatelefonował Andrzej do Anny. Z ulicy dzwonił tramwaj, przy stolikach rozmawiano głośno i ręka Andrzeja drżała lekko przy obracaniu tarczy automatu. Potem proszono Annę. W aparacie trzeszczały kroki i szemrały odległe słowa aż zabrzmiał jej głos zdziwiony i — tak.. przestraszony.

Spotkali się w małej kawiarni, jak niegdyś, dawno temu, kiedy przestały im wystarczać spotkania na zebraniach. Później przez trzy lata, dzień w dzień obok siebie nie mieli nigdy czasu na podobne spotkania. Dopiero teraz, kiedy zabrakło wspólnego pokoju i leżały między nimi dwa miesiące rozłąki, zobaczyli się znów poprzez blat stolika.

Pocałowała go na przywitanie. Zmarszczył się.

Usiedli naprzeciw siebie. Anna wyglądała lepiej i trochę, nieznacznie ubierała się staranniej. Rękawiczki, nowy beret i futrzany kołnierzyk przy palcie. To go ukłuło. niesprawiedliwie, wiedział, było jej potrzebne, ale podkreślało odmienność nowej Anny.

— Doskonale wyglądasz — rzekła i nawet te pierwsze słowa były nieprawdą. Chciała mu sprawić przyjemność, ale droga do tego wiodła już tylko przez kłamstwo.

Spojrzał na nią. Wytrzymała w jego jasnym, surowym spojrzeniu. Spytał:

— Nie masz mi nic do powiedzenia? —

— Co chciałbyś wiedzieć? — spytała cicho.

Widział, że męczyła się. Uległ wbrew sobie samemu, odłożył na później.

Nad szklankami czerwono złotej, przezroczystej herbaty, w której płonęły refleksy lampy, opowiadała teraz o sobie.

Już miała na przedpołudnie szkolną praktykę, oczywiście tak płatną, że nie można było z niej wyżyć, więc popołudniu dalej kondycja, ta sama.

Skrzywił się. Nie lubił tej kondycji. Od tego się zaczęło.

— A kogo widzisz z naszych? —

— Wszystkich potrochu. Raz byłam u Stefana, ale to już dawno. Potem Cesię. Resztę w Związku Nauczycieli.. —

Wszystkie pytania Andrzeja, nieważne napozór zmierzały do jednego. Dotrzeć, zrozumieć co się stało z Anną. Wiedzieć. Może zmieniła się zupełnie, ode-

szła od wszystkich wspólnych spraw? Ale tak nie było. Siedząc tu naprzeciw niej widziało się najlepiej, że to przecież była ona, ta sama Anna pełna gorącego buntu, Anna z dusznych pokoi zebrań, gdzie uchwalało się najgorętsze wnioski, protesty, demonstracje, masówki, gdzie się wołało: My, młodzież rewolucyjna.. i gdzie on Andrzej protestował.

— To są ogólniki. Rewolucja, dobrze, ale jaka. Powiedzieć, ustalić. —

Tak było w dniach młodości najwcześniejszej. Najstarsi z nich byli pełnoletni i poprzez książki i gazety usiłowali dotrzeć do prawdy, która usprawiedliwiałaby ich istnienie, młodych inżynierów bez pracy, nauczycieli bez uczniów, uczniów, którym brakło szkół.

Po takim wieczorze można było podejść do młodej dziewczyny z gładko uczesanymi włosami i powiedzieć:

— Chciałbym pomówić z wami. —

Bo wtedy, tak i to było niegdyś, mówiło się „wy“ do swojej Anny.

Teraz między nimi leżał, niezmierny obszar żylkowanego, marmurowego blatu i słowa „bądź taka jak wtedy“ niewymówione wisiały w przestrzeni pustej kawiarni.

Już powiedzieli sobie gdzie mieszkają i co robią, kiedy urwała się nagle rozmowa i Andrzej zapytał odrazu:

— Co się stało?

Chciała opowiedzieć, poruszyła ustami nie znajdowała słów.

— Przemennie — szepnęła wreszcie — ale tak bardzo nie chciałabym stracić, ty wiesz... ciebie, twojej przyjaźni. —

Nareszcie, nareszcie z bólem, z ulgą zostały wypowiedziane patetyczne, banalne słowa. Anna mogła umilknąć, Andrzej mógł zrozumieć. Ale on tylko wstrząsnął się i znieruchomiał. Nic się nie stało strasznego, choć, tak się przecież myślało. (Co to będzie, jak to będzie wtedy?)

Nawet powiedziała coś. To było:

— Ah tak... — albo może inaczej. A potem spytał:

— Chcesz już pójść? —

Chciała. Przecież trzeba, trzeba było odejść stąd. Przez krótki odcinek ulicy do tramwaju.

Anna nieśmiało dotknęła rękawa palta Andrzeja. Usiłowała jeszcze coś powiedzieć, wytłumaczyć, żeby nie odejść tak straszliwie obco po trzech latach wspólnego życia, jakgdyby kiedykolwiek można było odejść łagodnie i bezboleśnie.

— Wiesz, jednego najwięcej zawsze się bałam w życiu, że je przeżyję całe i nie będę go znała naprawdę. Może dlatego nie umiem się wyrzec, słuchaj.. —

Ale on nieruchomy i chłodny trwał obok. Chyba nie słuchał nawet. Umilkła. Wiedziała sama, wszystkie te słowa zasłaniały tylko prostą prawdę, że coś innego, nie, ktoś inny znalazł się w życiu ich dwojga.

Nocny tramwaj z białym numerem na czarnej,

ponurej tarczy zatrzymał się na przystanku. Anna wskoczyła. Już na stopniu powiedziała:

— Przecież zadzwonisz do mnie?... (chciała dodać „kiedyś“, ale utknęło w gardle.)

— Poco? — zapytał Andrzej.

Stała w pełnym świetle łukowej lampy i patrzył nie na nią, choć w tym kierunku, gdzieś poprzez nią.

Tramwaj ruszył, nim zdążyła odpowiedzieć. Jak to poco? Po tych latach wspólnej pracy i niedoli, poco? A przecież tak było nieubłaganem prawem, że tylko jedno kosztem drugiego — nigdy inaczej.

Tramwaj ruszył. I zaraz uparcie, niewstrzymane spod powiek Anny wymknęły się łzy. Połykała je. Kiedyś później — myślała — to przestanie boleć, na pewno przestanie... —

Ale nie umiała przywyknąć do myśli, że już nie będzie wspólnego „później“.

Wielkie miasto, które ma dość ludzi, żeby jedni ginęli na ulicy, a drudzy pytali zdumieni: — Na Placu Grzybowskim, kiedy?..., to miasto oddzieliło rozłączonych dalekimi ulicami, obcymi ludźmi, nowymi zdarzeniami.

Żeby przełamać tę zaporę trzeba było chcieć zobaczyć się znów. A to już przyszło zapóźno.

Po raz ostatni doznał Andrzej tego wieczoru owego uczucia najgłębszej samotności. Szedł pustymi ulicami, słuchał swoich kroków, na Placu Mirowskim zatrzymały go puste szkielety straganów. Odsuwał myśli o Annie. — Nie dziś, — myślał — tylko nie dziś. —

Ulice wiodły go naprzód, od jednej do drugiej po wyboistym bruku, po szlifowanych cierpliwemi stopami kamieniach, naprzód aż na Stawki.

W myśli zbierał słowa napisanego artykułu o wsi. Tam, gdzie była mowa o codziennem życiu chłopa, o dniach w najstraszliwszej nędzy i brudzie, o krwawych walkach widłami i kłonicą o każdy strzep ziemi, tam znalazł nagle coś niepotrzebnego — własną rozpacz.

Brzmiała z tych słów jak beznadziejność. Więc wytrwale ze zmarszczonem czołem zaczął w myśli przebierać słowa. Żeby się zwały, żeby nabrały zgromy i zabrzmiały jak okrzyk buntu.

— Trzeba przerobić — myślał — jutro od początku.

Kiedy przyszedł na Stawki, Stefan nie spał jeszcze. Uniósł się w ciemności na sienniku.

— Czekałem na ciebie — rzekł półgłosem. — U nas mechanika wezmą, bo maszyny przestawiają. Trzeba żebyś się zgłosił... —

— Żeby z tego co było — ożywił się Andrzej — już mi się przecież wszystko kończy. —

— No, no trza spróbować. A Annie dobrze idzie? — spytał.

— Dobrze — odrzekł szybko Andrzej. — Będzie trzeba spać. —

Stefan odsunął się ku ścianie i ściągnął róg kra-
ciastej poduszki.

Andrzej kręcił się jeszcze wciąż.

— Czego ty? — zniecierpliwiał się śpiący Stefan i trącił go łokciem.

— Słoma żga — mruknął Andrzej i nieoczekiwanie odezwał się:

— Rozejdziemy się z Anną. —

— Coś ty? — zdumiał się otrzeźwiony nagle Stefan i uniósł na łokciu.

Z za krzesła przewieszzonego chustką Marja Szymczak, pracownica igły, mruknęła gniewnie:

— Noc je czy dzień? Jeszcze w nocy politykę robią. —

— Jędrus — szepnął Stefan już całkiem cicho, ale Andrzej milczał.

Wtedy zmożony roboczym dniem w Nonplusie, ciężkiem ze zmęczenia ciałem przywarł szlifiarz do siennika i zasnął, nim Marja Szymczak scicha chrapnęła i można byłoby rozmawiać.

W tych dniach bezrobotny inżynier, Andrzej Dolis, dostał pracę jako mechanik w fabryce grzebieni „Non plus ultra“ na zasadzie poprzedniego świadectwa. Swój dyplom i inne drobiazgi przemilczał rozsądnie.

Dzień się obudził niebieski, zimny, zasypany spóźnionym śniegiem i dopiero koło południa rozświeciło go słońce już cieplejsze, wiosenne.

Ulica Częstochowska natychmiast poczerniała błotem, jeszcze tylko na wąskim chodniczku twardo ubitej ziemi bielili się grudy śniegu.

Piotr Zienkiewicz, właściciel Nonplusu przystanął na wytartym, kamiennym stopniu przed furtą swojej fabryki i patrzył w słońce.

Od śmierci żony miewał takie chwile dziwnego zagapienia. Wśród roboczego dnia przystawał nagle zamyślony, niewidzącymi oczami przybity do jednego punktu i krętymi drogami, w słońcu, w chmurach, w ceglany murze sąsiedniej fabryki szukał odpowiedzi na to, co już dawno nie obchodziło nikogo więcej, chyba Stefanka, albo matkę Jasi.

Tak stał z dziesięć minut. Tyle, ile trzeba dla jednego, żeby nałożyć i wyjąć trzy tuziny małych grzebyków, zwyczajnych, z najgorszego, zielonkawego rogu, z grubymi zębami po jednej — i cienkimi, drobnymi po drugiej stronie. Ludowe grzebyki, które w śródmieściu sprzedawają pod ścianami domów ślepcy.

„Po dziesięć groszy — najlepsze — rogowe“.

W szlifiarni tuzin jest droższy, nie trzy grosze, lecz siedem, ale trwa dłużej. Wszystko na akord. Promienie słońca przeciekają przez szyby porośnięte kurzem, potem złościście rozpylają obłoki pyłu. Ludzie nie podnoszą oczu. Prędej. Stefan Pietrzak jeszcze wciąż nie doszedł do dawnej normy. Odzwyczajenie. Obok u Wójcika, grzebień półtora razy prędzej obrócony miga jak zielony płomień.

Za pięć dwunasta na podłużnym zegarku z ciemnym cyferblatem, rzemykiem związanym z przegubem dłoni, szarpnęło Zienkiewiczem, oderwało go od

słońca głębokie westchnienie syreny Be-Te-Ha. Za nią tuż odezwał się basem Olkowski.

Potem cienko, urywanie Nonplus. Uszom zabrakło miarowego szumu. Zienkiewicz zszedł ze stopnia.

Kobiety w chustkach i dzieci, postukując po zmarzniętych grudach niosły obiad. Dziewczynki z czerwonymi nosami, z mysiemi ogonkami sztywno sterczących warkoczyków i chłopaki pędzące wielkimi krokami z przeskakiwaniem kamieni, ze ślizganiem dzwonili menażkami. Wtedy zdarzyło się coś.

Mały syn Chudzielca z piętra wychodził z koszykiem od ojca. Koszyk był stary, grubo pleciony i chłopak wywijał nim. Dopiero, kiedy się zbliżył do furty, tuż przed postacią właściciela zmałał jakoś, spokojnie.

Już wychodził, kiedy Zienkiewicz położył rękę na koszyku. Niewiadomo dlaczego. W roztropnej, czerwono sonej od zimna twarzy zdziwione oczy bez lęku oddały koszyk. Chuchnął jeszcze w rękę zgrabiałą od trzymania pałaka.

Zienkiewicz otworzył koszyk. Odrazu z lekkim biciem serca odnalazła się pewność, że kradną. Na dnie pod brzękającą o blaszankę pokrywką leżały dwa grzebyki wąskie, podłużne, z nowego modelu z zębem na przedział.

Pod mały czerwony nos podjechały zaraz te grzebyki najeżone zębami:

— Co to? —

Okragłe, szare oczy załamały się, trzepnęły powiekami.

— Nie wiem. —

Ale już wiedział. Natychmiast poszukały zaleknione źrenice w czerwonej, gniewnej twarzy zgóry, wyjaśnienia, co będzie z tatą za te grzebień.

Koszyk został w rękę Zienkiewicza. Gniewnie, z obrzydzeniem między dwoma palcami trzymał gruby śliski pałak i bez słowa szedł w stronę biura.

Mały Chudzielec ruszył za nim wystraszony. Jakże odejść? A z koszykiem co?

Mruczał coś prosząco i zabiegał drogę panu. Zienkiewicz przystanął. Przygryzł wargi. Namyślił się.

— Chodźno — rzekł wreszcie — wiedziałeś? — spytał oczami, trzymając go przed sobą.

— Nie — rzekł chłopak.

Z szarych, mysich oczu nalanych rosą kapało po policzkach. Jakby tacie krzywdę robił, takie było to „nie“.

Potem został wepchnięty do pokoju z dużymi stołami. Na stołach leżały otwarte księgi, przy księgach panny.

— Czekaj. —

Cisnąwszy koszyk na krzesło, wyszedł Zienkiewicz przed biuro. Nadchodziła zaraz kobieta palacza Stefańskiego. Trzymała kobiałkę z ciemnego kretonu. Na dnie kobiałki opinał się kształt garnka.

Przytrzymał ją zwyczajnie za kobiałkę. Nie dął nawet, że nie wypadało. Stał wysoki, ponury, zacięty. Bronił się, osaczony wrogami.

W biały, szczęśliwy dzień odsłoniła mu niegdyś

Jasia podziemne, niewiadome przyczyny rządzące jego własnym życiem. Teraz czyhał, przylapywał.

Z nienawiścią i skrytym tryumfem zobaczył jak z kobiałki posypało się kilka lśniących, czarnych węgli schowanych w garnku.

Rozłupały się głucho na zmarzniętej ziemi, kobieta głupio, po babsku zapłakała:

— Dziecko mi choruje... Na opał nie starcza... —

Ale on już wiedział. — To ja jestem winny? — spytał wściekle i nagle wrzasnął:

— Do biura! — Biała wściekłość zalewała mu oczy.

Dopiero, kiedy buchalter Kot poskoczył zaalarmowany krzykiem, kiedy przytrzymał go za ramię przerażony jego bladością, Zienkiewicz poczuł swojego człowieka.

— Złodzieje! — zawołał tak głośno, że spłoszył wróble z dziedzińca.

Kobieta Stefańskiego z kobiałką w ręku, pchnięta naprzód znalazła się koło małego Chudzielca.

Z nad książek patrzyły panny z czerwono malowanymi ustami. Stefańska zacisnęła chustkę, całą dłonią otarła kapiące oczy i nos. Łzy jej ustały, nagle, jakby obeschło ich źródło. Półgłosem mruknęła do małego Chudzielca, który nie mógł sobie poradzić z odtajającym w ciepłe nosem i ciurkał wciąż po rękawie:

— A ty co tutaj? —

— Grzebyki tata powkładał — rzekł posepnie i zaraz spytał:

— Co teraz będzie? —

Ale Stefańska nie odpowiedziała. Z zaciśniętymi wargami, z rzadkimi w kok skręconymi włosami stała, spoglądając ku drzwiom. A jej twarz zwyczajna, bezbarwna od lichej strawy i roboty domowej, przy malowanych twarzach panien, wyglądała blada i posępna jak nieszczęście.

Przed furtą wywracano koszyki, pokrywki menażek dzwoniły. Każdego, kto wychodził zatrzymywali majster i stary, przywołany z sortowni Kulesza pod nadzorem pana Zienkiewicza.

Kulesza miał wieczną, gęstą chrypę gubiącą się w kaszlu. Brwi wisały mu nad oczami jak oszronione krzaki. Robił w Nonplusie dwadzieścia jeden lat. Tyle, ile miał cały Nonplus.

Zato był przeniesiony do sortowni i brał trochę więcej niż najlepszy szlifiarz. Nawet kiedy Nonplus szedł trzy dni mógł przebidować, kiedy szedł pięć, płacił całe komorne.

Dużemi, wyrobionemi rękami chwycił teraz Kulesza koszyki i rozchyłał je przed panem, z brzękiem podnosił pokrywki menażek. Były puste.

Nie znaleziono już nic.

— Porozumieli się — mówił Zienkiewicz do Kota — mają swoje sposoby. Patrz pan, parę węgli wzięli, byle nie wyjść z pustemi rękami, zabrać co się da. —

Kot potakując kiwał głową, ale Zienkiewicz nie wierzył mu. Nikomu nie można.

Po rozsypanych za kamiennym stopniem węglach

deptali ludzie, aż w łutowem słońcu zaświeciła czarna, matowa dróżka, rozmazana stopami przechodzących przez całe podwórze.

Popołudniu przywieźli deski. Żółte, świeże i chropawe. Trzech ludzi zaczęło zbijać wartowniczą budkę. Zwyczajną z najgorszych desek na tymczasem. Ścięte sęki sterczały krótko.

Uderzeniami młotka, wstukiwaniem gwoździ rosła budka-portjernia. Wieczorem stanęła. Był w niej Kulesza, rewidował wychodzących. Rękami dotykał ubrania, sprawdzał.

Ludzie wychodzili nieprzyjemnie zdumieni, źli. Czasem żartowali uszczypliwie. Feliks Zając, fajlarz: — Drań Kulesza baby maca najwięcej. —

Julka śmiała się, kiedy dotknął jej brązowego palta. Za nią ktoś wstrzymał ruch. To nowy szlifiarz, Stefan Pietrzak, kiedy ręce Kuleszy dłużej niż zwykle wędrowały po jego ubraniu, wywrócił kieszenie do góry dnem. Posypały się zaschłe okruszki. Ludzie się zaśmieli. Jedni lekkomyślnie, drudzy złowrogo.

Kulesza się speszył.

— No — rzekł tylko wściekle.

Julka odwróciła się w tę stronę, bo Andzia z uznaniem zawołała: Racja. —

Oczy jej spotkały tamte źrenice. Szare ze znajomą czarną kropką, uśmiechnęły się. Wtedy z całej biedy dnia i wieczoru, co czekał z Seweryniakiem do kina, poczuła Julka w gardle jakby rękę duszącą i ciężką.

W kinie „Unja“ na ogólne żądanie szanownej pu-

bliczności po raz ostatni jeszcze dawano „Uwiedzioną“.

Ale Julka poszła naprzód, nie czekając na gisera, wymijając Andzię i Pelagję trzypalcówkę. A one zostawiły ją, bo myślały, że spieszy się do kogoś.

Rozmiękle błoto po tej stronie ulicy, gdzie w dzień świeciło słońce, oblepiło wnet pantofle Julki. Jak długo mogły jeszcze wytrzymać?

Stefan Pietrzak nie doganiał jej także. Popatrzał zdaleka. Poszła więc wprost do domu na Pokorną, gdzie mama już się kładła spać, a w piecyku czekało letnie, zaskrzepłe jedzenie w niebieskim obłuczonym garnku.

Żółte, surowe deski, znaczone ciemnymi sercami sęków zaczynały ciemnieć na marcowych deszczach. Wewnątrz budki w godzinach zmiany stał Kulesza przeznaczony do nowych obowiązków i krótkimi skrzywionymi palcami rewidował wychodzących.

Nonplus zwyciężał kryzys. Szedł pięć dni w tygodniu. Z wypłatami zalegał od miesiąca. Ludzie znów mieli długi w sklepikach, zalegali z komornem i szmaty oblatywały na nich.

W sobotę podpisywano „Otrzymałem na poczet...“

Na dole w szlifierni oprócz Pietrzaka pracowała nowo przyjęta kobieta do polerowania, a do nowych maszyn był chudy, wysoki mechanik Dolis. Nowa kobieta była przystojna i Julka nie mogła jej znieść. Zato ludzie na dole, owszem.

partia

Choć niewiele rozmawiali przy pracy po paru dniach wiedzieli o sobie wszystko. O Pietrzaku na przykład, że czerwony. Już dawno nie rozumiano pod tą nazwą pepeesów.

O każdym, niezamieszkałym o tem mówiąc, wiedzieli już ludzie czem jest.

A więc niektórzy partyjni wyraźnie, szlifiarzy kilka — pepesiacy, ze starych polerowaczy conajwięcej byli chadecy, kobiety niezamieszkałym wiedziały, tylko jeszcze Jan Wójcik szlifiarz i Feliks Zając zgóry, fajlarz z krzywą łopatką, komuniści i jak do czego przychodziło niejedyn inny całkiem niespodziewanie opowiadał się za nimi.

To były rzeczy wiadome, ale teraz prócz tych sporo takich było, co żadnej partji nie mieli, z jednej strony kołysali się na drugą jak woda w płytkim talerzu byle nie przelać, nie uронić ani kropli z codziennego grosza, nie powiedzieć nic niepotrzebnego i cicho bronić swego okrucha.

Tacy się nawet znajdowali, co i pierwszego i trzeciego maja w pochód chodzili.

Czasem przynosili gazety i wtedy kłócili się. Ale gazety zjawiały się rzadko. Nawet „Robotnik“ z tytułem w znajomych, cienkich zygzakach niechętnie był widziany. Majster Kotlarczyk mówił wprost: tu nie wiec — ale nawet, kiedy zgóry nie mówili nic, nieomylnem przecuciem wiedzieni odsuwali ludzie gazetę, kiedy ktoś wchodził.

Tutaj w cenie byli cisi, spokojni, co nie czytali, nie wiedzieli i wiedzieć nie chcieli.

O nich mówiono w biurze „porządni ludzie“, o tych, co od lat żyli z Nonplusem, przeżyli modę na zębate, cienkie grzebienie do włosów i kieszonkowe składane i wciąż spokojnie dzień w dzień przychodzili, kiedy było trzeba podpisywali arkusze, nie czytając treści.

Ale choć niektórzy mało co czytali i mało kiedy przysłuchiwali się polityce, poznawali się od razu na ludziach, kto jaki. Z jednego słowa, albo bez słowa nawet.

Kiedy w świeżo zbitej budce przed starym Kuleszą wywalił Stefan Pietrzak pustę z ciemną podszewką kieszenie, od razu rozjaśniło się stojącym za nim, co on za jeden.

Nic z tego nie wynikło tymczasem. Poprostu dowiedzieli się i to było ważne.

Nowi ludzie na parterze, Dolis, Pietrzak i Siczarzowa spowszednieli.

Ranki stawały się z niebieskich i zimnych, różowo złociste i słoneczne. Z niedalekich podmiejskich pól szły podmuchy wiosenne, ziemia ubita w chodnik miękła pod stopami. Ludzie przestawali już o węglu i zimnie mówić, zaczęli o tem, że się sezon kończy. Ziemia pełna jasnych, przezroczystych kałuż pachniała wiosenną cierpkością.

W Nonplusie po staremu kłębił się pył, kiedy Julka w obiadowej przerwie szukała w rozprostowa-

nym papierze z chleba Pelagji dalszego ciągu „Szlachetnego bandyty“.

Jeszcze wciąż wieczorami bywał Seweryniak. Czasami przepuszczał. Nie żałowała. Mógł iść całkiem. Ale kiedy czekał z Covboyem między zębami i niedbale kiwał jej zdaleka, poprawiając szalik w kratę, szła. Lepiej niż do domu.

Potem, kiedy się gdzieś razem zeszli, biernie, ze spuszczonej oczyma poddawała się prędkiej pieszczocie.

— Uch — mawiał giser — całkiem inaczej mi się widziałaś. Drewno jakieś nie dziewczyna. —

Wtedy gorący, spóźniony, komu innemu przeznaczony dreszcz spływał wzdłuż krzyża. Tak było do tego dnia. W porze obiadu znów siedziały nad stołem. Wtedy przez drzwi zajrzał szlifiarz Pietrzak. Odszukał. Cóż to w tem było niezwykłego? Niedaleko jest z parteru na piętro, po dwa stopnie, miękko, cicho po szarym tumanie.

Jula zaniemówiła nad grzebieniami, Andzia Sikora jakby się zaczerwieniła, tylko mała, krępa trzy-palcówka Pelagja, ledwie rzuciwszy okiem, znowu zapuściła palce między chłodne grzebienie i rozsypując je szybko zręcznymi rękami, rozciągała po stole długie, zielonkawe promienie.

Jeszcze tylko zdążyła Julka ostrzec swą radość „może za poleceniem“, ale już sprawdziło się przewidywanie.

Właśnie na nią kiwnął. Grzebyki na stole zadrżały, sam stół posunął się trochę, znacząc w kurzu na

podłódze swą drogę. Julka skoczyła do drzwi, na nie nie patrząc. Jakby nie zostały oglądające się za nią, Andzia ze smutnymi oczami gruźliczki i Pelagja, jakby wcale nie było żadnego Seweryniaka, nigdy, jakby za ciężkimi drzwiami do sieni pełnej przeciągu, zawianej pyłem, czekał najlepszy w każdym życiu prawdziwy pierwszy raz, choć niby nie pierwszy.

Sień była jasna i szeroka. Przez wielkie okno z nadtłuczoną szybą, pokryte cienką mgłą mączyste-go pyłu, perłowo i niebiesko sączyło się światło dnia i nieba.

Przy okutych drzwiach czekał Pietrzak. Cekał od pierwszego dnia, okazało się, przy otwieraniu drzwi, przy wchodzeniu i wychodzeniu z fabryki.

Zato Julka, która go zawsze wołała jasnemi iskrami oczu, milcząc mijała teraz, jakby żarta skrytym zmartwieniem. Dlatego odszukał ją dziś.

Ale kiedy poderwała się od stołu (no przecież, przecież cieszyła się) i stanęła obok, przymknąwszy za sobą ciężkie drzwi, zobaczył, że było w niej coś nowego, a wesołe oczy pod czarną, pyłem przyproszoną brwią wymykały się, uciekały bokiem.

Więc powiedział jej znów „panna Julka“.

— Jak się panna Julka ma? —

Stała się jeszcze zimniejsza. Prawie zła.

— Po staremu — odparła.

Wtedy on rozgrzał się, w jasnej sieni nie było nikogo. Przytrzymał ją za rękaw szarego fartucha. (Wszystkie kobiety na Nonplusie nosiły takie fartuchy).

— Dlaczego uciekasz? —

Odrzuła głowę. Załamała się. W gardle zaczęło uwierać.

— Nie uciekam —

— A jakże... — i rozbudzone nagle podejrzenie szarpnęło Pietrzakiem.

— Masz innego? —

Podniosła głowę. Chusteczka zsunęła się z włosów wtył.

— Tyle czasu. Całe tygodnie ani się obejrzał. Co to, mam się prosić? Każdy swoją ambicję ma. —

Wcisnął ją w kąt.

— Ty głupia. — chciał pocałować — ech ty... —

Uchyliła się. Zatrzął nią w rękach.

— Masz kogo? — i już poznał. Oczy napłynęły gniewem.

Obejrzał się za siebie na schody. Ale giętkie, choć spracowane palce Julki uchwyciły go.

— Nie idź — powiedziała. — Mało to się napłakałam. Ani spojrział. —

— Przemennie? —

Czuł wciąż jej ramię przez rękaw fartucha, ale stał posępny. Chciała go przekonać łzami, popłynęły zaraz łatwo.

— Tamten kto? — mruknął.

— Taki... Ja go zaraz — wyszeptwała przez łyżę. Trzęsa się cała pragnieniem, żeby ją znów przygar-
nął ale on tylko trzymał rękę.

— Dziś? — spytał chmurnie.

Wilgotnemi oczami przyrzekła.

— Poczekam na ulicy — zdążył powiedzieć, a już na dole ciężko i bezładnie rozległy się kroki.

Wracali z obiadu. Feliks Zając z krzywą łopatką i Chudzielec chciwie wysysający Covboya, którego trzeba było skończyć jeszcze przed schodami. Ostatnia z wszystkich szła stara Pawlakowa. Miała żylaki na nogach i z trudem ciągnęła stopy w górę.

Ale Julka pierwsza pchnęła drzwi sali, gdzie przy nieruchomych jeszcze wirówkach stała już Andzia Sikora z rękami niepotrzebnie zwisającymi w powietrzu i trzypalcówka szykowała płytki kosz na grzebyki.

Szaro i mokro zapadał mrok po pracy, kiedy Julia ze Stefanem Pietrzakiem szła się przejść, daleko za ostatni przystanek. Świeży marcowy wiatr siepał w ich stronę. Przed nimi otwierało się pole osuszone wiatrem. W tamtą stronę poszli, gdzie podmiejska ziemia leżała twarda, spękana z odrobinami zeschniętej, przeszłorocznej trawy przezornie zostawionymi dla tych, co mieszkali kątem na Pokornej, na Stawkach.

Tam to przycisnął Stefan Julkę do siebie.

— Zejdz — szepnął do niej.

Rów był wilgotny i zimny, ale tylko chwilę. Niebo wisiało nad nim pełne pierzastych obłoków, gęstych, jak kłęby pyłu na Nonplusie.

— Nie mogłaś czekać? — jęknął Stefan.

Przytuliła się do niego. Zacisnęła ramiona z całej siły.

— Stefuś... — szeptała tylko, pełna radości ziszczonego przeczucia, że to zupełnie, zupełnie co innego,

że wszystko co było, znikło poprostu i bez bólu. Jakby ta sama sprawa mogła być tak nieskończenie różna. Ale była.

Od niej w dniach pełnych grzebieni z Nonplusu i wyszczerbionych talerzy z kąta na Pokornej zaczął się odrazu nowy szmat życia.

Jan Stawan _____

W zimowych miesiącach podzielił się czas Anny inaczej niż dotychczas. Uporządkowany dzień, szkoła, obiad, lekcje, własna praca rozrywa nagle ujęty z właściwego rozkładu strzęp czasu zużyty całkiem inaczej. Swoje dwie godziny.

Zaczynają się u stopni jakiegoś obcego domu, prostych pustych i spokojnych.

Więc w codziennych straszliwych kamienicach są takie obce kąty, w których może się ziścić jakaś ludzka samotność?

Na innych drzwiach są tabliczki, na tych niema jej wcale. U wąskiej poręczy jest nagle miejsce na ten żal bezsensowny i głupi, że to nie jest pierwszy raz, że się ma za sobą tę długą drogę i że to nie jest jeden na całe życie.

Potem jest jakiś przedpokój, w którym się nie zapala światła i doktor Stawan, nie, wolno pomyśleć Jan, ale nie powiedzieć po imieniu, mówić zwyczajnie „ty“.

Odnajduje się pokój z obcemi sprzętami, których dotyka się z nieufnością. Nie można wierzyć, że służą do zwykłego jakiego użytku.

Anna siedzi na samym brzegu kanapki. Doktor Stawan jest przy niej. To on ujął nagle w swoje ręce wszystko, co się będzie działo:

— Zdejm palto. Pocałuj mnie. —

Anna całuje nieśmiało. Jeszcze usta nie przywykły do tej zawsze dalekiej twarzy. Wargi niezatrzymane uciekają zaraz.

— Powiedz, co myślisz — zachęca Stawan — powiedz wszystko. —

Niedorzeczne marzenie, żeby można w jednym, w dwóch zdaniach powiedzieć wszystko. Słowa stają się trudnem, upartem tworzywem, łamią się, kryją i nagle niema ich już wcale.

Jakże to jest, że się jest całej, całemu tylko radością, samą radością. Wszystko upraszcza się nieskończenie i niema nic bardziej naturalnego nad tę odpowiedź, daną na pytanie:

— Żałujesz? —

— O nie... —

Wśród nieudolnych, dzielących słów, ręce stwarzają porozumienie, dopiero za chwilę będą potrzebne słowa.

— Idź tam — szepcze Stawan.

Tam — to jest tapczan.

— Nie — prosi Anna, chciałaby jeszcze tak pozostać chwilę. — Nie, tam nie. —

— Co znowu? Idź prędko, prędziutko, czy nie wiesz, że czas ucieka? —

Szkoda tego czasu. To jest największa prawda tej chwili.

Zaraz po niej zjawiają się inne sprawy, codzienne życie, lecznica, przypadki, lekcje. Stawan wyznaje:

— Chciałem zawsze móc robić coś zupełnie doskonale. W operacji można dojść do doskonałości. Panować nad narzędziami, nad ludźmi, rozumiesz? —

Anna potakuje. Wszystko najważniejsze bierze się z tego pragnienia, żeby było dobrze. Wieczory w związku, praca, całe życie dotychczasowe Andrzeja i Anny.

— Ja też — wyznaje Anna — tylko inaczej... —

Ściemnia się. Jak to się stało? Przed chwilą jeszcze był dzień, a już w czerności za oknem błękitnym napisem krzyczy coś neon w nieuważny, sobą zajęty wieczór ludzi, którzy się spieszą, pracują i kochają w cudzych pokojach.

Jeszcze nigdy Stawan, ani Anna nie powiedzieli tego sobie „kochają”. POCO — myśli Anna, co może być więcej, jeszcze więcej niż to, że wszędzie, wszędzie ma się gó przy sobie. To dosyć. — — — I już znów są stopnie, spokojne, puste, blado oświetlone stopnie wdół. Ulicami pełnymi radosnej ruchliwości wieczoru wraca Anna. Jest pochmurno i wilgotno. Wiatr uwieczniony w ciasnocie wielkomiejskich ulic nieprzytomnie tłucze się o domy. Za chwilę będzie mieszkanie na Pięknej. Nie będzie już można pozostać tam długo. Anna wie.

Potem znów wędrówki i poszukiwania, a reszta ta sama szkoła w przededniu strajku, zalegające pensje, wieczory w związku.

Wiatr gwałtownie podmuchami rzuca ludzi na przód, staje im wpoprzek drogi.

Ale w tym wietrze Anna pędząca do cudzego domu, porzucająca wiadome dobre dla nieznanego, jest nagle pełna gwałtownego, niezrozumiałego przypływu radosnej mocy wolności, spieszy się uderza o wiatr jak o fale całą sobą. Trzeba się spieszyć, jest późno. Wieczór się kończy, za wieczorem jest jutro.

Ale w nowem życiu tkwi jeszcze silnie wiele pozostałości dawnego. Są jeszcze jedne schody, na które się wchodzi z ufnością i spokojem. Do Cesi.

Czwarte piętro, dwa razy przystanąć. Wąskie schody przysypane piaskiem, który chrzęści pod stopami i zupełny mrok. Otwarte drzwi do mieszkania. Są jeszcze takie, których drzwi mogą pozostawać otwarte.

Z ciemnego korytarza, w którym doświadczenie broni od ostrych kantów skrzyń, w jasnym świetle pokoju ukazują się kilka schylonych głów.

Wszystkie podnoszą się odrazu. Na nienakrytym stole pełną okrągłą, ruchliwą kłębką wełny. Długie stalowe druty migają srebrzyście, pracowicie i szybko z nitek szydełkiem wiążą gęstą tkaninę.

Cesia zaraz rzuciła wszystko i uczyniła ruch, żeby wstać, jej matka uśmiechnęła się życzliwie.

— Pracujesz, nie masz czasu? — spytała Anna.

— Tak, ale jak chcesz trochę pogadać... —

Buraczkowy kłębek wełny szybko przybiega do rąk Cesi.

— Chodźmy do kuchni. —

Dziewczyna, która siedziała obok przysuwa się z robotą. Światło nagiej, przezroczystej żarówki leje się na stół szeroką strugą, różową i oślepiającą, aż czerwienieją powieki.

Tutaj wyrabia się szydełkiem grube, brązowe ogrzewacze na ręce dla sklepiczarek i przekupek. Wełna wygląda jak łupiny kartofli, brunatna i szorstka. Matka Cesi podnosi zaczerwienione oczy:

— Pani Anusiu, jak się pani miewa? Wcale pani nie widać. —

— Mam kondycję — odpowiada Anna.

— Dobrze pani wygląda. —

Tak, Cesia wygląda źle, choć zawsze jest taka ładna. Pod szaremi oczami leżą cienie, obwódki powiek są czerwone. Gładkie, wtył odczesane włosy układają w loczki nad uszami. Twarz jest blada. Cesia idzie naprzód do kuchni.

W kuchni pali się małeńka żarówka z czerwoną żyłką światła. Trzy kroki wzdłuż i wszerz. Pod blachą niema ognia. Anna, nie zdejmując palta przysiadła na taborecie, Cesia przynosi sobie szal z tej samej grubej, szorstkiej wełny. Zimno.

— Oczy mnie boją — mówi Cesia i mruży powieki, kurczy się i przysiadła na stole. Najpierw rozmawiają o znajomych. O wszystkich kłopotach i trudach. Zimno tej małej wystygłej kuchni ogarnia Annę, napełnia świadomością jak to jest. Cesia ma chłopca w więzieniu. Nic wielkiego, jakieś rozlepia-

nie odezw — dwa lata. Moznaby apelować, niema pieniędzy.

Więc odwracają rozmowę od własnych spraw, mówi Cesia:

— Widziałam Andrzeja — i Anna czuje, że w smutek jej klinem wbija się nagły lęk.

Cesia nie wie nic. — Co ten twój mąż taki mizerny? — pyta się wtulona w szal.

W bładem świetle żarówki błyszczą jej oczy niebieskie, łagodne, a twarde. Wiadomo, co ona myśli. Andrzej choruje. Znajoma choroba. Brak porządnego odżywiania. On pracuje, ona pracuje — cały dzień. Jak uratować Andrzeja, jak uratować całą olbrzymią resztę z zajętemi „szczytami“, którzy muszą, muszą przez cały dzień gonić źle płatną pracę po zimnie, po deszczu, który jak nóż dosięga tych „szczytów“.

Niema rady. Powieki Cesi trzepoczą zranione ostrem światłem żarówki w pokoju.

— Czy radziliście się lekarza? — pyta ostrożnie. Anna milczy przez chwilę.

— No... — pyta Cesia łagodnie już zaniepokojona. (Czy tam jest źle, dlaczego milczy Anna?)

— Słuchaj — mówi Anna i wstrząsa nią dreszcz, o, jak zimno jest w kuchni — Andrzej i ja nie jesteśmy już razem. —

Cesia przeraża się gwałtownie, podskakuje na stole:

— Kiedy, od kiedy? — pyta prawie ze zgrozą.

Anna wstaje, zbliża się do okna: — Niedawno. Kilka tygodni. —

Tylko obcy, obojętni ludzie bywają dyskretni. Oczy Cesi szare, badawcze są blisko: — Dlaczego? —

— To bardzo trudno powiedzieć — mówi Anna. — Ty wiesz jaki Andrzej jest .Dobry i dzielny, ty wiesz. —

— Przecież musi być jakieś „dlaczego“ — nastaje Cesia surowo.

— Jest — powiada Anna. — Ktoś inny. —

Zapada cisza, jak wyrok. Wtedy Anna mówi gorzko i gorąco.

— U nas to po purytańsku. Odejść do innego, kiedy tamten jest dobry i dzielny, przestępstwo. —

— Nieprawda — mówi Cesia chłodno — skoro mu powiedziałaś, wszystko jest w porządku, a jak wybierasz to już twoja sprawa. —

Ale za temi słowami leży wyraźna prawda. Andrzej dzielny swój chłopak i Anna, która ni stąd ni zowąd, właśnie, kiedy zachorował jej mąż, wybrała sobie innego.

Co powiedzieć na swoją obronę? Że już dawno, długo przedtem, nim się stało coś, dokonała się owa „zdrada“, kiedy jeszcze nie było nikogo?

W dole pod oknem leży podwórze na Krochmalnej, czarne, błotniste z lśnjącymi kałużami.

— Sama musisz wiedzieć, czy masz słuszność — mówi Cesia z za grubego palta i tej odległości, która wytworzyła się nagle między niemi. Bo ona już czeka przecież tak długo. A nim się dopełni czas i wyjdzie jej chłopiec, gdzie będzie wtedy ona?

— Robić to, co się naprawdę chce i nie wstydzić się tego to też jest odwaga — mówi Anna twardo.

Ale od okna do stołu już jest tak daleko, jak stąd do małego kwadratu podwórza w dole. Anna zaczyna się żegnać.

W pokoju matka uśmiecha się i wyciąga rękę (żółte szydełko nieruchomieje między dwoma palcami). Ręka jest twarda, zimna z odciskami na palcach i taka sama jest ręka Cesi.

— Dowidzenia Aniu, przecież będziesz przychodziła — mówi Cesia sprawiedliwie.

Anna lekko tylko kiwa głową. Po drugiej stronie słów leży wiadoma im obu prawda.

W niedzielę był mecz Drukarz—Społem i giser Seweryniak poleciał z innymi. Z grupą starych kibiców siedział w jednym rzędzie, rozpalony i niecierpliwy. W przerwach ludzie zapijali się kwasem i sodową wodą, ławki trzeszczały pod naporem zgranych amatorów, krzyki i gwizdy ogłuszały sędziów.

Ubogie we wzruszenia rozrywek życie szalało zapalem, wtłoczone w ciasne boisko. Seweryniak miał przyjaciół w Społem. Gromko też krzyczał za ich ukazaniem się:

— Brawo, Wojtasik, brawo Bartek. —

Z Klemensem Łosiem założył się, że conajmniej 0:2 wypadnie na korzyść Społem. A właśnie Bartek, okazało się, nie obronił bramki. Na nic poszły krzyki z ławek:

— Uwaga, nie dawać się. —

Przegrali. Z koszulą przyklejoną do ciała wyszedł Seweryniak z innymi i zaraz zaczęło się rozważanie, dlaczego. Że niedość właśnie bronili owej lewej bramki, że nie było dziś Piotrowskiego.

Seweryniaka złościły przegrane dwa złote. Nie mógł to jednego postawić? Humor mu się popsuł i nagle, na środku ulicy, kiedy się wszyscy zdecydowali, że do baru „Unja“ na Dziką pójda, on zmienił zamiar.

— To idźcie, idźcie — powiedział — a ja potem przyjdę. Przecie posiedzicie z godzinę? —

Pokpiwali z jego nagłego interesu i domyślali się co to za pośpiech. Byli tam sami młodzi, nawet dalsi znajomi, tylko jeden Olesiak też od Olkowskiego, krewki chłop, choć starszy, na mecze i zebrania z jednakowym zapałem chodzący.

Opuściwszy ich, Seweryniak pędem prawie ruszył na Pokorną. Przypomniało mu się, że nie widział Julki od zeszłej niedzieli. Nie było jej żadnego z powszednich dni. Parę razy on miał nadgodziny, potem jakoś nie było dla niej czasu, dopiero teraz go nagle gorąco i niespokojnie opadło wspomnienie, gdzie Julka?

Na Pokornej przed bramą i na wyniesionych krzesłach siedzieli starzy. Kobiety z rękami spiętymi na wydatnych brzuchach, mężczyźni mieli laski między kolanami. Musiały się czegoś trzymać ich twarde, nienawykłe do spoczynku dłonie.

Mówili o codziennych sprawach, że Makówkę mąż

zwałił, aż popuchła, a Kazimierz ma robotę przy drogach i eksmitować nie będą teraz, chyba później na maj... —

Niedziela oznajmiała się zamkniętymi sklepami i służącymi, które wychodziły z bramy malowane, ubrane do wyjścia.

U Kowalskich drzwi były otwarte, w mrocznym pokoju stara siedziała pod oknem z chustką owiązaną koło twarzy.

Już miał Seweryniak grzecznie zapytać, co jej jest, kiedy rozpoznał zapach wypełniający pokój. Śwad karbówek i przypalonego papieru.

— Panna Julka jest? — zapytał tedy od progu.

— Nima, poszła — rzekła stara krótko.

— A nie wie pani gdzie — wycisnął jeszcze.

— A kto ją wi. —

Drzwi wyleciały mu z ręki niechcący, aż trzasnęły i jadem zalany stanął znów na hałaśliwym podwórku, gdzie dzieciaki bawiły się jak codzień, brudne, byle jak ogarnięte i cuchnął zgnilizną otwarty, pstry śmietnik.

Julki nie było. Dlatego niechcący Seweryniak dotrzymał słowa i wrócił do tamtych.

W barze „Unja“ nad stolikiem z białoszarym blatem siedzieli i robili politykę. Seweryniak niebardzo się znający, ponuro usiadł nad małą czystą i niby słuchał, jak oni łokciami daleko oparci o blat, rozgrzani kłócili się o „jednolity front“.

Knajpiarz od bufetu niezbyt mile spoglądał w ich stronę. Wypili ledwo co, a posiedzą do wieczora.

polityce

— Ja po swojemu powiem — krzychał młody, dziobaty — nie po książkowemu, tylko, co każdy rozumie. Nam się razem trzymać trzeba. Bo co jest? Pepeesy na Zetzetów, a znów komuniści na pepeesów, jeden z drugim wojuje. Wszyscy my robotnicy i w jednej doli. Więc jak ma być? My się z sobą będziemy żarli, co z tego przyjdzie? —

Tłusta, biała piana z nienapoczętej szklanki piwa kapiała mu po palcach na siny blat. Kowalski z „Galalitu“ niecierpliw i gorący rwał się do głosu:

— To właśnie, że się na polityce nie znacie wołał. — Prawda, oni też robotnicy, ale jakże wy chcecie z nimi razem, kiedy oni kapitałowi służą i siebie i was zaprzędają. To z nimi pójsć, co? —

Tedy znów czarny młodziak z czupryną zakrapianą łupieżem:

— Towarzysze, z lewicą nam trzeba iść, z nimi się pogodzimy, bo rewolucyjne nastawienie mają. —

— Komuniści — krzyknął Olesiak! — Tylko do siebie chcą przeciągnąć. Żadnej z nimi nie może być zgody. —

Szklanka zadzwoniła o blat, czarny chłopak Olesiaka za rękę złapał, pot mu ciurkiem spływał z czoła. —

— Kłamstwa powtarzacie. Kto zawsze pierwszy zgodę proponuje? Co? Kto z jednolitym frontem zaczął? Może pepeesy, co? —

— Nie będzie takiego frontu z tymi, co do strajku bez żadnej nadziei ciągną zawsze — krzychał Olesiak.

Ale dziobaty, młody, już cały blat z przyjęcia obejmując, pod sam nos Olesiakowi podjechał twarzą:

— A Annapol, a Marymont? Tam już jest jednolity front. Sami ludzie bez pytania, na własną wolę, robotnicy razem — ryczał ochryple i gorąco, aż mu się młody głos rwał w gardle.

Gruby, niski kelner w fartuchu szturchnął go uprzejmie:

— Panowie szanowne ciszej taką politykę niech prowadzą, bo dla zakładu i dla siebie samego duża nieprzyjemność może być. —

Olesiak pierwszy zgodził się z tem i przechylony przez stół ciszej już poszeptywał. Giser Seweryniak ocieżale wodził myślami za nimi i patrzył w lustro naprzeciwko.

Nie, żeby się przeglądać. Dla samego lustra. Było duże, prostokątne w grubej złotej ramie. Bar „Unja“ miał dawniej szyk.

W kryzysowe czasy potaniał i zmienił publikę. Z tamtych czasów, a może kto wie, z nowszych, trwały wyraźnie czemś ostrem wryte napisy.

Krzywy w zygaku największy: Śliczna Mania — i drobne w różne strony: Cesia, St... Tam uparcie patrzył giser i wszystkie imiona dziewczyn gniewały go, drażniły i wyzywały.

— W naszej dzielnicy za jednolitym frontem w piątek od szlifiarzy jeden mówił — rzekł dziobaty do Seweryniaka. — Wy go znacie, to z waszej parafji. —

— Duży, gruby ~~szaryn~~ — rzekł Kowalski z Galalitu — wiem. —

— Kto? — spytał ~~szaryn~~ żeby wziąć udział w rozmowie.

— Pietrzak z Nonplu ~~szaryn~~ On z tą Julką chodzi teraz, co wyście z nią dawniej? —

— Co ty? — ryknął gis ~~szaryn~~

Mały brunet zaczupurzył ~~szaryn~~ — A wy co? Mnie nic do tego, chodzi z nią, czy nie.

Na ulicy ich widziałem i tyle. —

— Kiedy? — zapytał ciężko ~~szaryn~~ ludzie przy stoliku umilkli nagle.

Olesiak go trącił: — Masz kłopot. Wiedział gdzie, trafiło się. —

Ale Seweryniak powtórzył uparcie ~~szaryn~~ temtemu w oczy, spoglądając: — Kiedy? —

Mały brunet wstał:

— Nieświadomione niektóre ludzie są — rzekł gniewnie — nie jestem baba, żeby potki robić. Widziałem i tyle, myślałem, że już ~~szaryn~~ nie chodzi, ale kto z kim, nie mój interes. — ~~szaryn~~ — powiedział do kelnera i długo szukał po kieszeniach zarzuconej monety.

Kowalski poszedł z nim. Seweryniak napił się jeszcze raz, a kiedy Olesiak podniósł się, ruszył za nim.

Olesiak chciał go uspokoić

— Z tą dziewczyną nie musisz się ciskać — rzekł niby od niechcenia. — Co t ~~szaryn~~ szczeniak gada, morde bym mu zalał i już. Wazn ~~szaryn~~ gość, parszywiec. —

Ale giser wziął go nagle pod ręką żelaznym chwytem:

— To jest prawda. Już sam zmiarkowałem. —

Nad Dziką wiosenny wie zór nadciągał mrokiem. Seweryniak myślał od kiedy go ta Julka zdradza. Licho wie. Żeby tak poszukać dobrze. Nienawykłą do takiej drogi myślą odzalał nagle jadowitą prawdę. Że już chyba od pierwszego razu za innym była myśłami.

Odprowadzał się nawzajem ku Smocznej i spowrotem w stronę Szczęśliwej. Olesiak już się pocichu z zawziętym ponurym giserem pożegnać zamierzał, kiedy nagle z którejś bramy wyszło dwóch ludzi. Zobaczyli ich jednocześnie.

Między twardo mięśnie ramienia Olesiaka jak śrubokręt wczepiły się mocne palce gisera: — Pietrzak — chrapnął. —

— Aha — mruknął towarzysz. —

— To ci bóg — przemknęło mu i sam się rozgrzał.

Szli we dwóch, Pietrzak bez czapki, a drugi, chudy, wysoki. Obaj zagadani, nawet na oko łatwo było poznać, że znów gdzieś rozprawiali.

Jak mur wyrosł stanęli przed nimi.

Przez jezdnię przechodząc zdążył spytać Olesiak:

— Policzysz się z kim? —

— A co? — warknął Stomten.

— Wy czego? — zapisał chudy, kiedy mu zastawili drogę.

— Nie do ciebie szczeniaku — mruknął giser i w całej szerokości prosto przed Pietrzakiem wrósł w ulicę, zastygł tak na chwilę i oczami tylko wżerał się w tę twarz spokojną i pięści ścisnął.

— Co macie do mnie? — spytał Pietrzak — zrobiłem wam co? —

— Pan mów do mnie — wrzasnął nieprzytomnym rykiem Seweryniak, — Co zrobiłeś nie wiesz, nie? Z czyją dziewczyną chodzisz? Widzisz go, nie wie, nieboraczek. Pietra masz, co? —

Pietrzak zmarszczył się, zbladł:

— Co to z musu idzie? Dziewczyna nie szmata Chce to chodzi. —

— Widzisz go, sprawiedliwy — szydził zjadliwie giser. Ręce mu drżały w stawach, przetrzymywał tylko chwilę, nim sobie miał ulżyć.

Duży chudy usiłował się wcisnąć między nich:

— O co chodzi — zwracał się do Seweryniaka. — O co się bić? I tak dziewczyna sama wybierze. —

Mizernie przytem wyglądał więc go ręką lekko jak piórko odstawił giser:

— Zjeżdżaj, bo sam oberwiesz — i trzask w pysk Pietrzaka.

Nim ich Andrzej dopadł, już trudno było rozeznąć, gdzie jeden, a gdzie drugi, tak się z sobą szepiły, zwały, splątały ramiona i nogi. Podniósł się kurz spod butów i Andrzej widział, że już w tej walce Stefan nietylko się bronił, ale skrzywioną i zaciętą twarzą sam naodlew prał Seweryniaka, aż się roznosiło miękkie echo uderzeń. Sprzed bram wylatywali lu-

dzie, mężczyźni stawali, patrzyli, kobiety wczepiały im się pod ramię i piszczały.

Andrzej raz i drugi napróżno szarpał to Stefana to tamtego, wreszcie odwrócił się żeby pobiec pędem i zawołać kogo ze swoich na pomoc. Ale nim zrobił kilka kroków, ktoś oburzonym, grubym głosem ryknął: — Granda, grandziarze, nożem zajechał... — i zaraz przeraźliwie na całą ulicę zaczęli świstać: Policja, policja...

Wtedy rozczepili się sami.

Stefan oślepiony, z twarzą zalaną krwią, która niewiadomo skąd od czoła wdół lała się szeroką strugą i Seweryniak nabrzmiały, czerwono siny z krwawymi kresami zadrapań.

Ulica napełniła się gwizdem, bieganiną. Wtedy Andrzej z całej mocy pociągnął za sobą Stefana, któremu krew przesłaniała drogę.

— On też poczuł — rzekł Stefan nieoczekiwanie i Andrzej zdumiał się, taka nienawiść była w jego głosie.

Przy Seweryniaku znalazł się Olesiak. Uskoczyli w bok i pędem ruszyli między parkany, nim się na ulicy pokazał przywołany glina.

— Wyrządziłem se sprawiedliwość — rzekł giser chmurny jak noc.

— Dostał cholera za swoje — odparł z satysfakcją Olesiak.

— Żebym nawet miał siedzieć, nie żałuję. —

— Co masz siedzieć — Olesiak na to. — Już po wszystkim. —

Ale Seweryniak nie odpowiedział. Żuł gorzki smak swojej sprawiedliwości.

Na Dzikiej pokazywali ludzie policjantowi plamy krwi na bruku i otwarty scyzoryk z czarną rękojeścią powalaną czerwono.

Brunatne, otwarte pudła ciężarówek osadzone na dudniących kołach rozpryskiwały wesoło błoto na Częstochowskiej i oblepiały przechodniów smolistymi brylantami. Klejnoty były nieprawdziwe chwilę błyszcząły w słońcu, potem rudziały, schły i buremi plamami wisiały na odzieży.

Prawdziwa tylko była wesołość rozdętych gumowych opon, które beztrąsko parły naprzód po miękkim, wiosennym błocie.

Najczęściej ciężarówki przyjeżdżały tu próżne i zabierały z Be-Te-ha olbrzymie smołowce arkusze papy, albo okrągłe obręcze drutu i paki gwoździ od Olkowskiego. Do Nonplusu jeździły taczki, wystarczyło to dla grzebieni.

Ale te ciężarówki obie szły na Nonplus. Nawoływały głośno przed bramą, aż ją otworzyli naościęż z dwóch stron, stary Kulesza i ryży Mundek, chłopak na posyłki.

Ciężarówki wjechały na podwórze, szoferzy zleźli, z biura wyszedł sam pan Zienkiewicz i z pomocą ryżego i starego Kuleszy zaczęło ostrożnie znosić na podwórze po dwie z każdego wozu ciężkie, prostokątne paki.

W jasnym, kwietniowym słońcu stały obiecująco. Pan Zienkiewicz patrzył na nie w radosnym podnieceniu, a dwaj szoferzy, ryży wyrostek i stary Kulesza z palcami o zastarzałych szlifierskich odciskach, choć mogli wszyscy wiedzieć, że to napewno nie dla nich upominki, żwawo ujmowali we cztery każda z pak i szurając po płaskich kamieniach, wlekli je do sieni.

To darmowe dla wszystkich kwietniowe słońce czyniło paki lżejszemi i nigdy niedość rozumne serca przyprawiało o szybsze, dziecinne bicie: O, są paki, mocno zapakowane, duże. A co w nich jest — niewiadomo.

Szeroko otwartemi ustami z żółtymi pniakami zębów zaśmiał się pierwszy Kulesza, chwytając powietrze: — Ciężka, cholera, co?

— Maszyny? — zapytał ryży cwaniak szofera.

Ale nim szofer głową kiwnął, sam pan Zienkiewicz objaśnił:

— Nowe wirówki, inny system. Zamiast trzech tuzinów robią osiem. Piękne maszynki. —

Wysoki, dziobaty szofer w skórzanej czapce rzekł z uznaniem:

— Coraz lepsza technika. —

Inni milczeli. Nawet gadatliwy Kulesza nie odzywał się. Ryży Mundek pomyślał, że zaraz zanieśie tę nowinę dalej. Im wszystkim paki zaciążyły w rękach, stopy zaszurały ciężej przez drewniany, wklęsły próg do chłodnej, jasnej sieni, gdzie w złotym leju słońca roz-

pyłał się cienki, szary pył. Rozumieli dobrze co to znaczy, zamiast trzech tuzinów — osiem.

Przy maszynach, w pełnej przeciągu i nieustannego huku hali, w warkocie żelaza i szumie pasów, zawsze jednak docierały do wszystkich zwyczajnym, ludzkim głosem powiedziane słowa.

Niebieskie blaszanki w obiadowej przerwie stukały niespokojnie. Szlifiarze wiedzieli pierwsi. Jeszcze nim majster wszedł, już oni, przekrzykując ostry zgrzyt szlifujących kół, poddawali jeden drugiemu: piętnaście procent i na górze nowe wirówki.

Mechanik Dolis uprzedził ich. Potem dopiero przyszedł majster Krall i powiedział, że w imieniu dyrekcji i spowodu kryzysu, żeby fabryka nie musiała stanąć: piętnaście procent.

Przez chwilę krótką jak obrót koła zrobiło się cicho, nim się wiadomość rozlała ludziom po żyłach gorzką zaprawą uniesienia i buntu.

Już w obiadowej przerwie były pomruki burzy.

Z podwórza na lewo, na drewnianych, niskich drzwiach wisiał muchami upstrzony napis „jadalnia“. Ale nie jadło się tutaj nigdy. Pokój zajmowały puste paki i wióry, a ludzie zajadali obiad w ciemnej kotłowni bez okna. Zimą, bo tam było najcieplej, latem z przyzwyyczajenia.

Tutaj wchodzili dziś w obiadowej przerwie szlifiarze i kobiety od wirówek i ci z sortowni. Nie zgodzić się — to było pierwsze, ale co zrobić?

To Dolis i Pietrzak najpierw rzucili: Nie przystać,

a ludzie wszyscy uczepili się. To przecież była jedyna rada.

Naznaczony krzywą kresą czerwonej szramy od górnej powieki przez czoło stał Stefan Pietrzak w gromadzie. Ludzie pomrukiwali, że w niedzielę gdzieś im o dziewczynę poszło, ale nie wszyscy wierzyli. Więcej wyglądał Pietrzak na takiego, co za inne sprawy ciągi bierze, niż na bójkę o dziewczuchę.

Zresztą jego dziewczyna, Julka zgóry, czekała na niego i niebieskimi oczami tklawie jak ręką gładziła, pieściła krzywą, czerwoną kresę ze świeżemi szwami.

Właściwa narada miała się odbyć po robocie, o piątej.

Na górze szczękały wirówki. Ale cienkie, wysokie głowy dziewcząt nie mogły już spokojnie czekać. Walczyły, zmagaly się z wrzaskliwym szczękiem maszyn, łykając tłusty, ostry pył rogowy.

Chociaż słyszały, że kiedyś po śmierci płuca takich nieostrożnych będą spowite w rogowy pancerz. Ale to na nic.

Niepoprawne, w rogowym pyle i dudniącym hałasie jedna drugiej przerzucają słowa: — Jeszcze dwa razy tyle nakładania w ten sam czas, kto to wydaży?...

Tak się może zgodzić bez wszystkiego?...

Dwa są sposoby z odczytu, żeby płuca na fabryce szanować. Wentylacja — raz, nie gadać bez potrzeby — dwa.

Wentylator starego systemu powolutku obraca się w górze nad wirówkami, nad kołami fajlarzy, nad

workami cennego, tłustego pyłu. Leniwie i nieznacznie porusza się, nie toruje drogi powietrzu. Jest tutaj dla jednego człowieka, dla inspektora pracy. Dziewczyny nie przestają gadać.

O piątej nie poszedł nikt poza dziedziniec, tam zatrzymali się wszyscy, nieumówieni. Kto to powiedział pierwszy słowo: strajk — niewiadomo. Może chudy, wysoki Dolis pracujący zawsze z nadgodzinami, może szlifiarz Pietrzak albo Sikorzanka zgóry z ceglarni wypiekami? I jak zawsze nikt nie powiedział od razu: nie.

Sporo głosów powtórzyło: strajk. Inni milczeli. Twarze starych poryte zmarszczkami ze zniszczonymi zębami, z wąsami, których moda znikła już ze świata, trwały odporne, zamknięte w sobie. Ale inni podchwycili:

— Jaką macie inną radę — wołał fajlarz Zajac.— Bo to już jest pół roku od ostatniej niżki, możesz se dać znów zdjąć? Z czego? —

— A jak innych wezmą? — spytał kobięcy, płaczący głos.

— Innych niema się co bać — rzekł Dolis. — O nas chodzi: czy nasi ludzie wytrzymają czy się zgodzą. Nasi solidarnie mają iść. — A Stefan Pietrzak:

— Są na łamistrajków sposoby. Nasz brat wie czem to pachnie. My sami mamy aby wytrzymać. —

— Przecie my niezwiązkowe ludzie— rzekła stara Borowa ze szlifiarni. Resztki jej brwi były przysypane gęstym pyłem. Od lat pracowała przy szmatach

do polerowania, gdzie pył był najgęstszy. Niezwiąz-
kowe, bo ze związku Zienkiewicz nie przyjmował.

Z tem słowem runęły odrazu wszystkie inne.

Rozczerwieniły się twarze, ręce wyrzucały w górę to, czego nie zdołały powiedzieć usta: — Że znów nikt nie poprze i czy wytrzymają, żeby ustalić żądania. Że niełatwo bez przynależności związkowej taką walkę prowadzić. Mechanik Dolis je wymieniał:

Żadnych zniżek i dalej pięć dni roboty i wypłata.

Otoczyli go kołem. Podniosły się nienawykłe do skończonych zdań głosy, starego Pawlaka, Zająca i Borowej: Bo to zawsze na początku tak, a potem...

Pietrzakowi pot kapał z czoła:

— Zduszą całkiem, jak się nie obronić — rzekł. — W tym miesiącu strajkowali w „Blaszance“ i u Braci Lipiec dwa tygodnie. Macie to inny sposób, żeby się ratować? —

Z tego kąta, gdzie oni stali, Dolis, Sikorzanka, Zając i Pietrzak buchnęło właśnie okrzykiem: Strajk... i przysypało próżne stękania: O ci dola, życie takie pieskie...

Za Feliksem Zającem postanowili: Najpierw delegację wysłać.

Wtedy zakotłowało się między ludźmi, zagrzali się. Przez cały czas byli ze sobą zmieszani, zbici w gromadę, zrównani na szaro przysypaną odzieżą, teraz rozbili się gwałtownie, szeptali między sobą i wykrzykiwali w słoneczne, spokojne podwórze: Dolis, Pietrzak, Zając. Kto za Pietrzakiem?

Biuro zdaleka błyszczało jasnemi szybami. Stam-

ąd wysłano spojrzenia na podwórze gdzie stali ludzie, którym już zdjęto z płacy. Biuro trwało jeszcze po dawnemu.

Nie odrazu redukowano wszystkim. Powoli, poszczególnymi działami.

Delegację wybrano w połowie umiarkowaną, w połowie zaś tych, co głośno parli do strajku. Głosowali wszyscy, nawet ci, co się bali wszystkiego, delegacji, strajku, redukcji. Poszli we czterech, Dolis, Pietrzak, Martyniak i wąsaty Urbański, fajlarz.

Kobiety wciąż krążyły koło nich. żeby sprawa nowych maszyn na tem samem miejscu się znalazła co redukcja. Ładna Julka snuła się koło Pietrzaka, nic nie mówiąc nawet, ale oczami czepiała się żałośnie, po babsku, żeby uważał na siebie.

Zato Andzia Sikora, głośno chrypiąc miękkim kaszlem wołała: Jak to wydażyć dwa razy tyle nakładania, i tak nogi puchną. To teraz za każde dwie jedna będzie. — Ona też spostrzegła pierwsza, że przez szeroko otwartą furtę wszedł Zienkiewicz, trochę pochylony w ramionach i zauważywszy ich, niby obojętnie przebiegał obok oczami.

Nim zdążył wejść do biura, zastąpili mu drogę.

Wyrosli przed nim szaremi bryłami zapyłonych postaci i stary Martyniak zaczął:

— W imieniu wszystkich robotników, proszę pana szefa... —

Ale Zienkiewicz przerwał uroczyste słowa: — O co chodzi? —

Zmieszał się Martyniak, stracił wątek, zamrugał

podpuchniętymi oczami i dopiero za nim stojący Doliś pochwycił urwane zdanie. — Nowe płace są zupełnie głodowe, nie sposób z nich wyżyć. Kobiety przy wirówkach będą mogły teraz obsługiwać tylko jedną maszynę naraz, więcej nie zdążą. —

— Nie możemy obstać przy niższe i płace zalegają — przerwał Zajac.

Z podniecenia wypadło to jakoś cienko i wysoko.

— Nie możemy się zgodzić — rzekł Pietrzak.

Zienkiewicz przypatrzył mu się spokojnie. Poczul zwierzęcą nienawiść do tej blizną przeciętej twarzy. Żeby on mnie miał w ręku, toby był bez litości, pomyślał i rzekł, usiłując iść naprzód.

— Nie możecie, nie zmuszam. —

Podniósł szczupłą, suchą twarz: — Zamknę budę i koniec. O tych parę groszy, co niżam buntujecie się. Wiecie jak niżają dziś, dwadzieścia pięć procent. Ale nie chcecie, to nie. Staniemy. —

Nie zatrzymywał się wciąż i krokami zwalnianymi przez gromadkę kroczącą obok, szedł naprzód.

U kamiennych stopni biura podjął znów Marty-
niak:

— Panie dyrektorze, chcemy pracować... —

Zajac podsunął prędko naprzód krzywą łopatkę:

— Z tej płacy ledwo wyżyjem to i tak niżej stawki jest. —

Jego zawsze żółtawa od siedzenia w murach twarz nabiegła siną, burakową czerwienią.

Pierwszy to raz mówił głośno, a kiedy Zienkiewicz

na nim skolei dla zapamiętania zatrzymał świdrujące
oczy, choć zamilkł, nie spuścił swoich.

Wtedy między nich grubym basem wpadła syrena
od Olkowskiego. Jęknęła głośno po ulicy, wiatr po-
wiał sadzami komina.

Zienkiewicz nie powiedział już nic, wszedł na scho-
dy, zostawił ludzi jakby ich tu nie było.

Patrzyli za nim chwilę, kiedy cienko, chrypliwie
uderzył głos syreny z Be-Te-Ha.

Nisko i przeciągle. Kilka spłoszonych wróbli po-
derwało się. Delegacja ruszyła naprzeciw tym, którzy
czekali.

Już zdaleka machali rękami przecząco. —
Zamkną — zajęczała stara Pawlakowa. W czerw-
nych obwódkach wilgotno zamrugaly jej bezrzęse
oczy. Za nią stali wąsaty Urbański i Chudzielec.

— Mówił, że stanie? — spytali jak z jednych ust.

— To nic — krzyknął Pietrzak — innych i tak
nie puścimy. —

Wtedy Dolis pokazał na szary prostokąt Nonplu-
su: — zostaniemy — rzekł.

— Tu? — zapytała któraś z kobiet przestraszona
o dzieci w domu.

— Tu posiedzimy — odparł mechanik — wtedy
już nie zamknie. —

I jakby wszyscy upewnili się nagle, że jak tu bę-
dą już nich nigdy nie ruszy żadna siła z Nonplusu,
grzmotem okrzyków potwierdzili:

— Zostaniem. Z miejsca się nie ruszymy. —

— Poszedł i zostawił — poczekamy, aż mówić ze sobą da. —

Potem z wolna zaczęli rozsypywać się na swoje miejsca. Jedni w czarną czelusć kotłowni, polerowaczki i szlifiarze na kurzem zasnuty parter, zaś fajlarze i kobiety od wirówek przez jasną sień po schodach tłustym pyłem przyproszonych na górę. Szli znękani starzy i nieprzystające mówić dziewczyny, rozgorączkowani mężczyźni Zajac i Pietrzak, którzy wygadywali wciąż w zasepionego Urbańskiego.

Słoneczne podwórze opustoszało, z sortowni zabrano na taczkę ostatnie paczki z błękitnymi etykietami: Non plus ultra...

Niewiadomo kto rozniósł po Dzikiej, po Glinianej, po Stawkach wiadomość, że z Nonplusu nie wyjdą dziś ludzie wcale, że się tam zaczął polski strajk.

Mokrym od deszczu, szarym rankiem kwietniowym szli na Częstochowskiej ludzie do roboty. Do Be-Te-Ha i do Olkowskiego. Spotykali się na ulicy, przyciskali się na wąskim chodniczku pod same parkany i mury domów, bo środkiem w rozchłapanem błocie jezdni jechały do miasta poranne wozy z mlekiem i warzywami i pryskały na wszystkie strony daleko soczystem, pulchnem błotem na liche szmaty przyodziewku.

Mówili z sobą inaczej niż codziennie, podnieceni, tajemniczy, rozgorzali.

Szeptali między sobą cicho i żarliwie, aż wczesny, cichy ranek rozdarł głęboki bas syreny. Najpierw Olkowskiego, potem cienie Be-Te-Ha. i... cisza. Coraz rzadsze wozy wały głucho po Częstochowskiej.

Każdy nasłuchiwał jeszcze chwilę, choć wiedzieli wszyscy, że dziś nie będzie ostrego, cienkiego głosu.

Nonplus milczał. Stał niemy, ale nie był martwy, ani pusty, Kiedy dzień już był jasny, zaczęły iść ku niemu kobiety w chustkach z koszykami. Po jednej, po dwie. Niosły jedzenie dla swoich.

Ciężka furta z grubych żelaznych sztab była uchylona. Na podwórzu nie widziało się nikogo. W parterowej stróżówce spod nicianej firanki spoglądała raz po raz kobieta nocnego dozorcę.

Nikt wchodzącym nie szedł naprzeciw. Przez puste, nieme podwórze szły, jak gdzie której wypadło, na dół do szlifiarni i na górę po szerokich, drewnianych schodach. Tamci na górze siedzieli cierpliwie. Poszarzali po bylejak przespanej nocy, umęczeni ową beczynną walką, przykuci do swoich maszyn, uśmiechnęli się, kiedy zgnębione kobiety wsuwały się przez drzwi z koszykami.

Ożywiło się zaraz i zrobiło raźniej, zaczęto nawet żartować. Kiedy do Pawlaków córka przyszła i spytała płaczkliwie: — No jak tam wam?... —

— Ba, dobrze — odrzekł stary Pawlak. — Tyle dziewczuch mam, że nie nastarczę. —

Spod ścian obróciły się ku niemu rozpogodzone dziewczyny.

— Wołały me w nocy — śmiał się stary. — Jak

matka nie słuchała. A Julka — rzekł mocno mrugając oczami — najgorsza. Po brzuchu się klepie i woła: dó mnie, dó mnie... —

Pośmieli się i zasiedli zaraz do jedzenia. Z garnków trzymany oburącz pili kawę i zagryzali chlebem. Czyniło się gwarniej, do Zająca przyszła niska, tęga żona, do innych dzieci, matki.

Zaś Pelagja trzypalcówka, która obowiązków żadnych nie miała i sama na siebie robiła, dostała bogate, grube pajdy sitkowego chleba białym smalcem smarowane.

Koło niej siedziała ładna Julka. Nikt jej nie przynosił, bo nie było komu, więc Pelagja raz i drugi buremi oczami spojrzawszy, odjęła jeden kawał chleba: — Na jedz...

W kąciku Urbańska wysoka, zapadła i siwa szeptała coś zawzięcie swojemu staremu. Ale on, zanurzwszy wąsy w kawie, bezsilnie trząsł głową.

Odwracali się od nich ludzie, żeby serca nie słabły. Dobrze każdy wiedział, co takie machanie głową znaczy jak jest w domu pięć małych gąb.

Zajęcowa kobita, której wodzianka tyle warta była, że gorąca, bo tłuszczu w niej się nie doszukać, pierwsza połączyła ciche, pojedyncze rozmowy w jedną ogólną.

— Nie przysłali jeszcze nic, co? —

— Nie — odrzekło kilka głosów.

— I co z tego będzie? — Urbańska zaraz.

— Zobaczmy komu się sprzykrzy. — Już oni

przyślą. Zawsze przecie teraz długo stać nie będą... — wołali nanowo podnieceni ludzie Nonplusu.

— Ale kiedy, kiedy i jak dzieciom te gęby zapchać na ten czas — kłótliwie i gorzko zawiodła Urbańska.

Jej chuda, ptasia twarz sterczała teraz nad ludźmi tak, że się ciężej i zimniej robiło.

— Jeich sytość długo strzyma — dopomógł jej mąż.

Zawsze tym Urbańskim najciężej było strajkować. Zając odsunął popędliwie garnek z wodzianką:

Cienkim, ochrypłym głosem krzyknął:

— Pokazało mu się nieraz, że nasz głód dłużej strzymuje. —

— Tylko w tem nasz ratunek, w naszej solidarności — wołała Andzia Sikora i od tych słów znów zrobiło się różniej. Zaczęto dogadywać, uśmiechać się do przybyłych i kobiety, oglądając się za swoimi, wyniosły razem z pustymi koszykami nadzieję, że poradzą.

Wytrzymywali oni tedy ten dzień długi, beczynny, ciężki czekaniem na jakieś zdarzenie, na początek pertraktacji.

Stary Kulesza zaszedł w południe na górę.

— Do domu, do domu — rzekł urzędowo, ale ledwo wsunął głowę między drzwi, zasypali go pogróżkami i twardym śmiechem. Dziewczyny siedzące za stołami i mężczyźni, którzy zostali jak przy robocie na swoich niskich stołkach przed fajlarkami.

Zając zrobił ruch jakby go chciał za kołnierz złapać, wszyscy patrzyli gniewnie, tylko trzypalcówka

Pelagja przebierała milcząc w grzebykach, ale i ona mruknęła pogardliwie na Kuleszę: Kulos, przezwiskiem, jakie miał na Nonplusie.

Potem nikt już nie otwierał drzwi. Gromadzili się, gadali i znów wracali do martwych maszyn. Najwięcej męczyło, że nawet papierosa nie można było zapalić, boby suchy pył jak proch mógł się zająć od iskry, a na podwórze schodzili tylko w pojedynkę.

Potem przyszedł czarny wieczór. Dynamo stało, nie było światła. Poprzez czarność w hali maszyn długo jeszcze szły rozmowy. O strajku w trzydziestym roku i w trzydziestym drugim. Jak strajkowali do samego końca, aż postawili na swoim i nie dali wydać delegatów. Jaki głód był w domach i jak codzień od rana stawali pod fabryką.

Zienkiewicz ojciec nie taki był jak ten — rzekł Pawłaka — z dobrością szło. —

— Z jaką dobrością — śmiał się Zając — Biez strajk.. —

Głosy ucichały powoli, mętniały. Mężczyźni kładli głowy na złożone ręce i opierali je wprost na chropawych, zimnych kołach fajlerek. Inni znów walili się na miękkie pyłem napełnione wory pod ścianę. Przy stole rzędem siedziały kobiety i zasypiały plecami oparte o ścianę.

Najdłużej siedziała Julcia. Jeszcze długo słyszała chrapanie i stękania chłopów. Niektórzy jęczeli przez sen niewymówionemi za dnia skargami o dom, kobietę i dzieci. Julka była trochę głodna, a więcej jeszcze podniecona. Myślała pocichu, że jak ludzie posną,

przyjdzie chyba Stefan. Niktby i tak nie widział, a choćby i widzieli.

Ale noc wlokła się naprzód, czarna, długa przerywana stękanem i wierceniem się ludzi uspiionych w zgiętych, niewygodnych pozycjach.

Julka też kręciła się na ławce. Obok spała twarzą na stole Pelagja. Oddech jej świstał scicha, a zęby wydawały chwilami krótkie zgrzytanie, podobne do szczekania wirówek. Rozchylone wargi chwytaly pyłem nasycone powietrze.

Z przeciwnej strony drzemała głową na stole Andzia Sikora, za nią Pawlakowa.

W ciemności twarze były blade, zapadłe, znaczono troską i zawziętością, zmęczone, a wytrzymałe.

— Nie przyjdzie — pomyślała nagle, patrząc tak po ludziach. Ciężar ją przytłoczył i niepewnie szukając miejsca dla chwiejącej się sennością głowy, pomyślała: może i niema tu przychodzić teraz, kiedy jest taki strajk..

Na dole zaś sami mężczyźni, powtórzywszy ze sto razy na różne sposoby, że się nie dadzą, wypaliwszy do spółki po ćwierci, albo po połówce z papierosów, co były, pozdejmowali buty, nakryli się, czem kto miał i zasypiali na kamiennej podłodze.

Wyciągnięte ze skrzyń pakuły podłożyli pod głowy i powoli zaczęli spać, nawet ci, którym wydawało, że oka nie zamkną w tym chłodzie na twardych stołkach, albo kamieniach podłogi.

Rozrzczeni jak paki, z głowami wciągniętymi w ramiona, pod lichą zasłoną starych palt leżeli lu-

dzie Nonplusu, W ciemności nad nimi stały kurzem nabite ramy polerówek i wielkie, ciężkie zarysy szlifiarek. Ich pilnowali ludzie na podłodze.

Żeby być przy nich i z niebieskich, obtłuczonych garnków jeść gęstą zupę i nakrywać się temi paltami, których szwy pruły się bez końca.

Cierpliwie własnymi ciałami grzali czarny cement podłogi, aż łagodniał jego chłód, zasypiali rozgrzani własnym ciepłem oddechem i tak szli w nowy dzień strajku.

O którejś godzinie w zupełnej jeszcze czarności obudził się Andrzej. Najpierw zdawało mu się, że to twardość podłogi i zimno od niej wiejące zbudziły go, ale kiedy usiadł i nawpół sklejonemi oczami rozejrzał się po śpiących ludziach, a z reszty snu otrzeźwiły go ciężkie chrapania, zrozumiał, że to łaskotanie w piersi zbudziło go naprawdę.

Odkaszlnął, żeby go się pozbyć i zawinał się znów w jesionkę, tak, żeby była pod spodem i na wierzchu. Wtedy kaszel wrócił, suchy, niezbyt głęboki i krótki.

Potem znów suchy i tak długi, aż oczy zaszyły gorącym łez. Najbliżej leżący Stefan poruszył się we śnie.

Andrzej usiłował odkasleć swoje pod paltem. Kusa jesionka wymknęła się zaraz od spodu i Andrzej poczuł ziąb cementu. Kaszel nim wstrząsnął głębszy, łagodniejszy i ulżył spłynięciem flegmy. Spluwając w ciemności czuło się jak była gęsta.

Rozłożone na podłodze ludzkie paki jęły się poruszać. Kaszel dzwonił im przez nasunięte na uszy palta.

Andrzej widział jak powoli, niechętnie opędzali się przez sen od dźwięku, który budził ich z dobrotliwego spokoju.

Wtedy cichaczem wstał. Aż do samych drzwi dudnił stłumionym kaszlem i wlokąc za sobą opadłe palto, wydostał się do sieni. Wilgotny chłód wiosennej nocy przejął go dreszczem. Z całej piersi swobodnie zakaszłał, aż po cichem podwórzu Nonplusu rozszedł się głuchy odgłos.

Usiadł na drewnianym stopniu schodów i owinał się paltem. Myśli opadły go ciężkie jak ładowne worry. Może to przed zaczęciem strajku lepiej było poroumieć się z ludźmi z Galalitu i od Bicińskiego. Tam pewnie lada dzień zniżą. Zastrajkowaliby razem, albo przynajmniej solidarnościowo.

W Galalicie też robili małe grzebyki. Większa pomoc dla rodzin byłaby, wzmożona akcja.

Kaszel był teraz rzadki, ale dusiła flegma i leżała dławiąco w gardle. Od takiego kaszlu zaczęło się którejś nocy na jesieni, wtedy obok na łóżku usiadła zaspiana Anna i wymamrotała:

— Musisz koniecznie iść do doktora, strasznie mocno kaszlesz. —

Strasznie mocno, tak mawiała Anna i strasznie mocno pragnęło się czynić wszystko, kiedy była blisko. Andrzej widział ją teraz tak wyraźnie, jakgdyby tu stała. Szczupła, blada z brązowymi oczami, w których była iskra słońca. Zateśknił nagle do niej gwałtownie, porywczo, aż szeroko otworzył przymknięte oczy, żeby je napełnić widokiem pustego

podwórza i martwego, czarnego Nonplusu, żeby sobie pokazać dokładnie, że jej tam nie było że jej już nie było wcale, że się stała symbolem zwykłej, ludzkiej tęsknoty do tego, czego niema.

Wtedy zdradziecko podpłynął kaszel, huknęło z pełnej piersi i długo dudniło raz po raz. Na czole skropił się i ostygł natychmiast na chłodzie gęsty pot.

Wtedy ktoś poruszył drzwiami szlifiarni. Andrzej podniósł oczy szkliste od wyciśniętych kaszlem łez i zobaczył Stefana Pietrzaka:

— Cóżes ty wyszedł? — spytał szlifiarz, otulając się mocniej w kurtkę.

— Zakąsałem się, wszyscyby się pobudzili — odrzekł Andrzej.

— I tu siedzisz? —

— Wiesz co mnie tak po głowie chodzi — odparł Andrzej — namby trzeba było do ludzi u Bicińskiego iść i do Galalitu. Żeby z nami poszli. Przecie nietylko Nonplus chniży.

— No — zamyślił się Pietrzak, przysiadając obok — Galalit to niebardzo pewny, bo u nich teraz sezonu niema, ale do Bicińskiego wartoby. Ale stąd już przecie nie odejdzem.

— Sami nie pójdzem, ale nas już ruszą. Może jutro.. —

— Dziś — odparł na to Stefan i oczami pokazał widoczny z sieni szmat nieba nad podwórzem. Rzedła tam ciemność i zaczynał się przedświt siny, bury, cięty drobnym deszczem. —

Muszą przyjść. Sezon się niedługo kończy, nie mogą teraz stać — rzekł Andrzej.

— O, już oni poczekają. Wiedzą, że na strajk muszą mieć cierpliwość. Głodem chcą wziąć. Zaśby się tam spieszyli. —

Andrzej milcząc owinął się mocniej w palto i nastawił kołnierz. Wilgotne powietrze spływało po nim zimnym dreszczem.

Takiego mokrego, zimnego dnia przyjechał niegdyś ze wsi do Warszawy, do Anny, ale już jej nie odnalazł. Kaszel przerwał milczenie.

— Co ty bracie taki jesteś? — spytał Stefan, przyglądając mu się.

— Nic, tak różnie sobie myślę. Dusi mnie ten kaszel wciąż.. —

— Co ty, dobrze będzie — uderzył go Stefan w kolano szeroką żyłastą ręką z twardymi podbrzusiami palców — Mnie też oko czasem boli i wtedy to tak głowie chodzi, może całkiem na nie oślepnę. A widzisz jakoś potem dobrze jest. —

— Będzie dobrze — odrzekł Andrzej rażno.

Znów siedzieli cicho zgarbieni na drewnianych stopniach schodów. W ramie drzwi sieni niebo przecierało się, siwiało. Nowy dzień wstawał, trzeci dzień strajku na Nonplusie.

Tego dnia znów nie przyszedł nikt z dyrekcji. Za to w południe pokazały się na podwórzu mundury policji. Zaraz usłyszeli ludzie nowinę:

— Rozejść się, opróżnić lokal. Niewolno zajmować fabryk. Nowa ustawa; —

Różnie się ludzie do tego odnieśli. Dwoma dniami strajku przemienieni, twardzi, odważni, rozjątrzeni, wstawali ze swoich miejsc wściekli z pierwszą myślą, że stąd nie pójdą.

Wtedy mechanik Dolis wyprostowany, rozgorzały na twarzy powiedział, coś Zajęcowi. Pokiwali głowami, Zajęc namyślił się i powtórzył jeszcze komuś. Tak poszło dalej i ludzie bez słowa zaczęli opuszczać pyłem pokryte maszyny i wychodzić na dwór. Zadziwieni szybkim posłuchem ruszyli za nimi policjanci.

Na błotnistej ulicy przed furką wspiął się Dolis na wystającą część muru:

— Pod Galalit pójdziemy — krzyknął — o słuszne poparcie naszych żądań, o strajk solidarnościowy. U nich też już zniżają. —

Pod Galalit — buchnęli ludzie okrzykiem jak grzmot.

Rozejść się — zawołano — Rozejść.. —

Już od wewnątrz stary Kulesza zamykał furkę Nonplusu. Dziedziniec i fabryka zmartwiały w bezruchu.

Stefan Pietrzak w ramię trącony, rzekł z pasją:

— Na zebranie zakazu nie było. —

— Rozchodzić się prędzej — zawołano z trzech stron i odrazu uwolnione zostały białe pałki gumowe.

Ludzie stali w miejscu. Nawet stara Pawlakowa, nawet Julka. W jednej chwili znieważniały nagle codzienne najpilniejsze sprawy, żeby z nikim nie zadzierać, żeby tylko pracy nie stracić.

Tak się nagle samej Julce wydało, że co to tam

znaczy, kiedy siłą zgnieść chcą człowieka i jakże nie bronić się tu, nie walczyć o swoje?

Wrośnięci w lepkie błoto otaczali kołem Dolisa. Już nawet nietyłe słuchali tego, co mówił, ile pamiętali, żeby nie dać przerwać koła. Nawet krzyki, które po pierwszych świśnięciach gумы zabrzmiały, nieodrazu poruszały ludzi.

Stali rzędem jedno przy drugim, tak jak ich później umieszczono w gazecie, tych, których tego dnia aresztowano: Stefański Antoni, Małecka Pelagja i Pietrzak Stefan.

— Stefan — zawołała rozpaczliwie Julka.

To ona oberwała pierwsza, to w jej miejscu przerwało się koło i tamtędy dostali się do Andrzeja Dolisa. Mechanik zgiął się nagle, przysiadł prawie. Silna pięść, niezłोśliwa, tylko spiesząca się pchnęła w plecy, pomogła.

Wyrwało się coś gniotącego z piersi, załaskotało w gardle, Andrzej chrząknął i raptem z półotwartych ust po brodzie, po marynarce, na służbowy rękaw nawet, zakapała najśliczniejszą jasną czerwienią krew krętą strużką.

Pierwszy raz zobaczył ją tak Andrzej i strach przed chorobą, straszniejszy niż wszystkie inne ścisnął go. Ręka uwolniła go natychmiast. Naokoło przerażono się. Ci, co stali o krok, Feliks Zajac i Sikorzanka ujeli go pod pachy i wtaszczyli do drewnianej budki.

Policjant postął chwilę, potem odszedł.

Andzia Sikora pierwsza odrazu zrozumiała sens tej

krwi i zawsze taka krzykliwa nie odezwała się wcale, kiedy Chudzielec zawołał:

— Numer przodownika trzeba zapisać, coś mu we środku odbili. —

Chustką wycierała plamy na brodzie i marynarce.

— O już przestało — ucieszył się Zając.

— Ambulatorjum na Dzikiej — mrucał Andrzej — gdzieś tu niedaleko.. —

Siedział na wąskiej desce ławki z głową przegiętą wtył, opartą o chropawe, surowe deski budki. Sikorzanka chudemi palcami rozluźniła mu kołnierzyk i przyłożyła na kark wilgotną chustkę, sama zaś stała nad nim z bezkrwistą, posmutniałą twarzą. Na ulicy zgarnęli tamtych z sobą i odeszli.

Ostatnie krople krwi coraz wolniej wydostawały się. Gromadka koło Andrzeja z boku, styłu podrywała go z ławki.

— Do Ambulatorjum — prosił ich, sam usiłując mocno stanąć na zwiotczących nogach. Wlekli go ze sobą.

— Jak dobrze leczyć to po pierwszym razie może nie przyjsć więcej — rzekła mu Andzia Sikora.

Usiłowała coś powiedzieć, uśmiechnąć się, ale nie mógł. Tak go dowlekli do Dzikiej.

— Ustaje — mruknął Zając.

Weszli w samą jasność i słońce szerokiej ulicy. Obeschłe kamienie lśniły. Tramwaje dźwięcznie biegły po szynach, auta nawoływały trąbkami. Gromadka, która przed nimi wyszła z Nonplusu, już znikła w dali.

Podtrzymując Andrzeja, zatroszczył się nagle. Zając — Żeby tylko tam dobrze mówili — Puszczą ich chyba zaraz? —

Andrzej potakująco skinął głową: — Żeby być tam z nimi — pomyślał — z nimi, długo, zawsze.. —

Nogi pod nim miękły coraz bardziej. Zato już zdaleka na bramie, na białej emalji tłusto i czarno lśnił napis: Ambulatorjum..

Słońce ciepłym promieniem natrafiło na twarz Andrzeja. Patrząc na tę jasną ulicę, silnemi rękami niesiony, zdążył jeszcze pomyśleć — Szkoda —, gdy o dwadzieścia kroków od bramy, opadł, zaciężył towarzyszący i kolanami dotknął pokornie wiosennej, niebiesko złotej ulicy.

W niedzielę do obiadu bywał najczęściej zapraszany mąż zmarłej siostry doktorowej. Stefanek i Zosia zasiadali wtedy do stołu podnieceni, pani domu niepokoiła się czy mąż wróci w porę.

Niedzielne obiady trwały nieskończenie długo, dzieci przysłuchiwały się chciwie rozmowom i Anna co chwilę napotykała surowe pociski oczu doktorowej, które upominały ją bez słów:

— Zosi trzeba zwrócić uwagę. —

Pan Zienkiewicz, ojciec Stefanaka był porywczy, unosił się niespodzianie i od niego najczęściej pochodziły tematy nieodpowiednie. Pani Marja zaznaczała to natychmiast zmarszczeniem gęstych brwi.

Tej niedzieli opowiadał o najnowszych wydarzeniach w swojej fabryce. Jego ludzie strajkowali.

— Drugi dzień siedzą. Powinniście widzieć delegatów, których mi przysłali. Nasi robotnicy są z tych stron, gdzie fabryka. Dzika, Niska, najgorszy element... —

— Dlaczego na Dzikiej.. — zaczęła Zosia i Anna natychmiast spojrzeniem musiała przerwać pytanie, któremu groziła niebezpieczna odpowiedź.

— Szumowiny — powiedział nerwowo pan Zienkiewicz, rozrywając kaczkę na talerzu.

Przy stole padały pytania, czego żądają, czy wszczęto już pertraktacje.. Doktorowa radziła niespokojnie:

— Powinieneś być ostrożny, Piotrze. —

Wymawiając tę przestrożę musiała się czuć pełna doświadczenia.

— Trudna sytuacja — rzekł Stawan.

Gorzko, gniewnie i nieostrożnie spojrzała Anna w jego stronę. On nic nie rozumie — pomyślała. Aż strach, jak bardzo on tego nie rozumie.. —

W suchej twarzy Zienkiewicza płonęło rozgorączkowanie:

— Hodujemy sobie wrogów — rzekł — Od dwóch miesięcy mam mechanika. Podobał mi się Chłopak z pewnem wykształceniem. Wziąłem go. Mogłem naturalnie mieć dziesięciu innych. Dziś on właśnie stoi na czele strajku. —

— Nie możesz iść na kompromis? — spytał Stawan.

Zienkiewicz aż odłożył widelec i wlepił w szwagra gorące oczy:

— Żeby mnie zagryźli inni. Musi przecież być rozsądna kalkulacja. Poco mam pracować? Oni mi będą dyktować? Żeby nowych maszyn nie wstawiać? Ale ja ich pamiętam. Te twarze zawzięte. Reszta już mnie nawet nie dziwi, tylko tamten oświecony chłopak, ten Dolis. Myślisz swój człowiek, okazuje się agitator. Zawsze jeszcze czemuś się wierzy — rzekł gorzko.

Marja spuściła oczy, pomyślała: Jasia.. On tego nie zapomni.

— A co można im zrobić tatusiu? — spytał Stefanek.

Oczy pani domu wyczekująco zwróciły się do Anny, ale wychowawczyni siedziała z zaciśniętymi ustami i nieuważnie patrzyła w przestrzeń.

— Piotr jest niemożliwy — pomyślała pani Marja — sto razy prosiłam, nie przy dzieciach i przy obcych. —

Już — myślała Anna — nie mogę dłużej.

Można było w ciągu miesięcy zwlekać, nie odchodzić stąd, kryć się, kłamać uśmiechem, spokojem, spojrzeniem, przyrzekać sobie, za kilka dni. Aż nagle teraz skończyło się tych kilka. — „Na kompromis“ — powiedział.

Siedział tam, kulturalny pan, sławny lekarz, obcy człowiek. Nie rozumiał. On, który wlot zgadywał subtelne drgnienia. Nie znał ognia tej walki. Nie mógł nawet zrozumieć co znaczy taki strajk.

Tam siedzieli oni w chłodzie zapyłonych hal fabrycznych dzień i noc, nędznie żywieni. Rękami, no-

gami, zębami walczyli o swoje prawa. Wytrzymali. I Andrzej ze swoim kaszlem. Jakże nie rozumiał, nie odgadywał, że ona też była z tamtych w Nonplusie? Poszukał jej spojrzenia. Zobaczyła zielonkawę oczy i siwe pasmo włosów ułożone gładko wśród czarnych nad skronią. Umknęła spojrzeniem.

Żal i gniew zalały czułość.

Pani doktorowa powiedziała do męża:

— Janku, uważaj, pan doktor nic nie je. —

Służyło to w pierwszym rzędzie do zmiany tematu. Młody asystent wśród gęstych podziękowań przysunął sobie talerz. Dzieci nadśluchiwały uparcie. Pana Anna naturalnie jeszcze wciąż nie uważała.

— Każda po pewnym czasie staje się niemożliwa — myślała pani Marja gorzko — dlaczego?

Anna obliczała: kiedy jaknajprędzej? Ogarnęło ją nagle zdumienie, że to mogło tak trwać dotychczas, że mogła być, choćby tylko obok, tego życia zbyt łatwego, zrastać się z niem.

Znała te domy od lat: Wiedziała. Każdy tkwił jak pień wśród tupotu żywych, ludzkich stóp, suchy, ścięty pień, twardemi korzeniami pijący soki ziemi, sam martwy i niepotrzebny.

Nawet między nią, a dziećmi tych domów, uczniami, których lubiła, zostawała niezwalczona obcość, wszystko, co im trzeba było przemilczeć, żeby ich nie przerażać, od czego zręcznie i w porę należało odwracać uwagę.

On był stąd. — To musi zostać mojem świętem — myślała. — powszedni dzień jest gdzieindziej — Zna-

lażła już słowa. Ale nie uspakajały jej. Były nieprawdziwe.

Rozmowa obok płynęła swobodniej. Asystent opowiadał. Pani Marja słuchała z zainteresowaniem. Przeżykała właśnie skrycie gorycz nagłego spostrzeżenia.

Żrenice jej męża wróciły przed chwilą z tej samej przestrzeni, gdzie wciąż jeszcze nieprzytomnie tkwiły oczy panny Anny.

Uważnie przysłuchując się asystentowi, myślała:

— Więc zawsze jeszcze jest taki, jeszcze wciąż.. — i skryte pragnienie wiary w to, że posiedzenia, klinika i pacjenci zabierają mu naprawdę cały dzień, zachwiało się boleśnie.

Na szczęście ta dziewczyna była z zupełnie innego gatunku. Wystarczyło zobaczyć, co ona czytała.

Piotr Zienkiewicz rzekł:

— Włóę każdy zawód od swojego. To nie takie proste być dziś fabrykantem. —

— Nie wiem, czy inne zawody mają mniej komplikacji, ale napewno mają mniej dochodów — roześmiał się Stawan.

— No ty nie możesz narzekać — odparł uszczypliwie szwagier.

Młody asystent usiłował złagodzić nastrój i zwracając się uprzejmie do pani domu zaczął:

— Mieliliśmy dziś niezwykle ciekawy przypadek. Sam pan doktor twierdził że to, rzadkość. — Po przeciwnej stronie stołu panną Anna nareszcie zajęła się dziećmi.

Wstały od stołu, podziękowały. Na chwilę ustało opowiadanie asystenta. Pani Marja poczuła ulgę. Doktor Stawan pozwolił sobie na chwilę oderwać przyjazne spojrzenie od jego twarzy. Ale nagle poczuł dokładnie, nawet jeszcze nie widząc, wzrok żony z tą samą niemą natarczywością, z którą od lat pytała go napróżno: Kto? Dlaczego?... —

Cały dzień to były dwie błyskawicznie zmieniające się myśli. Niezłomne postanowienie: nie zniosę tego dłużej — i nieśmiałe uporczywe pytanie: Ale jak żyć bez tego? —

7 Wtedy Anna wypowiedziała swoją decyzję. Tę już oddawna wiadomą, że nie może już być tutaj, tę, którą wciąż coś odwlekało.

Odrązu teraz nie wiedziała dobrze, co odwlokło ją na tak długo.

Zgodził się odrązu z tem lakonicznem zrozumieniem, które zawsze było takie bliskie Annie, ale tym razem nie docierało do prawdy.

Rozmowy ich dobiegały zawsze do odległej granicy, ale tylko do niej. Tam zostawały. Przecież nie nie mogło się zmienić w ich dniu powszednim.

Przyciągnął ją za rękę: — Będziemy się widywali tak jak dawniej? — spytał.

— Tak — odszepnęła Anna żarliwie i radosną pocięchą ogarnęła ją niezłomną pewnością, że nie może być inaczej, że się coś uratuje z tego, że tak zosta-

nie długo, długo, na zawsze. Ale kiedy później schodziła ze schodów, z tych czystych, marmurowych z wygodną poręczą, krok za krokiem wdół — przybłąkała się myśl uporczywa, przerażająca... i już niezupełnie nowa: Coś się kończy.

W południe przyszła Anna na Twardą. Przez otwarte okna mieszkań płynęły zgodne zapachy kiszonej kapusty, grochówki i smażonej słoniny. Przystając co kilka kroków na wrzaskliwym podwórzu, wlokła Anna walizkę od spodu ciężko nabitą książkami.

Tabliczka „Halina“ na drzwiach była pokryta zieloną pleśnią. W ciemnym przedpokoju zaplątały się zaraz nogi w znajomy chodnik, zamieniony już w workowaty łąch. W kuchni szyły „panienki“ i maszyna zagłuszyła kroki Anny. Dopiero, kiedy skrzypnęły drzwi pokoju, któraś powiedziała głośno:

— Ktoś wszedł.. —

Maszyna urwała nagle, stołek zaszurał, matka weszła do pokoju, kiedy Anna dysząc ciężko, przysunęła sobie krzesło z przedartem trzciniowym siedzeniem. Ziemista twarz mamy jakby poczerniała jeszcze.

— Andzia — rzekła z niespokojnem zdumieniem — co to? —

Anna pokorniej niż kiedykolwiek uczepiła się twarzy matczynej bronzowemi źrenicami:

— Mamo, chwilowo tylko, dopóki będę miała mieszkanie. —

Matka założyła na piersi zmęczone ręce. Włosy miała potargane, stopy tkwiły w tych samych płóciennych pantoflach, poczerniałych ze starości i bru-

du. Kiedyś musiały być szare, albo może białe. Nawet Anna nie wiedziała tego.

— A Andrzej gdzie? — spytała twardo z odrobiną drwiny.

— Rozeszliśmy — powiedziała Anna cicho.

— Z tej wielkiej miłości, co?.. —

— Mamo.. — zaczęła Anna.

— Naturalnie, najpierw oburzenie, nikt jej nie rozumie, matce nawet się nie mówi. Pewnie, skąd ja-kaś tam matka do sercowych spraw córki. Prosiłam, błagałam, cherlak, grosza zarobić nie może, koło swoich butów lata — z za szkieł błyszcząły jej spłowiałe oczy rozpalone goryczą i gniewem.

— Moja córka, tyle lat pracy, każdy mówił: możesz mieć pomoc, naucz szycia, ja nie. Oszczędzałam, niech się kształci. Przecież też miałam wykształcenie. A teraz, jestem z walizeczką, rozeszłam się, już — mama jest zawiadomiona. —

Anna usiłowała się wcisnąć w ten potok słów.

— Mamo, — zaczynała wciąż napróżno, ale noga w płóciennym pantoflu tupnęła rozpaczliwie miękkim klapnięciem:

— Co tam było? Poszedł może jeszcze sobie, co? —

Anna rękami zasłoniła sobie twarz.

Tak było teraz jak wtedy w cukierence z Andrzejem.

— Nie, nie to ja poszłam. Mamo, zostaw mnie, jeżeli nie mogę zostać to pójdę.. —

— Głupia gdzie pójdziesz? — krzyknęła matka —

Już dobrze, zostawię cię. Kto mnie przeklął, za co, że z niczego pociechy nie mam, nawet.. —

Anna ujrzała, że spod szkieł w zwyczajnej drucianej oprawie spłynęła kropla. Palce rozmazały ją po twarzy. Okazało się nagle, że przez te lata matka czekała tu na coś. Szyjąc, kłócąc się z „panienkami“, z ojcem, z Dankiem, czekała na pociechę od niej, Anny.

Do pokoju weszła dziewczyna z kawałem skrojonego materiału. Nowa, nie znała Anny.

— Proszę pani — zaczęła — jak tutaj zrobić?

— Chodź, tam ci pokażę — rzekła opryskliwie matka i poszła do kuchni.

Anna została przy stole zarzuconym odwiecznymi żurnalami, pod lampą z zakurzoną grubo, wyblakłym abażurem. Na kredensie pełnym książek i papierów Danką można było rysować palcem w szarym kurzu.

Przed lustrem leżała płaska od ugniatania, lśniąca od wytarcia poduszka, w której były wyciśnięte wklęsłe wgłębienia kolan mamy.

Na nic był dyplom okupiony latami klęczenia na tej poduszce, nie mógł okupić nawet wyprostowania tych pleców. Nie było pociechy od wykształconej córki. Już nietylko pomocy, nawet pociechy.

W kuchni mama krzyczała na kogoś. Wszystko było tak, jakby się stąd odeszło wczoraj. Chyba jeden Danek urósł i zmienił się. Anna ze spuszczoną głową siedziała przy stole. Matka, Andrzej, każde z nich na inny sposób zostało skrzywdzone. Ale nie mogła

odnaleźć w sobie skruchy. Bolało, ale nie było żalu. Chciało się tylko żyć, niczym kosztem, tylko własnym, a przecież musieli płacić także inni.

W kuchni nie ustawała sprzeczka. Głos matki wybijał się donośnie:

— Wszystko sama rób, wszystko pokazuj. —

Anna wstała i zaczęła układać żurnale, rozsypane w zmięte pojedyncze kartki.

Ale bardzo prędko okazało się, jakie chwiejne oparcie było w tym domu, jak nie wystarczał na ochronę i gdzieindziej trzeba było szukać opieki.

To się stało właśnie teraz i Anna wiedziała, że należy tylko do niej. Krótka myślała o tem, czy powiedzieć Stawanowi. Postanowiła szybko: Później, żeby było łatwiej. Trzeba było tylko myśleć o tem jak to zrobić. Sam fakt był przesądzony.

Nie było to dziecko, które mogło się urodzić

Już odrazu zaczynało się z innej strony. Po raz pierwszy pożyczyl od stawana pieniędzy.

Dał je jak ci którzy mają dosyć, wydają na swoje przyjemności. Łatwo, lekko, nie spytał na co. To było zaufanie, ale nietylko to. Nie znali przecież oboje swego powszedniego dnia. Powiedzieć, nie powiedzieć? Nie powiem — pomyślała Anna — kiedyś później. To nie jest trudne dla mnie samej.

Tak wydawało się do ostatniego dnia.

Zimny wiatr, który ciął tego rana przejął Annę

wewnętrzny chłodem, żalem, że nie wolno było nawet pozwolić sobie na strach, na przecucia, przecież wszystko już było niegdyś.

Niezupełnie podobne, z czekającym trwożnie Andrzejem, z pożyczonymi pieniędzmi. Zato teraz ziała się myśl — Gdybym miała kąć dla siebie i choć jakiś stały zarobek, chciałabym je mieć dla siebie. Byłoby tylko moje. —

Potem odrzucało się to: Co to, zabawa w niemożliwości?.. —

W bramie stała tęga dziewczyna z żołnierzem, miała tępą twarz.— I ona się dowie, przemknęła Annie.

Dzwonek u drzwi zadźwięczał przeciągle. Otworzyła niemłoda, bardzo czysta kobieta. W zwykłej mieszczkańskiej jadalni stał smok mieszkaniowy, wielki kredens. Jedno tylko ratowało ten pokój od najstraszliwszej banalności, lekarskie krzesło i białe posłany tapczan. I to była różnica, antyseptyka dobrze zapłaconego zabiegu. Szarpnął ją gniew, prawie żal, że pożyczala te pieniądze.

Szeregiem na stole czekały butelki. Eter ulatniał się leciutko. Opatrunki były jeszcze lśniąco białe.

— Pan doktor będzie za chwilę. —

Anna zgodziła się w milczeniu.

— Pierwszy raz? — spytała uprzejmie biała kobieta.

Anna zaprzeczyła, uśmiechała się. Potem została sama i patrzyła jak na gobelinowym obrusie liście i kwiaty spajały się fantastycznie. Nie można było

odnaleźć końca ani początku. Tak siedziało się tu nad ich nieważną zagadką samej, jak tylko można nią być, kiedy nie wie i nie czeka nikt. Już i wtedy trzy lata temu, choć Andrzej był tak blisko zjawiało się przeczcucie tej prawdziwej samotności, że w najważniejszych, najtrudniejszych chwilach człowiek jest sam.

W zamkniętej szafce zegara szemrało tykanie. Anna miała przed sobą gazetę, czytała ją nawet. Potem przeraził ją własny spokój. Że tak nie można nie pamiętać, jak bardzo to bolało niegdyś.

Zimnemi palcami obracała ciężką, szklaną popielniczkę. Wtedy nagle uchwyciła się wspomnienia, Ożyło, rozjaśniło to czekanie. Płomienne, ociążałe, a wstrząsające przejęło ją przypomnienie tej chwili, która sprawiła, że się czekało tutaj, że się miało siłę pomyśleć tu przy butelkach eteru, przy opatrunkach: nie żałuję.

Ze też naprawdę są kobiety, które mogą mieć dziecko, kiedy chcą, pomyślała Anna z nieskończonym zdumieniem.

Przeciągly dzwonek powtórzył się, potem głos u drzwi, dwa głosy i wypadki zastygłe w nieruchomości przy ciemnym stole ocknęły się — życie zaczęło się znów.

Lekarz wszedł, przywitał się z Anną. Przyjrzał jej się: — No więc proszę. —

...Rzemień opasał z całych sił. Nie wpijał się, ale za każdym drgnieniem czuła jego stanowczy, nieugięty ucisk. Na ramionach oparła się ciężko kobieta

w białym fartuchu. Chłodne płótno dotykało rozpalonej twarzy.

Pierwszy ostry ból dotarł do świadomości. Jęk, którego nie miało być, wydarł się mimowoli. Ścisnęła zęby.

Obnażone powyżej łokci ręce lekarza, które przed chwilą jeszcze podnosiły, układały parujące, wygotowane narzędzia o srebrnych błyskach znikły sprzed oczu.

Było tylko okno zalane skrawkiem nieba burym i martwym.

Oo.. Ból rozdarł, zatargał, zapanował, wgrzył się głębiej, jeszcze głębiej, rozlał się po całym ciele. Poruszyła się, ale rzemień i ręce czuwały.

Kto to powiedział, że tylko pierwszy raz? Nieprawda, nanowo. Jeszcze inny. Jeszcze głębszy. Im dłużej się żyło, szło się dalej, w samą głąb istnienia.

Oo.. Zapanować; nie krzyżeć; ujarzmić siebie. Nie trzeba krzyżeć, niema wstydu. Jest ból. Tylko ból. Urywa się skrawek pamięci, że to już było i będzie znów. Od cichaczem na klucz zamkniętych pokoi, od chwil wyrwanych ludziom i czasowi, do tego krzesła lekarskiego, do bólu, bieli i ostrego zapachu dezynfekowanych narzędzi.

Chciała sciszyć jęk. Zabrzmiał jak stłumione wycie. Ucisk obcych rąk i rzemienia nie bolał już wcale, zmuszał tylko do bezwładu. Poniżej pasa wszystko było jedną wielką szarpaną raną. Krzyż, ręce i nogi drętwiały z bólu i ożywały nanowo, kiedy ból rósł jeszcze bardziej.

Wtedy zbielewały wargi Anny szepnęły:

— Prędzej. —

Daleko, zdołał głos lekarza odpowiedział:

— Zaraz.. —

Nieprzytomnemi oczami ujrzała jego czoło z okrągłymi kroplami potu i poczuła, że od skroni po twarzy cieknie wąskim strumykiem ostygły pot.

Głowa była przekrzywiona i krople spadały na nagie ramię. Już. Nie było rąk. Oczy przesłoniła matowa biel fartuchów.

Najstraszliwszy ból głuchł, oddalał się, drażył tylko gdzieś w głębi. Odsuwano stół. Butelki stuknęły cicho i dźwięcznie. Koniec.

Zamiast ulgi śmiertelny smutek objął Annę. Biały fartuch z rudemi bryzgami krwi zbliżył się. Jak nożem pchnęła myśl, że to krew własna i nie własna.

Łagodnie, obojętne ręce dotknęły twarzy:

— No cały czas tak odważnie, a teraz bez humoru? Boli? —

— Trochę — szepnęła Anna i zemdląła.

Tak się to dziwnie złożyło, że kiedy trzeba było pomocy drugiego człowieka na resztę dnia i pozorów przed domem, że wyjeżdża się do koleżanki, nikt to już nie mógł być inny jak Cesia.

To ona wynalazła pokój na trzy dni, ona przyrzekła, że przyjdzie jak tylko będzie mogła i Anna stopień po stopniu wiotkimi, osłabłymi nogami, upar-

temi rękami przewyciężała schody ku górze do tego pokoju.

Jeszcze jedne schody. Anna ciężko wisiąca u ich poręczy. Zapach magaryny napełniał sień. Szedł za Anną wytrwale i cierpliwie w górę po tych najdłuższych w życiu schodach.

Malenki ciemny przedpokój, na lewo drzwi znane wejście sublokatorskich pokoi. Nareszcie łóżko i przezornie przygotowana na krzesło obok zimna woda w szklance. Cesia pamiętała. Jeszcze jej niema, ale to nie szkodzi. Jeszcze jest trudno wyjść poza własną samotność. Jeden tylko człowiek powinien być tutaj, ale to nie jest możliwe. Nie wie.

Idą chwile, godziny. Myśli niezmordowanie krążą koło tego, czego już niema, a mogło być. Nareszcie budzi się jakaś żywa chęć. Pić. Ale niema nikogo. Już jest popołudnie. Zdarzenia zaczynają splatać się z wyobrażeniami, Anna czuje lekki strach, to temperatura podnosi się.

Z mieszkań zaczynają dzieci wołać na kolację, kiedy do drzwi puka Cesia. W jej szarych oczach zjawia się cień, Anna wygląda okropnie.

— Myślałam, że chyba nie przyjdiesz — szepcze.

— Jakto? — oburza się Cesia — ale tyle było roboty w pracowni, ledwo teraz wyszłam. —

Poprawia poduszki — Strasznie gorąca jesteś — niepokoi się.

A po Annie kojąco spływa ten niepokój, że Cesia znów jest bliska i swoja, tak jak dawno temu:

— To nic — odpowiada — tak musi być. —

Cesia siedzi przy łóżku długo:

Może chcesz pić? — pyta wreszcie.

Anna łączywie kiwa głową. O tak. Cesia wstaje bierze torebkę. Myśli o pomarańczach, ale patrzy, liczy, czerwieni się lekko i mówi: — Zrobię ci herbatę. —

Cesia idzie do kuchni, Anna zostaje sama. Niema nic innego prócz szczypty przezornie przygotowanej herbaty.

— Co on powie — myśli Anna — kiedy usłyszysz? — I jeszcze: — Co on będzie wiedział, czy można to opowiedzieć? Co można opowiedzieć o sobie?

Cesia wraca, przynosi szklanekę, Anna, parząc sobie wargi, pije chciwie. Cesia siedzi uważna, serdeczna, bez cienia odległości. Anna nie panując nad gorączkowym bezładem myśli, pyta się:

— Słyszałaś o Andrzeju? —

— Ty wiesz? — Cesia odsuwa się nagle, — Wiesz, że Andrzej jest w szpitalu? —

Anna ciężko opada na poduszki: — Tego nie wiedziałam — jęczy.

Cesia nie może sobie podarować, ale już niema rady:

— Po strajku — mówi — U nich był strajk. Zre-sztą oddawna już był chory. —

Mroczny za dnia pokój pociemniał już zupełnie. Nie zapalają światła, żeby nie raziło.

— Trzebaby jej coś kupić do zjedzenia, przecież nic tu niema — myśli Cesia rozpaczliwie i szuka w pamięci od kogoby pożyczyć. W milczeniu patrzy na

jej twarz, zbiedzoną, zmęczoną. Ta Anna, dlaczego zrobiła wszystko? Ale niema już w niej chłodu i niechęci z tamtego wieczoru na Krochmalnej, kiedy jej Anna sama powiedziała o tem.

Przez zamknięte drzwi z pokoju dobiegają znów odgłosy kolacji. Anna jest taka zmęczona, że nie może spać.

U Stawanów teraz Zosia idzie do łóżka, myśli, on jest jeszcze w lecznicy. Cesia jest dziś zupełnie inna: łagodna. Andrzej leży w szpitalu. Myśli stają się nagle dziwnie wyraziste, pędzone gorączką docierają daleko i kiedy przypomina się pierwsza rozmowa z Cesią i tamte własne słowa: To też jest odwaga robić tak jak się chce, Anna nagle odnajduje jakąś wiadomość, nanowo odkrytą prawdę, że to jeszcze nie jest wszystko, tylko mała częśćka walki, jaką się toczy ze światem i jedynie pierwszą jej częścią jest własna ja.

— Śpi — myśli Cesia i nie porusza się w ciemności, żeby jej nie zbudzić. Już jest blisko noc, jutro będzie lepiej, to wiadomo. Na to jutro Cesia ma w torebce cztery miedziane piątki.

Ulica żyje, ulica pracuje w powszedni, ruchliwy wtorkowy dzień. Ludzie stoją pod murami bezczynnie, bezwstydnie żebrzą, albo jaskrawo obnażają swoją nędzę, ale środkiem biegną jeszcze inni, zajęci, szczęśliwi, pełni ważności swoich spraw.

Ulica żyje, przed bramami bazaru w przenośnych

tekturowych pudłach są na sprzedaż krawaty, skarpetki, w walizczkach dziecinne ubranka, w koszach brudne ciastka i czekoladki i nagle całe lotne targowisko ginie, umyka, ulica zostaje opuszczona, samotna, wszystko znikło, w różne strony rozechodzą się ludzie z zamkniętymi pudłami i walizkami. Przeszedł policjant.

Anna idzie Twardą. Chorowało się kiedyś? Bolało? Tak, ale to już wszystko minęło. W małej mleczarni jest telefon. W jego słuchawce za chwilę usłyszy Anna głos. Trzeba długo czekać. Zajęty. Można tymczasem pospiesznie rozmyślać. Powiedzieć zaraz za pierwszym razem? Jak to będzie, czy okaże niepokój?

Prawdziwy powszedni dzień jest dla nich różny. Nie dzielą go, nie znają go. Co wie Stawan o Twardej, o szkolnej praktyce, o bieganiu po lekcjach, co wie Anna o jego dniu?

Jeszcze wciąż są dla siebie świętem, wyrwaną z dnia chwilą, najlepszą może, ale krótką.

Nareszcie. Daleko w słuchawce zjawia się głos. W mleczarni stukają naczynia, zagłuszają słowa.

— Tak długo nie dzwoniłaś. Myślałem, że zapomniałaś o mnie? —

Niedorzeczne pragnienie, żeby się domyślił, żeby owinał ją w czułość po tylu dniach niewidzenia, ogarnia Annę.

— Co robiłeś przez ten czas? — pyta.

Na stoliku obok kelnerka z brzękiem ustawia szklanki.

— Wiesz przecież co robię — nadpływają zagłuszone słowa: — Pruje, łatam, zszywam.. —

Tak jakby się widzieli wczoraj, spokój wstępuje w Annę. Nic nie zdarzyło się od ostatniego razu. umawiają się. Dopiero jutro. To nic. — Powiem mu — postanawia nagle Anna — nie można, żeby on nie wiedział tego. Żeby miał zawsze święto.

Potem wychodząc potyka się znów o myśl, dokoła której krąży od kilku dni, od chwili, kiedy to usłyszała: — Muszę pójść do Andrzeja. —

Anna spieszy się, biegnie ulicą, radośnie zanurza się w gwarze. Znów wszystko naokoło tętni życiem, przesuwa się, pędzi, trzeba nadążyć, odnaleźć swoje miejsce, wywalczyć je.

Niespodzianie ktoś idzie naprzeciw, uśmiecha się. Wesole, młode oczy, znajoma twarz. W pierwszej chwili nawet niewiadomo czyja. Potem rozjaśnia się. Siostra Marja z Zakładu. Przychodziła niekiedy do Stawanów z jakimś poleceniem, ze sprawami lecznicy.

Znają się. Witają. Siostra Marja jest młoda i wy-
lewna. Po pensjonarsku wierza się:

— Tak mi się pani podobała pierwszy raz, kiedy pani przyszła do Zakładu. Pamięta pani? —

Anna potakuje. Niezupełnie to o co chodzi siostrze, ale to nic. Siostra Marja też nie wszystko mówi. Bierze się z tej rozmowy nieoczekiwana serdeczność, odprowadzanie się po ulicy, rozmowy.

— Niech mnie pani odprowadzi, już niedaleko —

prosi siostra Marja, patrzy na zegarek nie chce jej się iść samej.

I tak się staje. Roześmiane, wesołe idą w tę stronę. W ożywionej rozmowie zabiło Annie nagle serce. Odpowiedziała sobie szybko: Co za myśl —, ale przestała uważać na to, co mówiła tamta.

Przy kilku następnych numerach pomyślała: to jest jego godzina. Jeszcze raz ostrzegła się sama: — Jak ja mogę.. —

A potem to był ten dom, pełen tylu obcych mieszkań, ale tylko jeden.

A kiedy stanęły przed bramą, w której Anna nieraz zatrzymywała się przed wejściem na schody, nie mogła się powstrzymać od pytania:

— Kto tu mieszka, pani? — i przypatrzyła się zadyszanej, pełnej podniecenia siostrze Marji.

Tamta zaczerwieniła się gwałtownie, dziecinnie. Spytała prawie gniewnie:

— Dlaczego? Dlaczego pani?.. —

— Ja nic. Mam tu znajomych — odrzekła Anna i w głosie swoim rozpoznała coś, co mogło uchodzić za zdumienie.

Siostra Marja nie spytała o znajomych, musiała żałować własnej niezręczności, bo zmieniła zaraz temat rozmowy i tylko posłuszna biegowi myśli, zapytała Annę:

— Gdzie pani pracuje teraz? —

— Mam lekcje — odpowiedziała Anna.

Pożegnały się. Jeszcze w porę. Nim pospiesznie z auta wysiadł doktor Stawan i Anna zdaleka zoba-

czyła znajomą sylwetkę. Nad skronią gładko przylegało widoczne spod kapelusza pasmo siwych włosów. Miał połysk oksydowanego srebra.

— Lubiłam ten połysk — myślała Anna, idąc do domu ulicami, wciąż innemi ulicami, krzykliwem podwórzem, ciemnymi schodami.

W kuchni na Twardej, w żelazku palił się węgiel drzewny. Sukno jęczało, syczało pod ciężarem. Było już po obiedzie.

— Dla ciebie jest w piecyku — powiedziała matka i dodała — wiecznie się spóźniasz. —

— Nie będę jadła — powiedziała Anna z palcem zwróconym w stronę jamy brzusznej.

W pokoju, przy oknie hałasował Danek, czarno-włosy, piękny chłopak w zniszczonym, wyrośniętem ubraniu. Z zamiłowaniem robił eksperymenty chemiczne i teraz gorączkowo stukał próbkami. Ciągłe mu przytem coś brakowało. Wtedy wołał w stronę kuchni:

— Mama, gdzie blaszane pudełko z Róży Cejlońskiej? — albo — Gdzie mój kwas?.. —

Anna leżała na kanapie. Tej samej, w której Danek połamał niegdyś sprężyny i wykopał dołek we włosiu. W tym dołku leżały teraz jej plecy. Leżała godzinę, drugą. Nie było klientek.

Potem weszła mama niby po żurnal, zębami obgryzała nitkę:

— Co ci jest, Andzia? — spytała.

— Boli — powiedziała znów Anna i pokazała palcem w stronę brzucha.

— Chcesz fajerkę? — zapytała mama.

Skinęła głową. Mama położyła materiał na krześle i wyszła do kuchni. Anna leżała, Danek gwizdał głośno. Jego kwas wydawał zapach spalenizny. Anna nie poruszyła się. — Co to jest? — myślała — Przecież nic się nie stało, nic. Czy znałam kiedyś jego powszedni dzień? Czy to tak, jak Andrzejowi? O nie, tamto było inaczej. A może tylko inaczej, bo to się stało Andrzejowi. Ale czyż nie bolało i za Andrzeja, kiedy mu się stawała krzywda? Nie, to było inaczej. — A potem dla własnej ambicji, dla własnego, śmiesznego pocieszenia: — Przecież to nie dziś dopiero skończyło się, a już wtedy, wtedy..

Mama przyniosła fajerkę. Fajerka leżała teraz na brzuchu, wysoko, pod sercem i grzała. Ciepło, łagodnie.

— Nie będę przecież płakała — myślała Anna — tu siedzi mama.. — i łyż zebrałe w gardle (już nawet czuło się ich smak) wróciły posłusznie, zapadły gdzieś wgłąb.

Ona sama rozdwoiła się nagle we własnej obronie. Były już dwie Anny. Jedna leżała uderzona zniecka między oczy, ogłuszona i tępa, druga najpierw mówiła rozsądnie: Przecież nic się nie stało, to nic nie znaczy, czy przyrzekł ci kiedyś staroświecką, roman-sową wierność? A potem tkliwie: Zaczynj wszystko od początku, życie jest piękne, zaczynj je od początku.., ale pierwsza Anna leżała nieruchomo i tępo dostrzegała tylko schyloną postać, która wyciągała w górę igłę z nieskończenie długą nitką.

To mama, z okularami w drucianej oprawie na nosie, szła prędko. Czasem podnosiła oczy na Annę.

U wejściowych drzwi ktoś szukał dzwonka, spostrzegł, że go niema i nacisnął klamkę. Matka poruszyła się niechętnie:

— Klientka — powiedziała — Andzia, no jak ci jest? —

— Lepiej — powiedziała Anna i zanim obca kobieta zdążyła wejść do pokoju, wstała.

Trzymała jeszcze w ręku fajerkę i prostowała narkrycie zapadłej, połamanej kanapy, kiedy mama w progu zapraszała gorliwie:

— Proszę, pani będzie uprzejma, bardzo proszę. —

Anna weszła do kuchni i usiadła na stołku obok panienek. Którąś z nich zapytała.

— Jeszcze boli? —

Jeszcze wciąż — jęknęła Anna i przytrzymała rękami nieokreślone miejsce.

— Ścisła — określiła fachowo panna ze szpilkami w ustach.

— Tak — powiedziała Anna cicho.

W pokoju klientka obierała fason. Żeby poszczupła. Żeby wywyższała. Żeby była spacerowa i wizytowa. W międzyczasie rozmawiała.

— To pani córka, co tu stała jak weszłam. (A gdzie ta fałda będzie? Zboku, to dobrze? Ale czy modnie?) Ładna dziewczyna, przystojna czem się zajmuje?.. —

W tym fasonie będzie ślicznie, proszę pani —

rzekła mama uprzejmie i nagle westchnąwszy głęboko, zaczęła opowiadanie.

Początek był taki: Ach! proszę pani, gdyby można było wszystko opowiedzieć...

W kuchni słyszało się te słowa dokładnie i panienki zaczęły głośno rozmawiać między sobą, żeby je zagłuszyć.

Ale to było wszystko jedno. Anna ich nie słyszała.

Ściana była ciemna, wyblakła z wszelkiej barwy, tynk opadał z niej miejscami i wypychała się tędy zuchwale trzcina. To Danek cierpliwie obłupywał tynk tak długo, aż z głębi wyjrzało wnętrze murów.

W łóżku pod ścianą spała mama, ojciec miał posłanie na kanapie z wykopaną jamką, którą na noc zapychano starem paltem. Dla Danka ustawiało się codzień wąskie, polowe łóżko, ale dziś inaczej.

— Danek będzie spał w kuchni — rozkazała mama — a ty się w pokoju połóżysz, Andzia, po tych bólach. —

Tak było jak w dzieciństwie. Kiedy bolało coś, mama brała do siebie do łóżka i zawsze z tą samą gniewną czułością.

Anna zgodziła się posłusznie. Zbyt wiele słów trzebaby zużyć na protesty. Poszła do polowego łóżka, choć wolałaby stokroć stare łóżeczko Danka i swoje z wydartą dawno siatką, które ostatnio stało znów w kuchni dla niej.

Ale nie było rady. Jeszcze długo trzeba było leżeć spokojnie, nieruchomo na wąskim, trzeszczącym po-

lowem, bo za każdym szelestem mama unosiła się na łokciu i poprzez ciemność patrzyła ku niej.

Potem ucichło nareszcie, mama jęczała niekiedy, ojciec pochrapywał przez sen z kanapy i Anna znów od początku podjęła swoją drogę, od dnia, kiedy wyszła z tego mieszkania pierwszy raz, żeby zacząć wszystko nanowo, aż do tego, kiedy wróciła i dalej — do dzisiejszego, do jutra, w którym znów trzeba jeszcze jeden raz zaczynać od początku, jeżeli się chciało żyć.

Wiodła ta droga po sublokatorskich pokojach, po zapomnianych słowach cudzych i własnych. Jak któregoś dnia patrząc na śpiącego Andrzeja, pomyślała nieoczekiwanie pierwszy raz: gdyby to był mój brat.. i przestraszyła się tej myśli, bo ją już znała oddawna.

Szło się po nieskończonych drabinach schodów wszystkich mieszkań, w których była praca, zawsze ta sama, źle płatna, zdobywana z trudem. Jedyłą zdobyczą było wtedy to, że się mogło bez pomocy przeżyć swój dzień i odpowiadać tutaj na Twardej wesoło.

— Jak ci się wiedzie? —

— Doskonale. —

Skądże się brała ta latami wrośnięta myśl, że komuś jest potrzebny uspiiony w szufladzie papierowy dyplom? Chyba mamie. — Moja córka skończyła uniwersytet... Wciąż dalej temi schodami, aż na Piękną. Tam przystawała myśl.

Obok pierwszych chwil, kiedy się jeszcze było obcą, pierwszych spojrzeń, pierwszych spostrzeżeń.

Do szalonych nocy w ciemnym, zamkniętym pokoju, gdzie się czuwało na swoim oddechem, żeby nie był dosłyszalny, gdzie się czaili oboje, zgłodniali, spragnieni, osaczeni zewsząd cudzą trwogą i rozpaczą.

Tylko tam chwyciło się je i piło chciwie, do dna. Tak jak się pragnęło wypić całe życie.

Pytaniami obcych ludzi wracało się do tych dni: Dlaczego to się stało?

Anna opowiadała na nie z własnego, odległego szczytu. Dlaczego żył w człowieku głód? Pogardzany głód zwykłego żarcia, silniejszy nad wszystko?

To było dawne pytanie z lekcji Stefanka, skąd się bierze w tym zimnym, żółtym kawałku bursztynu... Tak zapytał wtedy Stefanek i już wtedy poznała Anna tę siłę.

Tylko to inne, co istniało w Annie od lat mogło ją zwyciężyć.

Nigdy nie będę tego żałowała — i nigdy się to nie naprawi — pomyślała, już odsunięta daleko. Stąd na Piękną była prawie godzina pieszko.

To nie o tę Marję chodzi przecież, poznała nagle, nietylko o nią, ale tej drogi, stąd — tam, nie można przebyć nigdy. Właśnie dlatego..

Wtedy stary kredens ze spiczastemi ozdobami na szczycie zaczął coraz wyraźniej wynurzać się z mroku i w górze pobladyły małe prostokąty lufcików. Dolne szyby zawieszano na noc chustkami.

Wtedy Anna zapragnęła prędko, jaknajprędzej przeżyć jutrzejszy dzień, z trzecią godziną popołudniu, o której Stawan czekał napróżno.

Chciała nie myśleć o niej. Ale znów uparcie i niezmordowanie trzeba było iść wstecz po wszystkich dniach, które przywiodły do dzisiejszego, do pierwszych kiedy się zaczęło żyć, jak się chciało samej, aż do dziś, kiedy było wiadomo, że to jeszcze niewszystko, że to sam początek.

Chciałam sama wiedzieć wszystko, więc co może mi być zaoszczędzone — odpowiedziała sobie.

Nic.. i to były ostatnie słowa nocnej rozmowy. Anna zasnęła i obudziła się rano zmęczona tą nocą, jakby jeszcze przeżyła w niej całe swoje życie od początku po wczorajszy dzień.

Pierwsza budziła się mama. Górą okna płynęło już jasne światło dnia, dolne szyby przesłaniała gęsta ciemność chustek. Mama wstawała, kiedy jeszcze z kanapy dochodziło głębokie, miarowe pochrapywanie. Anna zbudzona tym szmerem z łękiem weszła w nowy dzień.

Jedna była tylko wolna godzina w czasie pokratkowanym ulicami, lekcjami, szukaniem pracy, a ta jedna rozpychała cały dzień, rozrzucała plany, nadawała im pozór bezcelowości, ponieważ nie wiodły do niej.

Anna ubierała się prędko, naoslep rzucała się w ten czas niezapełniony. Przecież było wiadomo, że musiał minąć.

W kuchni mama rozpalala ogień pod blachą, mrużąc oczami, których nie zasłaniały teraz szkła.

Danek spał jeszcze skurczony na łóżeczku dziecinem, które już oddawna nie miało siatki.

Anna wyszła za nią. Na stołku przed maszyną leżały sfastrygowane spódnice.

Było to hurtowe zamówienie do sklepów. Szyto je wszystkie jednakowo, niezbyt szerokie, krótkie i mało wcięte, oszczędnościowym ścięciem. Rozpaliwszy ogień, mama zasiadała zaraz do nich. Anna wyciągnęła szczotkę i ścierki do kurzu.

Mama mruknęła zgryźliwie: — Poleżałabyś po wczorajszych bólach.. —

Ale sprzątanie właśnie pomagało skrócić czas między najbliższą lekcją, zapychało małą lukę, która tkwiła w rannych godzinach. Potem przyszła nieoczekiwana pomoc.

W godzinie obiadu mama pokazała kartkę.

— Od Cesi — powiedziała — ona czekała na ciebie i zostawiła to.. —

Na stronicy ostrożnie wydartej z zeszytu Danka były pospiesznie pisane ołówkiem lakoniczne słowa:

Andrzej jest w szpitalu Dz. J. B. chory. Pawilon VI A. —

Tylko tyle i w takim skrócie. Litery pomieszały się na chwilę, zanim Anna zdołała je rozróżnić, nim pomyślała z rozpaczą, że przecież sama niewołana chciała tam pójść jeszcze wczoraj.

Mama unosiła się gniewem: To nie były wczoraj jakieś zwykłe bóle, odrazu jej się zdawało, a teraz jeszcze nagle:

— Nie mogę teraz jeść obiadu, mamo, proszę cię później zjem, muszę teraz odejść. —

Mama krzyczała:

— Tajemnice, wszyscy naokoło wiedzą. Nawet Cesia. Matka nie może wiedzieć skąd.. —

— Mamo proszę cię, później ci opowiem.. —

Mama milczała wrogo. Wtedy Anna pokazała kartkę. Zadrzała w palcach pokłótych igłą. Mama zbladła:

— To ty dlatego, Andzia, co jemu jest? — i potem nieoczekiwanie boleśnie:

— Miejsce żony jest przy mężu.. —

To nieprawda że bywa jakiś wspólny ludzki język — pomyślała Anna i powiedziała łagodnie: — Widzisz, że muszę iść.. —

Budynki szpitalne stały jak domki w dziecinnej grze ponumerowane, rozstawione niezbyt daleko od siebie. Otwartą bramą płynęli ludzie. Był dzień przyjęć. Tramwaj najeżdżał tu wypełniony gośćmi do szpitala, którzy wieźli paczki, koszyki z brzęczącymi garnkami. Anna wmieszała się między tłum i razem z innymi odnalazła pawilon VI. Zdaleka na korytarzu przed zamkniętymi drzwiami zobaczyła Cesię. Stała z dwojgiem innych.

Była blada, oczy miała podbite, obok niej czekała młoda, ładna dziewczyna i starszy mężczyzna, chudy, pochylony z krzywą łopatką i mizerną twarzą. Oczy Anny przywarły najpierw do zamkniętych drzwi:

— Dlaczego zamknięte? — zapytała ze skrytą trwogą.

— Nie można wchodzić do niego. Leży sam. Tam tylko jeden jest przy nim. —

Na korytarzu pachniało eterem, świeżo pranem płótnem i odzieżą wszystkich, którzy tu dziś przychodzili.

Gdzie to tak eter pachniał niedawno, usiłowała sobie przypomnieć i odnalazła.

Podeszła do Cesi i zapytała:

— Jak?... —

Cesia wzruszyła tylko ramionami i potem dodała cicho: — Myślałam, że może on zechce ciebie zobaczyć i sama mówiłaś, że przyjdiesz. —

Tłumaczyła się spowodu tej kartki.

Ładna dziewczyna z wilgotnymi oczami rzekła:

— Mówił doktor, może do rana... — i wierzchem dłoni powiodła po twarzy.

Anna bezsilnie oparła się o ścianę. Wszyscy oni czuwali przy nim, wiedzieli, każde już bliższe od niej. Nie chciała płakać, łzy zjawiły się same, ścierała je, kapały znów.

A oni, jakby ich nie widzieli, opowiadali o Andrzeju. Że czuje się jakby lepiej. A zresztą to sam wie dobrze, co idzie. Tylko tyle chyba nie, że to tak prędko. Potem Cesia z ładną dziewczyną poszły na poszukiwanie siostry, Anna została z Zającem.

To on zaczął rozmowę. Palcami przeczesując rzadkie, jasne włosy rzekł:

— Wykończył jego ten strajk. Dla zdrowego ciężko, a on zawsze chorlak. Pogłódował, trochę, w zimnie się przespał i położyło go na dobre. —

Krzywa łopatka wystąpiła mocniej, kiedy mówił, on sam zapalił się, rozgorzał. — Wtedy on, Dolis wła-

śnie powiada, jak przyszli, żeby wyjść, że pod Galalit pójdziem Pani wie? —

Zamiast odpowiedzi zapytała Anna:

— Jak się skończyło? —

— Jakżeśmy wyszli pod bramę, Dolis zaczął mówić. Wzięli ich wtedy z ulicy trzech. Jego, Pietrzaka i tę Jakubiak zgóry. Tamtych zaraz puścili, jego nawet zabrać się nie zdążyło, zaraz mu się krew rzucała. My go do ambulatorjum, tam już zaraz przydział do szpitala dostał i tak się uwinął... —

Umilkli. Tamten zapytał:

— Pani z rodziny? —

Anna odrzekła cicho: — Tak. —

Wtedy on zaczął znów:

— Ustąpili nam z maszynami. Przy nowych tylko jedna robi na każdą, nam zdjęli dziesięć procent, chcieli piętnaście. Ale tamtych zredukowali zaraz. Pietrzaka i tę Pełę. Pietrzak, bo niedawno robił, więc, że niby już nie trzeba, a Peła bo to i tak jakby z łaski robiła. Dwa palce jej raz przy maszynie skreśliło, to i tak tylko na układanie grzebieni się zdawała. Przypomnieli sobie, że kaleka, jak się też przyłączyła do strajku. Żeby nasi ludzie wytrzymali dłużej, toby się może i tych obroniło, ale nie chcieli, że to niby tylko redukcja, a nie za strajk, toby się pociągnęło nie wiem jak długo..

Wiadomo jak to u naszych ciężko wytrzymać, że to do żadnego związku nie należą, niezorganizowane. A przecież i tak niemało już znaczył ten strajk — umilkł.

Anna powiedziała: — To tak prędko poszło... —
Zając podjął nanowo:

— Prędko i nieprędko. Od wtedy się najgorzej zaczęło, z krwią to już i płuca taki wypluwa, ale to przez lata taka choroba rośnie. A tych cztery dni na fabryce, bo to się tak liczy jak zwyczajne dni? Czasem lata przejdą, jednakowo siedzi człowiek nad swoją robotą, najpierw młody, potem stary, aż się odrazu wszystko odmienia. Starczyło jemu tych parę dni za lata. —

Rozpłomienił się Zając w tem długim mówieniu, zielonkawy na twarzy, chudy, skurezony w sobie, jakim go Anna widziała wchodząc na korytarz, urósł nagle, rozprężył się myślą uparcie wrośnięty do jednego wielkiego zdarzenia, które usprawiedliło całe jednakowe życie nad kamiennem kołem fajlarki.

Dopiero kiedy zdaleka nadeszły dziewczęta, umilkł, zaczął mówić oszczędniej, ułamkami i wtedy dopiero można było poznać, że na codzień nie był gadułą Feliks Zając.

— Kto jest u niego? — spytała Anna Julkę.

— Tylko Stefan. Już on teraz za słaby, nie dają nawet we dwóch siedzieć, — objaśniła Julka.

— Jabym też chciała wejść — rzekła Anna — choćby na chwilę. —

Ale tamci nie odpowiedzieli. Dopiero Cesia po chwili:

— Chyba, że sam zawoła. Tak mi się ciągle zdaje, że zawoła. Ale tak to lepiej nie. —

Stali tedy dalej w milczeniu.

Ludzie szli korytarzami, nieśli swoje zawiniątka. Pachniało od nich kiszoną kapustą i potem. Niektórzy wychodzi z sal, niosąc puste garnuszki, albo już bez paczek i czasem podpierali rekonwalescentów w szpitalnych chałatach z szaremi twarzami. Tylko drzwi separarek trwały zamknięte i milczące. Nic nie było z za nich słyhać.

..Wewnątrz stały dwa łózka. Jedno było chwilo-wo puste. Na drugim leżał Andrzej. W nogach na krzesle z rękami złożonemi na kolanach Stefan Pietrzak towarzyszył mu przez ołowiem nalane szpitalne godziny. Płynęły ospale. Ożywiały się mierzaniem gorączki, atakami kaszlu i duszności.

Czasem zjawiał się nieosłoniiony jak w prywatnych lecznicach tlen w pękatej butli. Niewiedzący wdychali go z rozkoszą, tym, którzy coś wiedzieli o chorobach występował pot, a nierzadko zdarzało się, że się bronili gwałtownie i beznadziejnie:

— Nie, tlenu nie.. —

Jakby się tak dało powstrzymać to, co zwiastował tlen.

W skroniach Andrzeja wystąpiły wyraźnie cienie, delikatne kości. Błękitne żyłki świeciły przez skórę. Wyglądał czasem staro, czasem chłopięco, ale już zawsze teraz inaczej niż go pamiętali najbliżsi.

Dlatego niebardzo chciał, żeby przychodzili. Drażniło go bolesne zdumienie w ich oczach i przyciszone kroki i słowa, kiedy tak stawali nieśmiało, niezgrabnie z żalonym, kłopotliwym uśmiechem, Stefanowa sulka albo Feliks Zajac.

— Będziesz pił? — spytał Stefan.

Niezgrabnemi palcami wziął ze stolika szklanke i podsunął mu pod wargi.

Sto razy już chciał, żeby Julka weszła i zakrzętała się trochę koło niego, ale Andrzej dziś nie chciał nikogo. Dopytywał się tylko niekiedy:

— Jest tam kto? —

— A są Julka i pewno Feliks, bo dziś nie robią mają wejść? —

— Nie, nie — prosił Andrzej — niech dziś nie wchodzi. Może już jutro. —

— A siostra możeby i tak przepędziła — uspakajał Stefan.

— Lepiej mi dziś — powiedział Andrzej.

— A widzisz... —

Nastało milczenie. Uśmiech Andrzeja, jedyne, co się w nim nie zmieniło, rozjaśnił mu twarz i zgasł nagle.

— Nie żałowałbym, żeby przynajmniej jeszcze trochę, — rzekł ochryple.

Stefan krzesłem niespokojnie zaszurał i zwiesił głowę. W ciszy Andrzej ciągnął dalej:

— Żeby się przynajmniej wiedziało, o, tyie się zrobiło... A tak żyło się, przeleciało nimem coś zdążył... —

— Jędrus, nie mów tyle... —

— A, zostaw już — zniecierpliwił się Andrzej. — Naostatku był ten strajk. Żeby to byli ludzie zorganizowani, mocni, inaczejby jeszcze poszło, a i tak nie dali się. —

Słowa Andrzeja wychodziły ze świstem jakby z próżni. Umilkł.

— Pić — zaszeptał.

Stefan wstał, nachylił się i podparł go trochę. Poczul przytem, jaka mokra, potem sklejona była jego koszula. Zaczął sam mówić:

— Wyślą cię gdzie na lato w sosnowe lasy, zaraz ci się poprawi. W zeszłym roku na lato też ci się lepiej zrobiło. —

Andrzej wyszeptał coś niedosłyszalnie.

— A wiesz — zaczął Stefan — jeszcze na Non-plusie nowych nie wzięli, choć im trzeba. Jeszcze odczekać chcą, mają trochę boja. —

Andrzej skinał tylko. Cień poprzedniego uśmiechu mignął i rozpułynał się. Zakaszał krótkim, głuchem szczekaniem. Potem znów rozsunęła się długa cisza.

Ręka Andrzeja, chuda, wilgotna uniosła się nieco w powietrzu, jakby szukając czego.

— Chcesz co? — zapytał Stefan.

Andrzej lekko zaprzeczył ruchem głowy. Wtedy Stefan ostrożnie położył twardą swoją dłoń pełną zrogowaciałych odcisnień na żółtej, miękkiej od leżenia ręce, która bezsilnie spoczęła na kołdrze.

Dopiero po długiej chwili zachrypiał Andrzej niewyraźnym, chrzęszczącym głosem:

— Chciałbym pożyć jeszcze... —

Stefan nachylił głowę nisko, aż prawie czerwoną szramą dotknął zimnej krawędzi szpitalnego łóżka. Potem podniósł się żywo i spytał:

— Dać lekarstwo? —

Nalał ostrożnie z butelki. Parę kropel prysnęło naokoło... Kiedy blade wargi chorego zgarnęły płyn, cofnął się, opadł ciężko na poduszkę umieszczoną wysoko na metalowem oparciu łóżka.

Już Stefan myślał, że zaczyna drzemać, bo tylko takie drzemki były teraz jego snem, kiedy zgóry, z poduszek zaszemrał jakiś dźwięk. Nie dosłyszał, nachylił się.

— Chcesz co? — zapytał szeptem.

Ale Andrzej zaprzeczył znów, odetchnął raz, drugi i zachrobotał niewyraźnym głosem:

— Nie będziesz miał lekkiego życia. —

Stefan, stojąc popatrzał zgóry:

— A tyś sobie letkie wybierał? —

Na to Andrzej słabo, a potem mocniej zadudnił kaszlem, zakrztusił się, chrząknął. Stefan szybko podstawił miseczkę. Coś w nią spłynęło. Nie było nawet czerwone, miało tylko cieniutki jak nitka, krwisty skrzepik.

Widać było jak się zwijała, drżała wydobyta na powierzchnię maleńka, żywa cząstka płuc. Wtedy Stefan prędko odwrócił głowę.

Andrzej znów poleżał trochę w milczeniu, potem rzekł niewidoczną drogą jakiejś ciągle jednakowej myśli idąc:

— Annie też nie było łatwo. —

— Możebyś przecie chciał, żeby tu kto przyszedł? — spytał Stefan, bo już przez cały wczorajszy dzień wydawało mu się, że myśli Andrzeja krążą obok Anny.

— Nie — odrzekł Andrzej nieco wyraźniej i przy-
mknął oczy — może jutro — zachrząścił.

Stefan nie dosłyszał, podsunął ucho. Tam wpadło
powtórzone słówko: jutro...

— Jakie tam jutro — pomyślał gorzko Stefan
i przysiadł na krześle aż zatrzeszczało.

Za szybami fioletowe, szybko ciemniejące mroki
zagarniały ostatnie rumiane blaski dziwnie czerwone-
go zachodu.

— To tak na wiatr zachodzi — myślał Stefan —
jutro będzie wiatr...

Andrzej leżał odchylony wtył, zmęczone ramiona
opadły mu po bokach. Stefan wpatrzył się, drgnął
i wstał gwałtownie. Wtedy Andrzej lekko unióśł po-
wieki. Zrozumienie przemknęło mu w źrenicach,
utkwiał prosto oczy w twarzy Pietrzaka.

Stefanowi pod tem spojrzeniem wypłynął ciemny
rumieniec, usiadł napowrót cierpliwie wciąż pod tam-
temi źrenicami i żeby gdzieś uczepić ostatnią, ciepłą
czułość, twardemi palcami zaczął wygładzać szorstką
kołdrę na stopach Andrzeja...

Korytarzami wychodzili ludzie, odwiedziny koń-
czyły się. Siostra w białym fartuchu przeszła obok,
Cesia zatrzymała ją:

— Siostró, co doktor mówił o Dolisie z trzeciej
separatki? —

— Przecież już w południe mówiłam — odparła
siostra ze znużeniem.

Drzwi separatki otworzyły się gwałtownie. Stefan

Pietrzak stanął w nich blady, spocony i zawołał na cały korytarz:

— Siostró, tutaj... —

Ludzie zaczęli przystawać, zagłądali. Siostra nawróciła, wbiegła i zatrzaskała drzwi za sobą. Po sekundzie otworzyła je znów, wybiegła na korytarz. Anna rzuciła się za nią:

— Co się tam stało? — pytała zdyszana, goniąc pielęgniarkę omdlałemi nogami.

— Proszę stąd iść — krzyknęła w uniesieniu siostra — ile osób tu czeka? —

Wróciła po chwili ze strzykawką. Za nią lekarz. Poły jego białego fartucha rozwiewały się. Zamknięto drzwi.

To, co dochodziło z za nich teraz, to mógł być jęk, albo kaszel, krzyk, zduszone, uparte wołanie, a może tylko zwykłe głośne słowa, przesuwanie przedmiotów, kroki, ale nie, napewno, każdy to słyszał, był i kaszel i słowa i krzyk...

Posługaczki szły po korytarzach, roznosiły kolację i wypraszały ostatnich gości.

— Wyjść, wyjść — wołały do gromadki.

— Panie Zajac, poszedłbyś pan — rzekła Julka — wszystkich nas nie ostawia. —

Zajac skrzywił się:

— Ostawia może, przecie to ostatnie godziny. Może choć na chwilę dadzą wejść później. Nie pójdę. —

— Proszę wyjść — zawołała ostro posługaczka. — Ile razy trzeba mówić, już po godzinach.

— Ja pójdę — rzekła Cesia — będę czekała przed bramą. —

Zostali w trójkę. Milczeli. Zając podszedł pod same drzwi raz i drugi. Tylko Julka odezwała się raz, załamując ręce:

— Żeby choć miał lekkie konanie... —

Było tak, jakby te słowa ostatecznie objawiły rzecz niewiadomą, jakby wbiły ostrze w serce Anny, której niewolno było wejść za te drzwi, być tam i uczynić tę małą, jedyną rzecz, którą człowiek człowiekowi dać może, swoją obecność.

One nareszcie sprawiły, że wyszło źródło łez i w milczeniu czekała dalej z suchemi oczyma. Tylko Julka raz po raz zalewała się łzami:

— Jakie to miał życie? Jakto taki młody — pytała głośno w głuchą pustkę korytarzy.

Nareszcie z za drzwi wyszedł lekarz. Zając ruszył za nim. Ledwo nadażał. W ciszy korytarza zabrzmiały gniewne słowa:

— Przecież tam już ktoś jest, nie może cała rodzina tu stać. —

Nie odpowiedział na żadne pytanie, ale nie kazał ich usunąć. Dopiero po chwili, wracając gdzieś przez korytarz, powiedział w przestrzeń:

— Może później będzie można wejść do niego na krótko. —

Zostali więc. Wciskali się w kąty korytarza, krążyli, żeby ich nie zauważono, żeby się nikomu pod oczy nie podsuwać, stali cierpliwie pod białemi ścianami, czytali tabliczki z napisami „Nie pluć“ i „Nie

śmiecić“ i chwyтали dosłyszalne teraz w ciszy dalekie kaszle, jęki i chrapania.

To był oddział gruźlików. Tam leżeli w salach i separatkach i odsłaniali prawdę tej choroby na którą według starych zwyczajów umierali zbyt czuli bohaterowie, subtelne kobiety i szlachetni działacze-

Tutaj umierali niepoetyczni ludzie, którzy nie jadaliby dosyta, mieszkali w zimnych, niewietrzonych pokojach i ci, co oddychali azotniakiem, trucizną ołowiu i siarki po fabrykach, starzy i młodzi bez zębów, z wpadniętymi twarzami, nie usychali cicho, ale chrząkali, charczeli, wlekli do końca trud życia i wydobywali resztki płuc jak rozpalone sztaby z pieca, jak grzebienie z maszyny, po całym życiu, które jeździło znało urlop, to bezrobocie.

Z minuty na minutę postanawiała Anna: — Nie będę się pytała, wejdę... — i znów w milczeniu czekała, snując te same rozmyślenia.

Jeszcze raz wyszła siostra z separatki. Dostrzegła Julkę. Spojrzała. Musiała ją sobie zapamiętać, bo zbliżyła się do niej:

— Pani chce wejść? Niech pani wejdzie. Tylko spokojnie, — i odeszła z pudełkiem instrumentów do opatrunku.

Julka bezradnie obejrzała się za Anną. Stała pod ścianą. Na jej twarzy były mokre smugi jak wąskie ścieżki, ale już nie płakała.

— Może pani chce?... — spytała Julka ochryple.

Wtedy za drzwiami separatki coś upadło. Krzesło, a może stolik. Ktoś mówił coś bardzo głośno i oni

wszyscy natężyli słuch: Andrzej, czy nie on?...

Potem drzwi otworzyły się i stanął w nich z rozrzuconemi włosami, blady Stefan Pietrzak. Kresa nad okiem jaskrawą czerwienią przecinała mu bladą twarz:

— Już... — powiedział, ogarnawszy ich niewidzącem spojrzeniem i cofnął się do wewnątrz. Stała tam w głębi pielęgniarka jak rozpięty, wielki, biały motyl.

— Wcześniej, niż przypuszczaliśmy — powiedziała cicho, jakby usprawiedliwiając się.

Pierwsza weszła Julka. Płakała głośno, ona jedna. Za nią nieśmiało wysunął naprzód krzywą łopatkę Feliks Zając, zmałały, mizerny i nakoniec Anna.

Wśród rozrzuconej pościeli, jeszcze skrzywiony od bólu, zmieniony, z rozkrzyżowanemi ramionami, wychudzony nieludzko leżał Andrzej, jakby zeszywniał w okrzyku.

Żółtawa, szpitalna bielizna była zmięta, gdzieś spryskana ciemną krwią, pełna brązowych plam, może od lekarstwa.

Leżał prawie wpoprzek łóżka i dopiero, kiedy siostra dźwignęła go na poduszki i wyprostowała kołdrę, kiedy mu Stefan ręką odgarnął zlepione włosy z czoła, nabrał uroczystego spokoju wszystkich umarłych.

Błyskawicznym skrótem przez myśl Anny przemknęły tamte trzy lata, jego słowa, uśmiechy aż do ostatnich twardych spojrzeń poprzez blat stolika w kawiarni, całe ludzkie oblicze Andrzeja.

Wtedy zobaczyła jak Stefan Pietrzak u krawędzi

łóżka płakał, męskim nienawykłym szlochem, jak gęstemi łzami na klęczkach przed łóżkiem zalewała się Julka, jak nieruchomo, sztywno jakoś z zaczerwienionymi oczyma trzymał się kąta Feliks Zajac z czapką w rękę i nieoczekiwanie, niezrozumiale pomyślała o tym poważnym, obcym Andrzeju z szpitalnego łóżka uroczystymi słowy nekrologu:

„Nasz drogi, nieodżałowany towarzysz, Andrzej Dolis w dwudziestym siódmym roku życia...”

— Proszę państwa... — powiedział w drzwiach sciszony głos lekarza — państwo rozumieją, tu nie można zostawać. Ciało już zabiera się do kostnicy. —

Głos był drewniany, pusty, choć łagodny, zbyt często powtarzał te słowa.

Ale rzadko tak bez oporu wychodzili bliscy, rzadko szli w takim milczeniu, bez zawodzeń. Nie prowadzili się, nie podtrzymywali.

Jedna Julka płakała głośniejsz, rozpaczliwymi łzami łatwych wybuchów. Tylko na szerokich schodach pełnych plwocin i śmieci po dzisiejszych odwiedzających, powiedział głucho i gorzko Stefan Pietrzak:

— Tak giną nasze ludzie. Już nie od kuli, żadną nadzwyczajną śmiercią, na taką naszą znajomą chorobę. Nie zarabiał to sobie na nią od lat? I co zdążył? —

— Jeszcze się wczoraj dopytywał, jesszczem mu powiadał jak na fabryce teraz jest, a on, czy aby naprawdę ustąpili, czy po jednej kobity od wirówek robią — rzekł Zajac głosem, w którym coś chrypło, zgrzytało jak piach.

— Co to w nim było — zawiodła Julka — że nas wszystkich jakby zeswatał, zawsze tylko do kupy, aby do kupy zgarniał. Dwadzieścia siedem lat, nie strach to, że taki musi umierać? —

Tak na tych szpitalnych schodach już opustoszałych i mrocznych wypowiedzieli pierwsze żałobne przemówienia po Andrzeju Dolisie.

Przed Anną były plecy Feliksa Zająca. Widziała jak pod kratkowaną marynarką drgała krzywa łopatka, kiedy wstrząsnąwszy dużą chustką, utarł w nią głośno nos.

Przed bramą w ciemnej, pustej ulicy, rozświetlonej żółtym blaskiem lampy przed wejściem do szpitala podeszła do nich kobieca postać.

Cesia, zziębnięta wyczekiwaniem i beznadziejnością. Przyjrzała im się, jak wyszli nie spiesząc się, wszyscy razem.

— Już? — zapytała, nie patrząc.

Stefan skinął głową.

Przez mroczne pustkowie przecięte sinemi linjami szyn poszła w żałobnem milczeniu ta najbliższa rodzina Andrzeja.

Było późno, daleko od śródmieścia, daleko od ich stron. Wszyscy oni wstawali wczesnem ranem, jutro zaczynał się nowy dzień pracy.

Mysleli o tem, kiedy tu przyjdą, o tem jak się będą musieli zwalniać na pogrzeb, Zajac i Julka od roboty w fabryce, Cesia z pracowni.

Tylko dwoje nie miało tego kłopotu, Stefan Pietrzak, bo był znów bez roboty i Anna, która jeszcze

wciąż nie mogła znaleźć własnych słów i myślała o Andrzeju uroczystymi wyrazami nienapisanego jeszcze nekrologu:

„Nasz drogi, nieodżałowany towarzysz...”

Zimą można było odnaleźć początek dnia. Zaczynało się to z szarością, z jednoczesnym wyłanianiem się przedmiotów z płynnej ciemności. Wtedy na ulicach rozpoczynał się ruch, widziało się dokładnie jak z bram wypływali ludzie i szli na miasto w bielejącym wciąż rannym mroku.

Latem było inaczej. Miejski człowiek budził się już w złocistej jasności i nawet jeżeli to było najwcześniej, spotykał już wychodząc innych, którzy jeszcze wcześniej zerwali się ze snu, jeszcze bardziej czekali na początek dnia, czerpiąc nadzieję w najszybciej, świeżo spod farby wyrwanej gazecie. Chciwie, szybko zaczynali ją czytać od ostatniej stronicy.

W tem miejscu porzuciła Anna przed rokiem przeszło swoje dotychczasowe życie, w tem miejscu zaczynała je znów i już inni, wcześniej od niej przybyli, czekali swojej kolejki.

Ołówki i notesy wyciągali jak broń. Lato — najgorszy okres ogłoszeń, ograniczone możliwości, małe nadzieje. Zastępstwo, na wyjazd, opieka, spacer. Wyszukiwali szybko nieliczne, najlepsze, wypisywali, żeby pójść najprędzej. (To dlatego nie moż-

na było nigdy odnaleźć początku letniego dnia). A jutro rano zjawiali się znów najwcześniej w ubraniach spłóviałych z twarzami pozbawionemi wszelkiego koloru i wypisywali dobre, najlepsze ogłoszenia.

Anna mogłaby przysiąc że ci sami byli tu przed rokiem, że już niegdyś widziała napewno ich wszystkich. Młodego chłopca z nieśmiałymi ruchami. Maturzystę. Odrazu mogłaby mu powiedzieć jak to będzie. Maturzystę? Nie, komu potrzebny jest maturzysta? Za te same pieniądze można mieć studentów drugiego, trzeciego roku. Mogłaby mu powiedzieć, niech się nauczy odrazu niewinnego podstępu dla zaspokojenia mieszczańskich ambicji.

Energiczną dziewczynę z męskimi ruchami. O, w ilu miejscach jej odpowiedzą: zajęte. I tę małą kurkę z sino pudrowanym noskiem, drobną, ruchliwą, ugrzecznoną, która wynotowuje wszystko, cokolwiek jest „poszukiwane“. Podręczna do pracowni kapeluszy, i wykwalifikowana, inteligentna wychowawczyni dla siedmioletniego chłopca...

Kiedy się dorywali gazety, pochłaniali ją dokładnie, oczami wpijali się w ogłoszenia, powoli, uważnie, żeby tylko nic nie przepuścić.

Trwało to nieskończenie długo i Anna tymczasem zaczynała odczytywać w drucianej skrzynce przed wejściem pogardzane pierwsze stronicę gazety.

Ramię w ramię obok innych darmowych czytelników tkwiła w gromadzie.

Czytali depesze, wydarzenia ze świata. Odnajdy-

wali tam to, co dotyczyło ich. Oburzali się, grozili, zaczynali mieć odrobinę nadziei, kiedy widzieli, że coś z ich własnych walk gdzieś daleko wybuchowało ogniem, którego iskry znali.

Potem powoli ustępowali innym miejsca przy gazecie, odrywali się niechętnie i ruszali w swój trudny, powszedni dzień.

Ogłoszeń zaofiarowanych na pracę bywało z dziesięć do dwunastu w najlepsze dni, a z małego pokoiku administracji od wczesnego rana do popołudnia płynęli gromadki, lub szli pojedynczo ludzie. Gdyby ich zestawić, utworzyliby szeregi. Szeregi rozsypywały się po mieście od środka do krańców i podejmowały bezcelowy marsz na owe dziesięć dwanaście miejsc, w których coś ofiarowano.

Dla kogo wystarczy?

Nie można było iść zbyt wcześnie. Anna wiedziała o tem. Przychodziło się wtedy na porę śniadania, nieporządku w mieszkaniu i złego humoru. Żeby zużyć czas poszła pod pierwszy odległy adres pieszo. Było daleko, na samym końcu Siennej, obok Placu Kazimierza. Szare ulice, bezbarwne sklepy: dodatki krawieckie, szewckie, mały zegarmistrz i spożywcze zamazane jednostajnymi reklamami, skaczący jeleni na mydle i młynek do kawy.

W bramie spis lokatorów. Tu było widać, jak się ludzie gnieździli obok siebie, jak im było ciasno. Odnalazła adres. Urzędnik, trzy pokoje. Poznała mieszkanie. Określony rodzaj, ciężkie przestarzałe meble, kiedyś było tu dobrze. Na kredensie potwornie wiel-

ki kryształowy klosz, firanki, serwety, gęsto zahaf-
towane, filet. W tamtej niezbyt dawnej, bezpowrotnie
minionej epoce skończył się dobrobyt mieszkania.

Pani była jeszcze w szlafroku. Opinał z trudem jej
dostatnią tuszę. Tlenione włosy koło przedziału ujawniały
naturalny kolor. Przyjrzała się Annie bacznie;
wiedziała odrazu:

— Pani z ogłoszenia, proszę siadać. Czy pani ma
praktykę? —

Bez zająknięcia powtórzyła Anna wszystko, co od
roku bezużytecznie skostniało w zapomnianą prawie
formułkę. Ale tego naprawdę nie zapomina się nigdy.
Dyplom, wieloletnia praktyka, w razie potrzeby re-
ferencje. Kilka nazwisk, nawet Stawanów.

Pani przytrzymała szlafrok na piersiach i zapali-
ła papierosa:

— Pani pozwoli? —

Anna podziękowała. Nastąpiło nareszcie rzeczowe
wyliczenie.

Dziewczynka ma czternaście lat (Jak Zosia —
i siłą: uwaga, uwaga...), pomoc ze wszystkich przed-
miotów, państwowa szkoła, a jej trochę trudno. Prze-
ważnie łacina, matematyka.

— Najczęściej potrzebna jest pomoc w tych przed-
miotach — mówi Anna, żeby wziąć udział w roz-
mowie.

— To jest tak: O trzeciej obiad, oczywiście bar-
dzo punktualnie, zwracamy na to uwagę, potem lek-
cje. Mała jest dopiero w drugim oddziale i szalenie,

szalenie zdolna. Wystarczy doglądać. Tak, że jest właściwie tylko jedna uczenica... —

— Skoro trzeba się zająć i drugą, to są dwie — mówi Anna bardzo łagodnie z uśmiechem. Aż się sam człowiek dziwił później, skąd wypływał taki uśmiech.

— A jakie są warunki? —

— Więc jak powiedziałam, z małą prawie nic, tylko ją trzeba położyć spać, przygotować. Obiady i dwadzieścia pięć złotych miesięcznie, niedziela wolna. —

Anna poczuła, że coś wreszcie zdołało przełamać jej wewnętrzny, opancerzony w rezygnację i bolesne doświadczenia spokój.

— Ależ to niemożliwe — zawołała prawie — przecież to jest zajęcie od trzeciej do ósmej.

Utlenione włosy rozwiały się w złocistą wichurę:

— Ależ proszę pani, gospodarski obiad jest też wart złoty pięćdziesiąt już conajmniej. Nie dostanie pani tych świństw, co w restauracji. —

Anna usiłowała coś powiedzieć, ale pani bez przerwy ciągnęła dalej:

— Nie można liczyć od trzeciej, bo najpierw jest obiad, to też trwa, a jak Wandzia wcześniej skończy lekcje, to i praca trwa krócej... —

Anna znów napróżno otworzyła usta, pani rozłożyła ręce. — Ostatecznie może trzydzieści, widzę, że pani jest odpowiednia, chociaż pani rozumie, dla mnie wystarczałaby maturzystka. Maturzystka chętnie wzięłaby dwadzieścia pięć i obiady. —

Anna zaczęła mówić:

— To jest zajęcie na drugą, lepszą połowę dnia... — ale pani nerwowo odłożyła papierosa:

— Pani wie jakie dziś czasy (można się teraz było uśmiechnąć naprawdę). Płacę punktualnie, nie czeka się u mnie, nie lata o pieniądze... —

Anna wstała:

— Niestety to zupełnie niemożliwe, najmniejsza płaca musiałaby dać mi około pięćdziesięciu złotych. Ja się z tego utrzymuję. —

Ostatnie mocne pociągnięcie papierosa przesłoniło panią dymem:

— Nigdzie pani tego nie dostanie — rzekła z przekonaniem.

Przez drzwi wsadziła głowę mała jasnowłosa dziewczynka i przyjrzała się uważnie Annie.

— To jest młodsza — rzekła z dumą — chodź tu Jadziu. —

Dziewczynka weszła poważnie i ukłoniła się głębokim dygiem. Już stojąc przywitała się z nią Anna. Wtedy mała uwiesiła się u szyi matki i zadała na ucho wiadome wszystkim pytanie.

— A chciałabyś? — spytała pani.

Dziewczynka zaczerwieniła się i żarliwie powiedziała: — Tak. —

— Widzi pani, moja córeczka chciałaby, więc jak? —

— To nie są możliwe warunki — powiedziała Anna — przecież ja z pewnością chciałabym przyjąć pracę.

Pani oparła się ciężko o stół, marszcząc jaskrawą,

lśniącą sztucznym jedwabiem serwetę. Nie spuszczała oczu z Anny:

— Pani powinna się zgodzić, dziś wszędzie są takie płace — i nareszcie z namysłem:

— No, może pani wstąpi jeszcze po południu, poradzę się z mężem i pani może się też namyśli, zaczekam do piątej, co? —

Utlenione włosy rozjaśniały mroczny pokój. Wszystkie stołowe, w których zdarzało się czekać Annie miały te same, ukośne, weneckie okna, przez które skąpo płynęło światło.

— Gdyby pani mogła rozstrzygnąć teraz? — poprosiła Anna. — To tak daleko wracać tutaj. —

Pani zmarszczyła się: — Niestety, muszę się naradzić. Owszem, pani mi odpowiada, ale pani rozumie, kiedy się chce dziś mieć pracę. —

Tlenione włosy lśniły jasnym złotem poprzez ciemny przedpokój.

Anna schodziła ze schodów. Wysoko tu było i stromo, przystanęła na drugim piętrze. Zdołu nadeszły kroki. W bładem świetle ciasnej sieni wynurzył się sino pudrowany nosek. Poznały się obie.

Cienka szyja wyciągnęła się w górę z zabawnej niebieskiej kryzki:

— Przepraszam, pani z ogłoszenia, tak? — Czy pani już przyjęła, bo jeżeli tak to niepotrzebnie pójdę. —

— Nie — rzekła Anna — wprawdzie kazali się dowiedzieć popołudniu, ale niewiele można na to liczyć. —

Mała chuda twarz z ciekawemi mysiemi oczkami przybliżyła się nieco:

— Dlaczego proszę pani, co tam jest, ile dają? —

— Dwoje dzieci, pół dnia, obiady i trzydzieści złotych miesięcznie. —

Pudrowany nosek w ptasiej twarzy drgnął:

— Mało. —

— Niemożliwie mało — powiedziała Anna — na to już nie można się zgodzić. Starsza dziewczynka jest w V-jej klasie, pomoc ze wszystkich przedmiotów. —

Niebieska kryzka podniosła się o stopień.

— Idzie pani? — zdziwiła się Anna.

— Idę — zadzwonił cienki głos, lekko drżący, a przecież uparty.

Już z zamiarem odejścia przystanąła Anna nagle:

— Nie powinna pani wziąć tej pracy na takich warunkach, sami w ten sposób doprowadzamy wyzysk do szczytu, to i tak najbardziej pieska praca pod słońcem. —

— To moja sprawa czy wezmę — zaświergotała niebieska kryzka, idąc naprzód.

Wtedy Anna gwałtownie cofnęła się, zastąpiła jej drogę:

— Tak — powiedziała — to pani rzecz. Nie mogę przeszkodzić. Tylko coś powiem. Wie pani co to jest? Głupota. Chleb pani odbiera innym i sobie. —

— Sama go nie mam — zawołała kurka i szare mysie oczy w anemicznej twarzy pociemniały nagle. — Każdy chce żyć. —

Wtedy Anna gniewnie i głośno zawołała w tę zbiedzoną twarz:

— To dlaczego tym zabierać, co sami nie mają? Z nadmiaru zabierać trzeba. Dziś pani cenę zepsuje, a jutro pani zobaczy sama, że z tej płacy nie można wyżyć. —

I zbiegła nagle ze schodów, otwierając drogę przed niebieską kryzką. Siłą powstrzymała niesprawiedliwy odruch: rzucić się, trzasnąć w twarz ze zsiniałą kuzką skórką. U końcu tych stopni poczuła się nagle bardzo zmęczona, a przecież był to dopiero pierwszy adres.

Przed drzwiami stróżówki, tuż przy podwórzu stała ławka. Nieraz odpoczywało się na tych stołkach, czy ławkach ustawionych obok ciemnych stróżowskich klitek.

Usiadła na niej ciężko. — Odzwyczaiałam się od chodzenia — pomyślała — przewycięzanie przeszkód to też sprawa przyzwyczajenia. — Przejrzała pozostałe adresy. Wszystko stało się znów aż nazbyt wiadome. „Zaofiarowane“ nie były dziś wiele warte. Kto został latem w mieście, nie mógł wiele płacić.

Przypomniała sobie z goryczą, jak się latem właśnie kuło najwięcej do egzaminów, bo wtedy odpadały inne zajęcia. Komu był dziś potrzebny ten dyplom?

Leniwie przyjrzała się podwórzu. Bawiły się tam dzieci, prawie same dziewczynki, duże, chude i krzykliwe.

Za otwartymi oknami stały rzadko doniczki, częściej wisiały garnki. Niebieska pokrywa nieba niedo-

rzecznie zwisała nad otwartą, brudną skrzynką podwórza.

Dziewczynki bawiły się w przedstawienie. Dekoracje stanowił drewniany stołek i chustka, spłowiała, cienka chustka z obdartymi frendzlami. Zakładało ją się na głowę i wtedy było już widać zdaleka, że to miał być welon panny młodej, albo wszystkie kryły się pod nią jak pod namiotem. Wkońcu owinęła się w nią mała czarnula z mysiami ogonkami warkoczyków. Chustka spływała po ramionach, sięgała kamieni podwórza wystrzępionymi frendzelkami. Dziewczynka szła w stronę bramy.

— A teraz na ulicę niby idę, kawalera łapać — zawołała w stronę podwórza.

Wesoło, głośno i ciszej, wstydliwie, znacząco roześmiano się za nią.

Anna poruszyła się na ławce:

— Chodzisz do szkoły? — zapytała dziewczynkę, która mijala ją właśnie.

Ale mała zaczerwieniła się i zaplątana w chustce, które nagle zwisała niezgrabnie, uciekła do sieni.

Inna większa w czarnym alpagowym fartuchu, podbiegła, przyjrzała się. Anna powtórzyła pytanie:

— Chodźcie wy do szkoły? —

Dziewczynka z piwnymi oczami w żółtawej twarzy wyjaśniła rozmownie:

— Ja chodzę i Gieńka do południowej, a tamte to wcale nie. —

Powiedziała to z pewną wyższością. Na podwórzu koło stołka zgromadzone dziewczynki szeptały i śmia-

ły się. Tedy zostawiła obcą i podbiegła do nich.

Trzeba pójść — upominała się Anna i siedziała dalej. Gorycz zalewała rozmyślenia i wszelką chęć.

To my potrzebujemy siebie nawzajem, te dzieci nas i my ich, ale jak trafić do siebie? — myślała. Wszystkie schody, które jeszcze czekały tego dnia wiodły gdzieindziej.

Zobaczyła nagle życie do którego wróciła dobrowolnie tak jaskrawo, jak w oślepiającym świetle letniego dnia widziała brud i biedę tego podwórza. Stara kobieta z koszem śpiewała tam teraz jednostajną melodję:

— Łupiny kupuję, łupiny, łupiny... —

Anna poczuła na sobie czyjś wzrok.

W drzwiach sieni stała w okrągłej ramie swojej niebieskiej kryzki pudrowana kurka.

Jej twarzyćka wyglądała jeszcze wciąż sino, pomimo upału. Popatrzała, poprawiła włosy, wyjęła puderniczkę i posypawszy się jeszcze raz tanim, grudkowatym pudrem, zaczęła odczytywać małą kartkę. Jeszcze wciąż zukosa spoglądała ku Annie.

— Nie wzięłam tej lekcji — zaświergotała cienko i wtedy poszła natychmiast.

Anna posiedziała sekundę oszołomiona, potem skoczyła, żeby ją dopędzić. Ale już nie zdążyła. Drobną sylwetka na cienkich nóżkach wytrwale maszerowała naprzód.

Anna popatrzała w jej stronę i coś ułagodziło tę gorycz, która się zbierała nieustannie od długich dni.

Lepkie, czarne błoto na Częstochowskiej poszarzało nareszcie, stwardniało i wyschło. Szary i rudy kurz tumanami zaczynał się podnosić spod kół wozów. Ale nikt nie chował się tu przed nim ostrożnie.

Między kamieniami nad rynsztokiem, tam gdzie nie kapnęło żrące wapno, wyrzały blade kępki trawy.

Na sąsiednich większych ulicach, w sklepach, prawdziwe lato zakwitało czerwonymi i żółtymi sokami do wody sodowej. Lśniły jaskrawo w szklanych rurkach i mało kiedy ubywało ich. Ludzie z tych stron pili czystą wodę.

Na Częstochowskiej niema sklepów. Uliczka jest krótka, ledwie mieści same fabryki.

Wesołe, kolorowe lato ze znajomych każdemu obrazków nadchodzi wczesną spiekotą, kurzem, końcem sezonu. Olkowski robi na jedną zmianę, cztery dni w tygodniu, Nonplus — trzy. Tylko Be-Te-Ha robi bez przerwy. Sezon.

Słońce pokazuje brudne, spocone twarze mężczyzn po robocie, odziera z urody blade, fabryczne dziewczyny. Nic się w tych blaskach nie ukryje.

Przez podwórze i sień wtargnął z wysoka do hali cienki głos syreny Nonplusowej.

Przed skrzypiącymi kołami fajlerek zasiadali mężczyźni, a już kobiety stały rzędem w szarych fartuchach i chustkach na głowie przed nowymi, lśniącymi wirówkami.

Zaszumiały pasy, koła rzuciły się w niezmeżone, pospieszne obroty, przesuwalce nowych maszyn

szczęknęły jakimś obcym, dzwoniącym dźwiękiem i powoli, zgrzytliwie, skrzypiąco ruszyły ciężkie koła fajlerek.

Przy każdej wirówce stała teraz jedna kobieta. Było tam dwa razy więcej rzędów i dłuższych, ale zato jedna maszyna dla każdej.

Nowy, cienki, przypominający dzwonek, głos potrafił ni stąd ni zowąd pobudzić Julkę do nagłych łez. Jakby on właśnie obwieszczał zaszłe zmiany.

Musiał iść precz Stefan i cicha Pelagja, musiał umierać Dolis dla jednej małej minuty, która została teraz dla wyprostowania między nałożeniem, a zdjęciem grzebyków. Dla tej chwili i tych paru procent, co wyrwali dla siebie. Sprawiedliwie to było, myślała Julka?

Obok niej na prawo Andzia Sikora wyciągała szybko chudemi, zręcznymi palcami grzebyki. W kącie sali na stole zbierała je i układała stara Pawłakowa. Już nie mogła stać na nogach, tak jej się teraz latem rozděły żyłaki. Robiła na miejscu Pelagji. Ocieżale, z trudem rozkładała grzebienie tak szeroko, że jej prędko zajmowały cały stół.

Mało kiedy między pamięć o tem, co należy robić teraz, dawała się wcisnąć myśl.

Ale jeśli była u Julki, to już chyba ta, jakie zmiany zaszły w ludziach na Nonplusie. Na twarzy Julki pod cienką warstewką pyłu wybijał się wtedy rumieniec. Na lewo robiła Józia Olszewska „szczerbata“, bo jej przedniego zęba brakowało. Ona jedna latała jesz-

cze od maszyny do maszyny, bo obsługiwała dwie ostatnie, stare wirówki.

Przy nowych nie było tego latania, ale zato uważa, ani chwili nie trzymać za długo, bo się łatwo łamały grzebyki. Męczyła Julkę chęć, żeby się wygadać i od jednej do drugiej, od Józki do Andzi Sikorzanki patrzyła, którejby to.

Józka była lekka, wesoła i mało co miała w głowie, chyba, żeby się wydać, ale i bez tego niejednego już sobie użyła. Więc dlatego może jej, że doświadczenia dosyć miała. Ale znów Andzia miłsza i mądra, że każdego chłopą przegada.

Nie mogła się Julka dziś doczekać, żeby stanęło na przerwę. Ale maszyny jak codzień raz, dwa, raz, dwa.

Ludzie przy fajlarkach coś wołają do siebie. Kiedy wśród ruchu na sali jeden z drugim rozmawia, już nie może inaczej być, tylko wszyscy słyszą. To Urbański woła:

— U nas szewca dziś eksmitują. Zaczęło się. Już wolno. —

— Ano lato jest, to się na letnisko jądzie u nas — krzykiem odrzekł Zajac.

A Urbański znów:

— Niby szewc rzemieślnikiem jest. Ale co w naszych stronach szewc. Dosyć ich jest. A teraz ludzie buty takie kupują, żeby tanie, co się nachodzi to się nachodzi, a potem precz. Tyle za buty co na zelówki dają. —

A stara Czyżowa:

— Chtóren to szewc? Kowalski? —

— Nie, Kowalski z podwórza, a ten na froncie jeszcze se mieszkał, Piontek... —

— I już dziś?

— A dziś graty leżeli... —

Żeby na grzebienie czas liczyć, to jeszcze gorzej, jeszcze dłużej trwa. Urbańskiemu każdej minuty szkoda, więc rozmowę urywa.

Letni skwar płynie przez otwarte okna. Zgęszcza pył, zlepia go potem. Urbańskiemu po czole kapie kropla po kropli.

Już fajlarze robią w samych koszulach. Koszule, wszystko jedno jakiego koloru, stają się jednakowe. Najpierw szarzeją od pyłu, później pot zwolna od spodu przenika je ciemną wilgocią. Wtedy już siedzą jednakowo odziani jak w mundury.

Dni bywają takie, że robisz raz, dwa, pamiętając już którymi palcami najlepiej nakładać grzebienie, a którymi szybko ująć, wyciągnąć. Czas leci. Obejrzyś się, a już południe, przerwa, a ledwo na dobre nogi zdążą napuchnąć, rozboleć, fajrant.

Icne dni znów, kiedy od samego rana, zaraz stopy jak żelazo, palce ociężałe i wciąż wypływa żal, co ze Stefanem będzie i nawet trzypalcówki szkoda, co nigdy trzech słów nie skleiała, a tylko za stołem jednakowo cierpliwie siedziała i tak do niej oczy przywykły jak do ziemi pod nogami.

Teraz za stołem Pawlakowa siedzi, każdy jej zawadza i zaraz grzebienie spadają, gorąco przylepia fartuch do sukni, suknię do ciała.

Tak jest dziś, będzie jutro i żeby tylko było, bo od wszystkiego gorsze, kiedy roboty niema wcale.

Okna już otwarto szeroko, ale zamiast powietrza, żeby pył wywiało, płynie przez nie leniwa parność. Każdy dyszy, wyciera pot, jedne tylko niezmęczone, wytrwale pędzą, stukają, dzwonią przeciągle wirówki i koła fajlarek.

Potem otwierają się drzwi, trochę przewiewu wpada z sieni, kurz wiruje żywiej, okienna szyba dźwięczy cieniutko i leniwe skrzydło starego wentylatora podrywa się do lotu. Ryży Mundek przychodzi po grzebienie. Zgarnia je ze stołu Pawlakowej, mruczy coś, że jak to tam ułożone. Potem drzwi zapadają znów, łoskot maszyn zagłusza trzaśnięcie.

Zaraz wślad za tem zadźwięczy syrena. Mundek ludziom Nonplusie zastępuje kosztowny zegarek, którego niema nikt. Rzeczywiście zaraz przez otwarte okno z wysoka nadpływa przeciągły, głęboki bas Olkowskiego, który dzisiaj idzie. Ruchy ludzi słabną, już każdy nadśluchuje jak lada moment nadbiegnie zbliska cieńszy, wysoki głos Nonplusu.

Już właśnie wdziera się przez okno i niewidzialną ręką wstrzymane powolniej, coraz słabiej obracają się koła i pasy, szum ustaje i nienawykłe do spokoju ucho zdaje się pograżać w śmiertelnej ciszy. Pierwsi wstają ludzie od fajlarek. Idą na dół, żeby zjeść, zapalić.

Niektóre dziewczyny za nimi. Ale Julka starym zwyczajem idzie do stołu.

Stara Pawlakowa też zeszła dziś, tylko Andzia je-

'szce siedzi zmęczona i wtył głowy, daleko z włosów zesuwa chustkę, żeby zetrzeć pot:

— Oj gorąco... —

Julka tuż koło niej:

— Może i tu chłodniej nawet jak na dole: — powiada.

Andzia nie wierzy: — W sieniby ostygnać trochę, chodź. —

Ale Julka upiera się: — Nie. — i nagle: — Andzia, coś ci powiem. —

— No?... —

— Kiedy sama nie wiem, jakby to powiedzieć. —

Po Andzi nareszcie widać, że jest młoda i ciekawa, jak potrzeba.

— No mów już, dalej — zachęca.

Sekret Julki niebardzo jest wesoły. Czerwieni się, kręci na ławce, aż mówi Andzi do ucha prawie: zawstydzona:

— Wiesz Andzia, „ciotki“ jakoś nie mam wcale... —

Siedzą właśnie same w całej hali. Słońce prześwieca gęste zwoje pyłu w powietrzu, słońce dopiero odkrywa jaki jest gęsty i jak wszystko, co się tu znajduje obejrzeć można tylko przez jego zasłonę.

Właśnie zebrał się niewidzialnie w gardle Andzi i żeby coś powiedzieć, zrzuca go chrząknięciem.

— Bój się Boga, dawno? —

Julcia odrazu (widać dobrze to już sobie obliczyła). — Dwanaście dni. —

Andzia wydyma usta. Nie taka znów nadzwyczajna rzecz, sekret Julki.

— No co? — pyta tamta niespokojnie i niebieskie oczy pod gęstą, pyłem ubieloną brwią szukają u Andzi pomocy.

— Czego czekasz, głupia, spróbuj gorącej wody do nóg z gorczycą, może ci pomoże. —

Julka przysuwa się blisko, własna sprawa ustępuje nagle cudzej, jak to u Andzi bywało, co ona wie i skąd, bo przecie teraz z nikim nie chodzi.

— Miałas już kiedy tak, Andzia? —

Wypieki na twarzy Andzi są okrągłe, rumiane, cała twarz jak zagraniczne jabłko z wystawy.

— Było raz. —

— I co? —

— Poszło. —

— Moja złota, jak to było. Powiedz, przecie wiesz jaka to dola. Jakież ty se radziła?

Bo ja tak ani siostry, ani żadnej koleżanki, coby wiedziała. —

Niema teraz na sali nikogo, ale one szepczą ledwie.

— Jak? Zwyczajnie. Na Zakroczymskiej jedna akuszerka taka jest. —

— Jezus — mówi Julka tylko i milknie.

— Głupia jeszcze wtedy byłam, kawał czasu czekałam. Ty jeszcze próbuj. —

— A on gdzie teraz jest? — pyta nagle.

Andzia pogardliwym wydęciem ust streszcza i skreśla całą historję.

— Już się ożenił —mówi.

Tylko Julka, jakby nagle wszystkie ziemskie okropności zbliska zobaczyła, jęczy i zawodzi. — Ożenił się? —

— Ten twój nie taki — uspakaja Andzia, a potem namyśla się. — Na chłopca nie licz, sama se radź. —

— A jak gorąca woda nie pomoże? —

— To może jeszcze Czarnej Róży naparzyć i napijesz się, — mówi Andzia i zaczyna jeść ciemny, grubo krajany chleb, posmarowany tanią, błyszczącą czerwoną marmoladą.

Nie tak łatwo jest zostać w domu samej. Trzeba upolować taką chwilę. Jak niema w izbie mamy, to siedzi bezrobotny brat Tomasz i jeszcze nie raz dziewczynę sobie wtedy przyprowadzi, a niema Tomasza, to lokatorka Kozłowska w kącie pierze drze, bo ona tylko z samego rana ma posługę.

Raniusieńko, ledwie mama do prania poszła, wstaje Julka. Kręci się tak długo, aż rozbudzony Tomasz zaczyna leniwie wstawać. Zaraz potem nadchodzi Andzia. Tomasz jeszcze siedzi przy kawie w koszuli i szelkach, łóżko rozwalone, na sienniku na ziemi posłanie, wszystko czeka na Julkę, bo dziś Nonplus stoi.

Tomasz suchy chleb macza w kawie i do Andzi na żarty się zaleca. Na żarty, bo nie lubi takich chudych piszczeli i zresztą niejedyn o Andzi mówi: suchotnica.

Suchoty, czy nie, Andzia kaszle i ma wypieki, a przecie robi i żyje. Tomasz do niej:

— No, kiedy się panna Andzia żyć będzie? —

— Pan Tomasz swojego wesela niech pilnuje — Andzia na to.

— Oj, jabym sam się z panną Andzią żenił. Dlaczegooby nie? Ładna, oczki wesole, ząbki białe, robotę ma, tylko w sobie jak osa. Ja wolę, żeby panna była fest. —

Andzia zgryźliwie:

— A jakie mieszkanie pan żonce szykuje? Aby nie w barakach? —

Tomasz posepnieje i odcina się:

— Żeby panna Andzia tylko takiego wesela se nie sprawiła jak Julka, gdzie pod płotem. —

Wtedy Julka, która cały czas w milczeniu łóżko ścieliła, ciska wszystko z ręki:

— Nie twoja rzecz, swoich dziewczuch patrz, ja do ciebie nosa nie wtykam — i ze stukiem spod nosa zabrała mu pusty kubek.

Tomasz od stołu wstał i marynarkę wciągnął:

— Wściekła suka — mruczy i wychodzi nareszcie, a Julka z największej złości w radosny uśmiech się przemienia, że go się tak łatwo pozbyły, bo myślała, że chyba całe rano będzie siedział. Kozłowskiej niema. Nad jej porządnie zaściannym łóżkiem kolorowe obrazy święte przydają nieco blasku mrocznej izbie.

Ramy świecą się złościście, a z ciemnego tła obrazów jaśnieją mocno błękitne szaty i biało-różowe twarze pod aureolami.

Julka zdejmuje prędko z kuchni wielki żelazny garnek z wodą.

— Raz dwa nagrzałam, mama toby mi sprawiła za taki ogień. —

Andzia pomaga, ustawiają stołek i wiaderko. Julka siada na stołku i zdejmuje pantofle z bosych stop, mocnych, zawsze lekko napuchłych od stania. Niespokojnie prosi:

— Andzia, tylko drzwi pilnuj. —

Andzia zamyka drzwi na mały haczyk. Klucza nie ma. Szarpnąć mocniej, a haczyk odskoczy, wykruszy się ze starego, próchniejącego drzewa. Potem surowo staje nad Julką i ze zgniecionej papierowej torebki sypie gęsto okrągłe ziarna gorczycy.

— Już — mówi.

Julka stopą próbuje wody i odskakuje z krzykiem:

— Jezu, parzy...

— Co parzy — zżyma się Andzia — przecie to nie do mycia.

Złoszczą ją głupie krzyki Julci. Julka teraz posłusznie wsuwa nogi do kolan prawie we wrzątek. Nogi czerwienieją krwiscie, na twarzy występują sino czerwone, wielkie plamy rumieńców. Pot gęstemi kropelkami świeci na czole.

Nogi same gwałtem wrywają się, gorąco chwytają za serce.

— Oj nie mogę, nie mogę. —

Andzia stoi nad nią. Widać jak pod wypiekami jej policzki są chude i wpadnięte. Cała twarz wygląda jak sam twardy mus.

— Nie rób, jak ci się nie podoba. —

¶ Julka znów zanurza nogi we wodzie. Andzia swoją ręką obciera jej z czoła pot.

Psiakrew — mówi posepnie — chłop zrobi swoje i już, a ty męcz się i duszę wyciągaj. —

Julka zmęczonemi oczami głową przeczy. Ale nawet niema siły powiedzieć:

— Żadna krzywda. Nie uważał to przez tyle miesięcy? —

Kąpiel nóg skończona. W ciasnocie izby przy zamkniętem oknie powietrze przepoiło się wilgocią pary. Julka siedzi jak słup z sukienką zakasaną wyżej kolan. Twarz ma jeszcze wciąż nabrzmiałą, sino-czerwoną i mokre czoło.

Andzia bierze wiaderko i chlusta do zlewu. Jedno, co w tej izbie jest z ludzkiej wygody to ten zlew z obłupaną, czarną miską. Kolano rury ma grubo okreczone szmatami, jeszcze od zimy, żeby nie zamarzło.

Julka zwolna stygnie, pot na ciele ziębnie, z wracającemi siłami pyta:

— A jak nie pomoże? —

Andzia już stoi nad kuchnią w najciemniejszym kącie izby. Odsunęła na chwilę garnek, haczykiem poprawia żar, stoi w czerwono-złocistej łunie ognia jak czarownica i sypie z drugiej papierowej torebki coś suchego, szeleszczącego do garnuszka.

— Zaparzam ci Czarnej Róży — mówi i Julkę przenika dreszcz.

Drzwi wciąż zamknięte na haczyk, na oknach łachowate firanki zasłaniają to, co się dzieje w mie-

szkaniu. Julka kładzie pantofle i zaczyna krzątać się po izbie. Andzia długo czeka nad garnuszkiem, potem przez sitko zlewa płyn do kubka.

Po izbie rozchodzi się nieznamy, duszący zapach ziela.

— Jezus, Andzia, to wypić?

— Jednej mojej koleżance pomogło — mówi Andzia — ale pewne to nie jest. —

Julka aż rękami za głową się chwytą, z umęczonej twarzy patrzą wystraszone oczy.

— Niepewne? A co jest pewne? —

— Ta z Zakroczymskiej — mówi Andzia, przynosząc kubek do stołu.

Julka pije, krztusi się, oczy zachodzą łzami. Najpierw tylko z krztuszenia się, potem mieszają się z innymi. Wpadają do kubka, rozpryskują się na ręce, która go podtrzymuje.

— Paskudztwo? — pyta Andzia, a Julka przez łzy:

— Żeby choć pomogło... —

Ledwie kubek wypity, już Andzia otwiera drzwi z haczyka i szeroko, naościęż okno.

Najwyższy czas. Po małej chwili nadchodzi Kozłowska. Choć wszystko już się wietrzy, stara krzywi się zaraz:

— Co tu tak śmierdzi? —

— Na żołądek ziół zaparzyłam — mówi Andzia i pokazuje garnuszek.

— Na żołądek tylko rycyna. Lepsza jak wszystkie zioła. Od doktora wiem. —

— Zawsze je bierę — mruczy Andzia. I po chwili:

— Julka pójdiesz ze mną? —

Julka idzie. Kto jeszcze przez cały dzień aż do wieczora wchodzi do izby pyta o ten zapach. Ale nikt na szczęście nie zgaduje że to tak Czarna Róża pachnie.

Rzadko i niechętnie odwiedzała Marja Stawanowa mieszkanie na Wspólnej. Najczęściej Stefanek bywał u nich i nie było potrzeby tam chodzić. Nie chciała oglądać kawalerskiej gospodarki szwagra.

Uznawała że oczywiście „teraz“ miał prawo żyć jak mu się podobało, ale zwyczajem ludzi oszczędzających sobie jakichś prawd, nie chciała wiedzieć jak.

A jednak niekiedy trzeba było iść tam. Zwłaszcza od czasu, jak Stefanek miał nową nauczycielkę, której nie dzielił już z Zosią.

Pani Marja przyszła popołudniu. Piotra nie było. W dziecinnym siedział Stefanek przy lekcji. Łóżko było przykryte prześcieradłem zamiast kapy. Gazety przyniesione z innych pokojów leżały tutaj.

— Czy ty to czytasz? — zapytała surowo pani Marja.

Stefanek zacerwienił się ogniście. Nowa nauczycielka była bardzo grzeczna i bardzo roztrzepana. Wyszedszy z pokoju pani Marja rozmyślała posepnie:

Może jednak Piotr powinien się ożenić?

Ale Piotr uparty, gwałtownie obrażony na los, który uderzył go raz znienacka, nie chciał.

Pani Marja porządkowała szafę. Chwilami widziała przy tem zajęciu odbitą w lustrze toaletki i bielizniarki swoją wysoką, nieco zbyt rozwiniętą postać. Przyglądała się jej krytycznie i odpowiadała sobie. Przecież i on nie staje się młodszy... I znów pomijała wiadomą gdzieś na dnie prawdę, że on przecież stawał się młodszy, ciągle odmładzany nowemi przeżyciami.

Pani Marja liczyła bieliznę i od czasu do czasu nerwowo przewracała cały stos. Brakowało czegoś. Zaczynało się szukanie. Potem gospodyni tłomaczyła przerażona: w praniu, albo w reperacji...

Na ostatniej półce na górze leżały kosztowne drobiazgi Jasi. Srebrny, puszysty lis, wieczorowa torebka, w której przechowywała trochę biżuterji, jakiś niezużyty jedwab i złota puderniczka.

Nikt nie chciał tego zabierać na własność, nikt nie mógł nawet patrzeć na to spokojnie, a przecież oszczędny, zapobiegliwy duch rodziny nie pozwalał na oddanie, usunięcie tych przedmiotów zbytku, z których nikt nie korzystał.

Pani Marja pospiesznie porządkowała, sprawdzała, czy lis nie miał moli, czy w torebce leżało wszystko. Wtedy postanowiła nagle: puderniczkę wezmę na pamiątkę...

Wzięła ją do ręki prawie czule, tak jakby małe lusterko wewnątrz musiało utrwalić coś z twarzy Jasi. Otworzyła. Miękki puszek zaproszył ją słodko pachnącym pudrem. Pod puszką, przepojony jego różanym zapachem był szorstki kawałek papieru.

Z bijącym sercem pochwyciła go. Ale była tam tyl-

ko liczba, pięciocyfrowa liczba. Może numer telefonu. Szybciej niż go zdołała zapamiętać, podarła pani Marja ten strzępek papieru, jakieś ostatnie lakoniczne zamknięcie niewiadomej sprawy Jasi. Ostatnie ogniwo, a wszystkie poprzednie były łatwe jak w dziecię-
nym rebusie. Pani Marja stała w milczeniu przed otwartą szafę. Życie układało wypadki jak powieści o banalnym pomysle, o niewyszukanej tajemniczości. Tylko ludzie w nich ginęli prawdziwi, wiadomi, a nie ci, których znajdowano martwych, dwuwymiarowe postaci na pierwszej stronie kryminalnej powieści.

Tylko mężowi powiedziała wieczorem o tej kartce. Przypadkiem. Dlatego, że nie wyszedł tego wieczoru i siedział przygaszony nad stołem.

— Tylko liczba, rozumiesz. Wzięłam sobie tę puderniczkę.

Odsunął gazetę. Wyglądał surowo i obco, kiedy powiedział nieoczekiwanie:

— Straszna to rzecz nadmiar czasu. Kobieta powinna się zajmować swoim dzieckiem. Gdyby sama wychowała Stefanka, nie zrobiłaby tego. Kochała więcej swoje sprawy niż dziecko. —

Pani Marja przyjrzała mu się tak zdumiona, że aż zamilkła. Strach chwycił ją nagłym dreszczem. Więc to tak może być, po tylu latach, nagle od początku nic o nim niewiadomo, jakimi drogami idą jego myśli...—

Co ty?... — wyjąkała.

Zdobyła się tylko na ten głośny ułamek pytania, ale sto innych, niemych, krzyczących zawołało w niej. Dlaczego przełamał swoją wieczną, zimną wyrozumia-

łość? O, ona wiedziała zawsze, jakie były jej skryte przyczyny.

— Zmieniłeś się — powiedziała, nie spuszczać zeń oczu.

Podniósł głowę, oczami patrzył nawet ponad nią. W świetle lampy błyszczały srebrzyste gładkie pasma wtopione w lśniącą czarność włosów.

— Starzejemy się — odparł i choć w twarzy jego nie dostrzegła bólu, nie było tam także cienia uśmiechu.

Ujął ręką jej dłoń ciężko spoczywającą na stole. Przywykła najbardziej skryte prawdy wypowiadać milczeniem, stłumiła tę tkliwość, która mieszała się z odrobiną pocieszenia i goryczą żalości: przecież starzejemy się razem, razem...

Głośno spytała tylko:

— Zostajesz dziś? —

— Pewnie — odpowiedział i wrócili do rozmowy o Zosi i Stefanku.

Rozdarł ją przeciągły dzwonek telefonu. Stawan gwałtownie poskoczył ku niemu. Uderzył się po drodze z pośpiechu o krzesło. Pani Marja patrzyła za nim. Już stał przy aparacie niecierpliwy, oczekujący, młody.

→ Hallo? — odezwał się ochryple.

Potem głos jego opadł, zabrzmiał spokojnie i obojętniej. Cóż jej przychodziło z tego, że odnalazła w nim maleńką nutę rozczarowania.

Pomimo to odpowiadał w przestrzeń niewiadomej osobie:

— Sam nie wiem, no, mogę przyjść na krótko...—

Podszedł do żony.

— Tylko na godzinkę wpadnę do kolegi. —

— Dobranoc — odpowiedziała chłodno. Znała te godziniki. Ale tym razem nie miała racji. Stawan wrócił wcześniej.

Przed domem na Twardej zatrzymało się auto. Polyskiwało ciemną emalją i srebrnym niklem okuć. Nad kierownicą czytał gazetę szofer w solidnej skórzanej kurtce, w głębi robił to samo pan w kapeluszu.

Auto czekało cierpliwie już od godziny, kiedy dzieciaki z książkami pod pachą zaczęły wychodzić z bramy. Zatrzymywały się przed niem, oglądały zbożnie i ciekawie, ale szofer i pan nie przestawali czytać swoich gazet.

Niekiedy tylko z za drukowanego parawanu wędrowało z głębi auta spojrzenie do bramy.

Kobiety w starych paltach z gołemi głowami niosły koszyki, służące zbiegały boso w wydeptanych pantoflach po zakupy. Wszystkie oczy potykały się o granatową, wysmukłą maszynę i przechodziły mimo nad tym strzępkim codziennej rzeczywistości, znanym i nierealnym jak niebo.

Chłopcy ognistym spojrzeniem obejmowali wóz i czytali, podchodząc tuż blisko: Essex. Oni jedni natychmiast wsiadali doń w wyobraźni.

Dziewczynki przeglądały się w lustrzanej emalji. Odbijała zabawnie w skróceniu ich postacie. Wtedy

wolały ze śmiechem:

— O, jakieśmy to koślawe... —

Auto stało w brudnej, krzykliwej ulicy nieoczekiwanie i przypadkiem. Takim samym niedorzecznym zbytkiem już od wczesnego rana świeciło tego dnia na Twardej letnie, złote jak miód słońce.

Zdaleka przez podwórze idąc, zobaczyła Anna to auto. Przestraszyła się. Zatrzymała. Najpierw przemknęło gorzko:

Naturalnie, nie na górę, skądżeby... Choć wiedziała, że to niesprawiedliwe. Potem posypało się pytaniami, wykrzyknikami: Jak powiedzieć i co? Co jest najważniejsze. — I jeszcze: Nie, już nie może być. Napewno... —

Chciała się wrócić, poszła naprzód. Serce biło. Auto drgnęło jakby od wewnątrz. Szofer odrzucił gazetę i wprawił w ruch motor. Ludzie z bramy, stróż i chuda szewcowa z parteru popatrzyli za niem. Pojechało. Dopiero w pewnej odległości zatrzymało się obok Anny. Stawan wyskoczył z niego.

Dotknął jej ręki: — Usiądź obok kierownicy — rzekł szybko — już wsiadam. —

Zawołał szofera i stojąc na brzegu chodnika, wydawał mu polecenia.

Przypatrywała mu się z wewnątrz auta. Obca ściana spokoju stanęła nagle między nią, a chwilą, która nadchodziła. Wyrażna, skończona myśl zdołała wytrysnąć z wzrokowego wrażenia i ułożyła się w beznamiętne słowa obserwacji.

— Stoi w samym słońcu i właśnie teraz widać jak

błyszczą to srebrne pasmo włosów. (Nie znalazła innego porównania, tylko własne, stare: jak oksydowane srebro...). Różne bywają siwizny. Włosy mamy są jak popiół. Szare, zgaszone, umarłe włosy. Nikomu niepotrzebne, nikt o nich nie pamięta. Raz dziennie z przyzwyczajenia pociągane grzebieniem. Jego włosy są ważne, kosztowne jak srebro.

A ktoś inny jeszcze... Ale kto, ale kto? Chyba tamten z krzywą łopatką, wtedy ze szpitala, ma włosy inaczej siwe. Surowa, twarda, szara siwizna jak stal.

— Ja będę kierował. Kochanie, co się stało? —

Koło wiader z kiszonymi ogórkami, koło bawełny i tasiemek w tekturowych pudłach, koło otwartych nędznych, spożywczych sklepików, obok kamiennych flizów chodnika, które codzień tak długo i mozolnie ciągną się pod stopami, łatwo, powoli, prędko mkną granatowe auto.

— Dlaczego nie przyszedłem? Chciałem już nie przychodzić wcale. —

— Nigdy? — zdumiewa się Stawan, nie patrząc na kierownicę.

— Nigdy — mówi Anna i czuje gorzki smak tego słowa. — Nie możemy tak rozmawiać w biegu. —

— Poczekaj — mówi Stawan sucho.

Auto pędzi. W tempie przez śródmieście, przez zielone, wesoło Aleje, dalej wdół Belwederską. Milczą. Na wilanowskiej szosie, ledwie się miasto kończy, Stawan zatrzymał maszynę, odwrócił się ku Annie całą twarzą:

Zapytał: — Dlaczego? —

Odpowiedziała z trudem. Gubiła wyrazy, zacinała się:

— Pamiętasz co powiedziałeś, kiedy się zaczęło? Zawsze jest jeden powód najważniejszy. Ja tak chcę.—

Zapytał, nie spuszczać pociemniałych oczu:

— Tak nagle? I nawet nie chciałaś mi tego powiedzieć? —

Zabolało. Oslabła. Ale na krótko.

— Powiedziałam zbyt lakonicznie. „Chcę“ to nie jest najważniejsze. Wiem dlaczego muszę chcieć. —

— „Muszę“ to nieprawda — odparł surowo, patrząc swojemi wiedzącemi oczami.

Annie wydało się nagle, że sama postępuje źle i tchórzliwie. Przyjechał z własnej woli. Pamiętał o niej. Urażona miłość własna, ustępowała, pozwalała się tem przebłagać. Ale to jeszcze nie było wszystko.

— Byłeś mojem świętem.. — zaczęła, ale nagle zbrakło jej słów. Wszystkie nieudolnie, tak nieprawdziwie, zbyt uroczyście układały się w zamknięte zdania.

On tymczasem posepnie odpowiedział, palcami ścisnąc kierownicę.

— Nigdy nie pytałem się o twój powszedni dzień. Myślisz, że to jest łatwe? Przecież nie mogłem go pominąć naprawdę, przed sobą samym. Zdaje ci się, że nie myślałem nigdy o twoim mężu, o tobie, jaka jest ta część twojego życia, której ja nie widzę?

Uważałem, że muszę ci ją zostawić, wyrzec się jej, skoro ci nie dawałem nic wzamian.

O tem wcale się nie chce i nie trzeba mówić .—

Gniew i niechęć były w jego słowach. — Nie jest łatwo nie pytać się, — powiedziała Anna (nagle, nieoczekiwanie otworzyło się to skryte źródło goryczy) — ale może to jednak łatwiejsze niż pytać i wiedzieć.

— Poznałam jedną nową prawdę.

Nie mam miejsca na święta w moim życiu. Nie chcę świąt. —

— Ta nowa prawda — rzekł Stawan gorzko — to u kobiety zawsze nowy człowiek. —

— Nie — zaprzeczyła Anna żarliwie.

Ale on nie słuchał wcale.

— Wiedziałem że zdradzisz mnie kiedyś — powiedział.

Anna spuściła oczy. Chciała jeszcze raz gwałtownie zaprzeczyć, poczuła wewnętrzne, bezdenne zmęczenie.

W gruncie rzeczy — myślała — co znaczy jak to nazwiemy? Powiedzieć jeszcze coś, kiedy i tak jest koniec, koniec... —

Wtedy nagle ujęły ją jego ramiona, twardo, gorąco, aż przeniknęła ją do głębi słodka kobieca radość cudzej siły i pragnienia. Już poddawała się, ale coś przyszło z pomocą.

Siostra Marja. W samą porę. I skryta myśl, że nie ma tylu słów, ani pieśzcot, żeby dla każdej bywały inne. Wyrwała się. Odsunęła, zebrała w sobie całą obcość, obojętność dla wypielegnowanych rąk, srebrnych włosów, dla istoty nawykłej do świątecznych dni.

— On nie wie nawet co to jest bieda, krzywda — podjudzała siebie, co to są brzydcy, spracowani ludzie jak mama. Wieczne święto. Konflikty? Nie trzeba py-

tać. Kochanka, bo tak chcę. To jego argument. Za łatwy. Nie chcę takich. Nie chcę zbyt łatwo chcieć... —

Zawołała gorzko:

— Nie o to chodzi, my jesteśmy różni ludzie, zupełnie różni. Jednego dnia ty nie zechciałbyś już więcej, to tylko przypadek, że ja powiedziałam to pierwsza, dziwny przypadek. —

Popatrzał w milczeniu. Potem ujął kierownicę rękami w zielonkawych, matowych rękawiczkach z reniferu.

— To nie przypadek. Prawo. Silne prawo — odrzekł i dotknął pasma siwych włosów nad skronią.

— Nieprawda — zawołała Anna — wcale nie to. —

— Prawda — zaprzeczył uparcie.

Żeby mu przynajmniej powiedzieć teraz — pomyślała boleśnie — jak bardzo cieszyłam się tem i że nigdy nie miałam prawdziwego święta, że za wszystko płaciłam zawsze wszystkim, co miałam. — Ale źródło serdecznych słów leżało w głębi wyschłe, milczące.

— Miałś dużo czasu — rzekł Stawan — przemyślałś. Tyle dni. Uznaję jeden argument z twoich wszystkich. Wiesz który. Nie chcesz. Już nie chcesz. Na to niema rady — Jego głos był spokojniejszy, prawie uprzejmy.

— Nie martw się kochanie, widzę jaka jesteś błada... —

— Dwa tygodnie kuracji na Twardej — pomyślała Anna, już miała to na ustach, kiedy on powiedział jeszcze:

— Przyjdzie kiedyś inny i znajdziesz to, czego wciąż jeszcze szukasz... —

— Ja chcę tu wysiąść... — szepnęła — już proszę, już... —

Nie zatrzymał jej. Widziała dobrze jego twarz surową, skamieniałą, do głębi dotkniętą w urażonej ambicji, a może czemś jeszcze. Ale oczy były zimne, usta wąskie. Nad skronią swe włosy.

Na pełnej zieleni i słońca Belwederskiej ulicy z jasnymi domami o wielkich, nowoczesnych szybach, których nie przekreślały czarne krzyże ram, Anna została sama. Szła pod górę w stronę miasta. Ludzie przyglądali się jej zażawionym oczom.

— To też nieprawda, że można codzień zaczynać nanowo — obaliła swoją codzienną pociechę. — Bywa taki dzień, kiedy przychodzi zupełny koniec. —

Odczuła nagle całą pustkę, w której została. To tak, więc w poprzednich dniach było jednak jeszcze miejsce na nadzieję?

Całe życie walczyło się o coś, trzymało się tego życia gwałtownie, miłośnie, wrywało się uparcie swoją pracą, swój chleb, zdobywało się najpierw Andrzeja, później Jana przed sobą, dla siebie walczyło się o własną wolność czynienia swoich spraw. Tak się myślało jeszcze starym frazesem. Życie — walka — zwycięż.

Teraz odkryła się druga prawda tej maksymy. W walce można zginąć.

Zwyczajnie naprostsze słowa przychodziła porażka: Co mnie obchodzi cała wielka reszta, kiedy to wszystko się skończyło.

Własne, nieuznane „ja“ pokazało co umie. W jednej chwili rozszalało się z tęsknoty z bólu, odepchnęło, przyciemniło cały zielony, letni, słoneczny świat i ostatnich bliskich ludzi, którzy jeszcze zostali.

Już ich było mało. Pogubili się gdzieś w codziennej wędrówce.

Obojętnie i niewidząco przeszła obok współczujących oczu starego emeryta w wyszarzonym do ostateczności, za szerokim garniturze, który włókł ciężko nogi wdół ulicą.

Co znaczyło ludzkie współczucie, miękkie, lepkie i bezsilne?

Wiedziała: można było ginąć we współczujących oczach. Przeżywały to i współczuły dalej innym — dopóki też nie zginęli.

Dziecinnie, bezradnie przestraszyła się własnej klęski. Tylko u innych bywała prawdopodobna.

Szła wciąż naprzód, nie widząc ulicy, drogami, których pamięć żyła gdzieś w podświadomości. I one wiodły dokądś, ale Anna nie poznawała dziś tego celu.

Najbliższa lekcja o dwunastej na Nowowiejskiej, można stąd pieszo. Właśnie na czas.

Na krótko nim głosy syren przerywały miarowo dyszącą, fabryczną jednostajność na Częstochowskiej, opuszczał Piotr Zienkiewicz biuro.

Przed fabryką czekał zwykły Ford przestarzałej konstrukcji (kryzys). Naprzeciwno, na jezdni tam

i spowrotem chodził młody człowiek w ciemnej koszuli, szeroki w barach, niewysoki i bardzo zbiedzony. Wycierał spocone czoło. Twarz była chuda, zapadła. Wtedy, choć zdaleka, Zienkiewicz poznał. Chwyciło za serce.

Czerwona blizna krzywo spod brwi przekreślała czoło.

— Agitator, łotr — krzyknęło w nim bezgłośnie. Poczuł zaraz, jak mu krew ciemną luną zalała twarz po szyję.

Ten sam, którego udało się po strajku wysiudać. Teraz kręci się tutaj.

Chociaż nie przed fabryką, naprzeciwno. Trzebaby kazać aresztować. Tamten powoli krokami jak ciosy po niebrukowanej uliczce tam i spowrotem. Może być na terenie Nonplusu, może być na Be-Te-Ha.

Żeby mu tak kazać kieszenie przeszukać. Ale nie można. Nieprzewidujące prawo. Bez poszlak trudno. Dziecko może zrozumieć, że są poszlaki, ale prawo nie. Choć żeby tak spróbować z dzielnicowym? Dlaczego kręci się tutaj?

Bez roboty. Po twarzy widać. Drobne zadośćuczynienie, że takiego niełatwo wezmą do pracy. Zienkiewicz zatrzymuje się tuż przed stopniem Forda.

Tamten niby nie widzi. Nawpół odwrócony, oczy gdzieś w czerwonych ceglach Be-Te-Ha. Twarz wyciosana twardo, mocne, chude szczęki.

Zienkiewicz nagle namyśla się, zawraca do biura. Stawia nogę na kamiennym, wydeptanym stopniu, zahacza o coś obcasem. Kamienny fliz jest pęknięty.

Latami leżał, stopy ludzkie ścierały go długo, codzień cierpliwie. Wydawałoby się, że starczy kamienia na wieki. A już jest na nic. Zużył się.

— Kamień też nietrwa wiecznie. Nic nie trwa — myśli gorzko Zienkiewicz i pod gruby bas syreny Olkowskiego idzie dalej do biura.

Szyby w oknie do połowy są matowe, wyżej przezroczyste szkło. Tamtędy zobaczy się. Dobrze jest wiedzieć, naznaczyć czarnym krzyżem odejścia tych którzy się spotkają z tym czekającym.

Panienci w biurze na jego widok gwałtownie zatrząskują otwarte puderniczki. Pracują.

Cienki głós Nonplusu najpierw urywanie chrypliwie, potem wysoko, jednostajnie rozbrzmiewa po podwórzu, dostaje się do biura i na ulicę.

Pierwsi wychodzą szlifiarze z parteru. Zapyleni, brudni w koszulach zlepionych potem, kobiety, polerowaczki w cienkich, szmacianych kieckach. Bo jest lato. Słońce od drugiego piętra złoci jeszcze budynek Nonplusu, na żelaznej furcie przed wejściem grube lityery wyglądają jak sztaby ze skarbcą.

Ludzie wciąż wychodzą. Z parteru, z piętra, z sortowni. Zienkiewicz czeka przy oknie z rękami gniewnie wczepionymi w parapet. Na parapecie kurz: wyrzucić posługaczkę..

Tamten po przeciwnej stronie stoi sobie spokojnie, czeka. Do kogo podejdzie? Do nikogo. Wszyscy podchodzą do niego. Żyły na czole nabrzmiewają. Panienci w biurze niespokojnie siedzą nad księgami, przy maszynie. Jak długo jeszcze?

Ani jeden człowiek z Nonplusu nie mija obojętnie Stefana Pietrzaka. Potrząsają rękami, zatrzymują się, a jeżeli nie to, przynajmniej spojrzą, uśmiechną się, skiną. Przystają i odchodzą. Tylko Julka zgóry zostaje do końca. Potem razem idą ulicą.

Widać przez okno jak dziewczyna pokazuje na buty. Między podeszwą, a przyszwą sterczą palce.

Julka Kowalska — pamięta już Zienkiewicz. Ale co to znaczy? Im wszystkim należą się czarne krzyże. Był to choć jeden, żeby nie witał się, nie potrząsał ręką tamtego, jawnego wroga?

Zienkiewicz wyszedł przed biuro. Stary Kulesza stał jeszcze w budce. Ukłonił się nisko, pokornie. Ale Zienkiewicz nie odpowiedział na ukłon:

— A ten lepszy? — pomyślał nienawistnie.

...Julka najpierw pokazała Stefanowi pantofle, że się nareszcie rozlazły naprawdę. Ale nie o to wcale chodziło. Szła koło niego dalej, małowówna, zmęczona i zła, aż się Stefan zapytał pierwszy:

— No i co z tem? —

— Ale.. — przeciągnęła wzgardliwie — nic. Bo to takie co pomoże? —

Uszli jeszcze parę kroków, nie odzywając się już do siebie. Podskakujący na kamieniach Ford wymiął ich. Trąbił krzykliwie i ochryple przed zakretem i okrywał ludzi idących wąskim chodnikiem ciężką, gryzącą w gardle chmurą kurzu.

Julka czuła głuchą wściekłość. Nie na niego nawet. Na wszystko, na cały świat.

Odporne, nawykłe do stania całodziennego i wszel-

kiej twardej roboty ciało nie poddawało się gorącej wodzie, ani Czarnej Róży. — Uda się to kiedy co takie jak ja? — myślała sobie wściekle.

— I jak to będzie? — zapytał.

— Ano tak — odrzekła hardo, złośliwie, bo wezbrała nagle niechęcią do niego. Do wszystkiego mocny, wszystko wie, swoje tylko zawsze bylejak potraktuje i dużo też dla siebie ma. Z głodu zdechniemy razem — wyklinała w myśli.

Stefan twardemi palcami za ramię przytrzymał:

— Ty mnie tak nie odpowiadaj — rzekł srogo — co dalej chcesz zrobić? —

Odrazu zmiękła, spokorniała, ale już w sobie rozważała nową myśl:

— A ty co? — spytała.

Nachmurzył się: — No, kobiety jakiej spytała-byś lepiej, niebardzo się znam. —

Skręcili w Dziką. Na wystawie wędliniarni duże czarne błękitne muchy bzykały koło błyszczących smakowicie krążów kielbasy. Na ulicy przed sklepem, w upale wędliny pachniały mdło i drażniły głodne żołądki. Stefan pierwszy odwrócił się od nich, przelękając ślinę.

Ale Julka nie ruszyła się:

— Kupię chyba z pięć deka — szepnęła.

Weszła i potem trzymając tłusty papierek razem z ćwiartką chleba podeszła:

— Zjemy gdzie. —

Poszli dalej. Rozmawiali mało. Stefan powiedział:

— Na przyszły tydzień na trzy, cztery dni może

będzie robota. Trafia mi się u jednego stolarza do pomocy. Znam się trochę na stolarce.

Pokiwała gorzko głową. Nic jej ucieszyć nie mogło.

— Znasz się. Szlifiarz jesteś kwalifikowany. To przecie fach. A co z tego? Miałaś robotę.. —

Chwilę milczał pochmurnie, potem nie wytrzymał, krzyknął:

— Nie pamiętasz już nic? Jak było, że tę robotę straciłem? A sama to nie rozumiałaś wtedy? Nie wiedziałaś? — i zawzięcie, odsunawszy się od niej całkiem:

— Żeby jeszcze raz od początku wszystko się zaczęło, teżbym inaczej nie robił. Rozumiesz, głupia. —

Pożałowała. Łzy rozświeciły zaraz jej niebieskie, skore do płaczu oczy. Nie wiedziała sama co wypędząło na usta złe, kłótlive słowa, kiedy on mówił łagodnie, po ludzku. Kiedy mu później migał w oczach biały, ostry gniew, przez nią samą wywołany, już niczego nie chciała tak mocno, jak żeby złagodniał i odnalazł ręką jej zmęczone, stęsknione ramię.

Spojrzał na nią:

— No... — rzekł spokojniej — dlaczego ty tak, byle gadać? —

Milczała, żeby się nie rozpłakać. Tak zmiękła dziś. To dlatego, że nowe postanowienie, jakby cieszyło i więcej bolało, zalewało łzami nie oczy, ale samo serce.

Bocznymi uliczkami, znajomą drogą wydostali się tam, gdzie już z jednej strony za rzadkimi parterowymi domkami zaczynały się niezabudowane, trawą

porosłe place. Tu i owdzie jeszcze wyrastało jakieś zabudowanie, a już naprzeciwko leżały zielone kartofliska, chude łąki i mizerne, podmiejskie pólka zbożowe.

Niebieskie miski bez dna i czarne dziurawe garnki żelazne oraz niezliczone płachty zatłuszczonego papieru zalegały to miejsce letnich wypoczynków i niedzielnych spacerów miejskich ludzi.

Przedwieczorne powietrze owiało ich, tak samo skwarne, ale przepojone ożywczym zapachem przestrzeni, świeżej trawy i dalekich pól.

Stefan ramieniem ogarnął ją wpół i tak poszli w stronę owej wydeptanej trawy.

— Wiesz Julka — powiedział — Zienkiewicz mnie dziś widział. Patrzył, żebym się kłaniał, ale mnie wzięło, nie mogłem. Właśnie, że czekał na to. Co on tam, jak każdy, nie gorszy, ale z tamtych stron toby mnie wyświecił, żeby mógł. —

— A nie może? — spytała Julka ze strachem.

Roześmiał się. Niewesoło. Groźnie:

— Już ty myślisz, że wszystko, wszystko mogą, co? —

Pokiwała głową, wydeła wargi. Wyciągnęła z papierka wędlinę i rozłamała chleb.

— Na masz.. —

Olbrzymiemi kęsami przełknął swoją część. Julka odgryzła kawałek, kiełbasa jej zapachniała mdło. A może wcale nie zapachniała, tylko tak sobie pomogła:

— Jedz Stefuś, nie mogę już więcej. —

Słabo powiedział:

— Co za sztuki, jedz. —

Ale Julka odłożyła chleb. Wtedy chwycił go łapczywie i zmiądzzył w dwóch kęsach. Julka nawznak ułożyła się na trawie, chciała pochwycić jeszcze trochę słońca, ale już bladło, szło ku zachodowi.

Najpierw z lubością przypatrywała się jak Stefan jadł, potem znów spochmurniała. Wtedy on rzucił nagle:

— Moznaby się tej Anny Andrzeja poradzić. Zawsze prędzej będzie wiedziała i może co poradzi, chcesz? —

— Nie — krzyknęła z pasją i nagle spytała — przecie to nie jego żona? —

— Jakże, trzy lata żyli. —

— Niczyjej rady mi nie trzeba — rzekła zawzięcie, nie patrząc na niego.

Szarpnął ją za rękę, aż usiadła:

— Mów rzekł gniewnie — gadaj, co chcesz zrobić, już mnie nie złość. —

— Ano nic. —

— Co? — burknął, nie rozumiejąc.

— Bo to widzisz — zaczęła — nie pójdę do żadnej tam. Nie wytrzymam tyle bóleści, jeszcze nogi mam odparzone. A ile umiera? Nie pójdę. —

— Rodzić chcesz? — spytał prosto.

Schyliła głowę: — No.. —

Stefan wyrwał z korzeniem garść trawy. Była skruszała i sucha od słońca.

— Ja, no wiesz — powiedział w oczy jej pa-

trząc — roboty nie mam, ani żryć, ani mieszkać.

— Zamieszkalibyśmy z mamą — rzekła pokornie.

On gniótł w rękę trawę:

— A to już wszystko? Wiesz, innej nie mam, mo-
gę się żenić, ale przecie nie starczy urodzić. Żyć też
jakoś trza. —

— Mają ludzie dzieci, nie same bogacze — rzekła
uparcie, bo już jej się zdawało, że mu wolnego życia
szkoda.

— Jeszcze my młodzi — odrzekł — a u mnie,
wiesz, nadziei ci nie dam żadnej, bo skąd?

Jeszcze u mnie trudniej gorzej jak innemu. —

— Nie potrzebuje — rzekła gniewnie.

Podniósł oczy, zapadły się w ostatnich czasach
głęboko. Coś w nich błysnęło weselszego: — Po-
patrz — zawołał i żelaznym uchwytem palców schwy-
cił ją za ramiona, przyciągnął, usta mu się rozchyliły
w uśmiechu:

— Takaś to? — śmiał się ze zdumieniem.

— Bo co? — szepnęła gorąco, już cała do niego
przylepiona.

— To i chyba jesteś żona dla mnie. —

Chciewie, cała w uśmiechach wypiła te słowa. Pod-
dała się uściskowi i cała zajaśniała odbłaskiem tej
mocy i żaru, która biła z niego, kiedy chciał.

Stefan ramiona pod głowę podłożył i leżał cicho.
Przez chwilę cieszył się samem ciepłem i spoczynkiem.
Nawet głód oszukany pajdą julecznego chleba, mil-
czał. Sama błogość rozlała się po kościach. Takie też
bywały chwile, kiedy się myślało nie dalej najbliższe-

go kwadransa i nie poza ten rzadką trawą porosły szmat ziemi. Nagle powtórzył do jednej myśli wracając:

— Julka, możeby przecie tę Annę zapytać? —

Ale ona leniwie i błogo, nawpół bokiem odwrócona, wypatrywała coś na drodze. Szła tam kobieta z koszykiem. Za nią biegło dziecko. Na krzywych nogach, w długiej sukience. Na dużej głowie miało krótko ostrzyżone włoski, poznawało się, choć malutki, że w sukience był chłopak.

Biegło to niezgrabnie na zaokrąglonych ku środkowi nogach, małe ręce pomagały, wywijając w powietrzu. Włosy na głowie były jaśniutkie, srebrzyste prawie.

Tam to patrzyła Julka, oczu nie odrywając, jak krzywe nóżki spod długiej, brudnej sukieneczyny tupały, dreptały po ubitej drodze.

Stefan zagwizdał niegłośno, melodyjnie, jak to umiał. Julka przymknęła oczy, tak, że został w nich tylko cienki bladoniebieski skrawek nieba, a w uszach owo gwizdanie.

Było takie jak piosenki, które o letnim zmierzchu śpiewają dziewczyny przy otwartych oknach, jak proste melodje, które wygwizdują chłopcy na podmiejskich ulicach.

Mogły tam być rozmaite słowa, o wędrownicy, o niedoli, o miłości, czy zbrodni, albo bez słów wcale. Zawsze przecież było o jednym, o czemś, czego człowiekowi brak.

Już się Stefan w myśli przyzwyczajał do tych zmian, które nadchodziły, a zwłaszcza do nadziei, że mu Julka dziecko urodzi. Niekiedy, rzadko można się było nawet tem ucieszyć, że to aż takie proste było: odrazu ojciec. Lubił dzieciaki.

Ale ni stąd ni zowąd, jakby zimnej wody po plecach chlusnął, przychodziła myśl, jak to też naprawdę będzie?

Gdzie je podziać? Na swój siennik w suterynie Kwiatkowskich, albo do juleczonej matki w izbie z Tomaszem i Kozłowską i ich dwoje?

A choćby już nawet tam, bo przecie tak się już dziś żyło, to trzeba coś do gęby takiemu dziecku. Inaczej było dla siebie samego.

Inaczej, a przecież już nieraz wydało się człowiekowi: niech już bylejaka robota, bylejakie życie, żeby tylko zjeść, wypić, nie przełykać wiecznie chciwej, głodnej śliny, nie czuć lekkich mdłości od pustki w żołądku.

Zawsze jeszcze obok znajdowali się ludzie, którzy na palcach chodząc, pokornie kark zginając, chwyтали jakieś okruchy, pchali się do góry w związkach, a u góry będąc, łatwiej już odnajdowali drogę do świata, któremu służyli.

Można było jeszcze znaleźć życie trudne, ale łatwiejsze niż to, które wybierał, a przecież nie chciało się tego.

Był na świecie taki ludzki dobytek, który na Dziwkę, na Pokorną docierał strzępem gazety, zabłąkaną książką, odświeżnie obejrzanym filmem, radjowym

głosem wybiegającym z czyjegoś otwartego okna.

Dlatego było warto żyć, to zdobywać. Nietylko, żeby się nie dać, kiedy wrywano ostatnie okruchy, ale samym wywalczyć. Czy nie tak mówili z Andrzejem od najdawniejszych lat, nie tak rozumieli sens wszelakich zamierzeń?

Żeby inaczej żyć. żeby kiedyś właśnie takie, co się narodzi nie rośło krzywonię w izbie, gdzie się pospół z Kowalskimi i Kozłowską pomieszcza o głodzie. Ale nato dziecko Stefana i Julki przychodziło zawczasem.

Nocą na sienniku, pod kołdrą, z której bokiemy wyłaziła wata, Stefan stękał. Niechby się lepiej pozbyła. Na to życie, co go czeka, zawsze ma czas.

A choćby sama Julka. Dziewczynę w rękę trzymasz, miękka jest jak wosk, zrobisz co zechcesz, własna jak twoje oko albo ręka, a odjmiesz na chwilę rękę, zaraz obca, inna, nie rozumie nic, nie wie, obce ma racje. Jakże to Julka mogła wtedy, nie czekając za Seweryniakiem iść?

Teraz tak, sama na wszystko się godzi, później kamieniem na szyi zawiśnie, ona sama wyklnie, wspomni. Postanowił tedy spróbować ostatniego, poszukawszy Dolisowej Anny.

Wybrał się wczesnym ranem na Twardą, bo wiedział, że mieszkała teraz u matki.

Po długiej drodze ze Stawek sto razy namyślał się i wargi przygryzał, bo w gruncie rzeczy ta Anna i oni, to cóż?

Kiedy mieszkali z Andrzejem na Wroniej schodzo-

no się często u nich. Pełno tam wtedy przychodziło znajomych ich obojga i przyjaźnili się ze sobą, ale już taka jak jak Andrzej nigdy nie była Anna.

Nie żeby obca, ale inna, trudniejsza. Też przysiadła się do nich, gadali razem, dobra była dziewczyna, mocna, weselsza od Andrzeja i żywsza, a przecież od niego słabsza, mniej stała, zawsze z dwóch stron myśłąca i tak i siak, prawdziwie inteligentka. Stefan czuł, że niezupełnie do niej to słowo pasowało. Zadużo w niem było niechęci. Na tę Annę można jednak było liczyć.

Jedno, czego jej nie mógł darować to sprawa z Andrzejem. Dlaczego to zrobiła?

Ale że nigdy żadne gorzkie słowo nie wyrwało się Andrzejowi, że mu się wydawało, jakby na nią czekał w swoich ostatnich dniach i że ona sama stała wtedy w szpitalu jakby jej nóż w serce wbijali, odpuszczając wewnątrz tę urazę i myślał: musiała mieć swoje racje..

Tylko jakie były, żeby Andrzeja opuścić, za trudno było wiedzieć? Dlatego z nadzieją na pomoc od niej mieszała się skryta nieufność, że się po tylu latach jeszcze nie wiedziało dobrze, jaka jest ta Anna.

Dopytał się z łatwością o mieszkanie na Twardej. Na drzwiach zdziwiła go zapleśniała tabliczka „Halina“. Nie wiedział, że tu była jakaś pracownia.

W ciemnym korytarzyku coś mu się owinęło koło nóg, potknął się przez jakąś szmatę, o mało nie upadł, huknął o coś hałaśliwie.

Za przymkniętymi drzwiami zaśmiała się dziewczyna: — Oho znów.. —

Potem usłyszał przyciszony, pełen wyrzutu głos Anny:

— Dopiero zdjęłam ten łań. Dlaczego zawsze go kładziesz mammo? —

— Ty jesteś dama, dla ciebie łań — rzekła gniewnie i głośno inna kobieta — dla mnie porządný chodnik. —

Drzwi się otworzyły, wyrzała siwa, niedbale uczesana głowa, spojrzały zaczerwienione oczy za szklami w drucianej oprawie:

— Czego pan sobie życzy? — spytała sucho.

Uklonił się trochę zmieszany, spytał o Annę. Oczy za szklami zdziwiły się bardzo. Rozpoznał w nich teraz odrobinę bronzowości, choć wydawało się, że nigdy nie mogły być takie jak oczy Anny. Wskazała pokój.

Stefan wszedł. Nim się zdążył rozejrzeć po staroświeckich gratach i żurnalach na pluszowej serwecie, weszła Anna. Zdziwiła się, przywitała, a on przyjrawszy jej się po tem kilkotygodniowem niewidzeniu, które ich dzieliło, spytał zaraz:

— Chorowaliście? —

Zaprzeczyła. Nie, wszystko było po staremu. Usiedli na wyplatanych krzesłach z przedartą trzciną. Stefan widział, że nie musiało ludziom w tem mieszkaniu być za dobrze. Mówili najpierw o byle czem, aż Anna zapytała, czy był już u Andrzeja na cmentarzu?

Zmarszczył się: — Nie chodzę na cmentarz, wogóle mało kiedy tam idę. —

Chciało mu się powiedzieć, że zato często Andrzej wspomina, ale nie podobała mu się ta rozmowa. O czym tu było mówić, kiedy to wszystko wiadomo. Pytanie Anny uraziło go: taka właśnie była. Już się zastanawiał, czy o swoją sprawę ją zapytać, kiedy zwróciła się w jego stronę:

— Miła jest wasza dziewczyna — powiedziała.

Na jej wybladłej twarzy zjawił się mały uśmiech. Nie rozchyłał ust, ale zapalał się w oczach jakimś światelkiem. Wtedy zawsze zdawało się Stefanowi, że już wie dlaczego Andrzej kochał tę Annę.

— Właściwie pocoś do was przyszedłem — zaczął i ujął w rękę róg zielonej serwety, zmiął w palcach szorstki, wytarty plusz.

— Chciałem się poradzić. —

Siwa kobieta w okularach weszła do pokoju. Miała bezbarwną twarz i zacięte usta. Bez żenady, bacznie przyjrzała się Stefanowi i wyszła. Zdawało mu się, że skrzywiła się przy oglądaniu.

Z uśmiechem popatrzał na Annę, zarumieniła się, ale on już zapomniał o tem i wrócił do swojego.

— Przytrafiła się bieda mojej Julce. Wiecie, dzieci mieć to dla nas niebardzo. Możebyście wiedziały coś, co nie jest niebezpieczne, bo ona nie umie sobie radzić. —

Anna splotła ręce na stole.

— No można oczywiście. Kosztuje, ale można. Po-

mówię z nią, jeżeli chcecie. A nie będzie jej przykro? —

Siedział nachmurzony, przestraszył się, że i to, licho wie ile kosztuje. —

— Już wy potraficie z nią — rzekł.

Spod czerwonej kresy na czole błyszcząły mu oczy łagodnie. Wstał:

— To na Pokornej pod czwartym. Jak zajdziecie na siódmą, ona już będzie, bo tutaj nie wiem czyby przyszła — usprawiedliwił się.

Uważnie przyglądał się Annie, oczami szukał: może teraz właśnie pokaże się jaka ona jest. —

— To ja do niej lepiej pójdę sama wieczorem — odparł — Postaram się z nią pomówić. —

Stefan tymczasem dojrzał na starym kredensie złożone w wysoki stos książki i gazety.

— Czy można od was pożyczyć trochę tych gazet? — spytał — Poczytam, chociaż stare. Prawie nic nie mamy teraz. Bo to nietylko ja jestem bez roboty, ale większość naszych chłopaków z tamtych stron, to niema komu kupować. Tyle się ciągle dzieje, a tu nawet się i nie wie. W naszej dzielnicy to chyba na wiecu jakim ludzie co usłyszą. —

— Może sama przyjdę — zaproponowała Anna — przyniosę to co mam i może jeszcze coś pożyczę od kogoś, to porozmawiamy. —

— Przyjdźcie — rzekł Stefan, nie spuszczać wcióż z niej bacząnych oczu — Pogadamy Opowiecie wy co o sytuacji, może i od nas usłyszycie. Tak zaraz

popołudniu to u mnie można, później pod wieczór lokatorzy się schodzą. —

— Ale najpierw pójdę dziś na Pokorną. —

Uściskał mocno jej rękę. Jego dłoń była sucha i twarda.

...Wieczorem na Pokornej przez drzwi, na których kredą wymalowano imiona trzech króli, słyszało się zmieszane głosy, kiedy Anna przyszła. Wyliczyła na dosyć późną porę, żeby napewno zastać Julkę. Zapukała. Nie słyszeli. Uchyliła drzwi. Płuchnęło dusznością, zapachem czegoś gotowanego i gwarem paru głosów.

Mężczyzna z niskim, zaroiętym czołem szyl przed sobą na stole but zniszczony, niezgrabnie wychając iglicę. Naprzeciwko drzwi ku sufitowi sięgało łóżko z wysoko ułożonemi poduszkami. Było ich trzy, jedna, na drugiej, od największej do małej zupełnie, wszystkie z klockowemi wstawkami. Nad łóżkiem obrazy święte.

Nim otworzyła zupełnie, poskoczyła Julka. Wiadać było teraz w świetle jaka jest ładna. Oczy pociemniały, nabrały granatowej niebieskości, brwi były czarne, zmyte z pyłu na policzkach miała rumieńce, bo się już Anny oddawna spodziewała.

— Dobry wieczór — odpowiedziała i Anna nie mogła jeszcze z tego tonu wiedzieć, czy jest zadowolona z jej przyjścia. Ale prędko zrozumiała jak było.

Julka zamknęła za sobą drzwi. Zostały w ciemnej sieni.

— Wyjdziemy? — spytała Anna.

Poszły parę kroków, ale nie dalej podwórza.. Tam Julka przystanąła znów. Wyczuwało się jej opór. Na podwórzu było prawie ciemno. W oknach paliły się już słabe, tanie żarówki, świecące czerwonawo, albo małe, białe kęgi naftowych lamp.

Niebo wisiało w górze granatowe, wciąż nad nimi ciemniejące, groźne dziwnym przepychem rozległości, gwiaździste, niezmierne, pełne złotych migotliwych punktów, owych niedbale rozrzuconych w przestrzeniach światów.

Mogły tam być tak samo cierpiące jak ten, który w dole na Pokornej wśród mdlących zapachów z okien, i zmieszanych gwarów przeróżnych odgłosów, hałaśliwie szykował się teraz do snu.

Zatrzymały się pod ścianą koło jakiegoś ciemnego, zamkniętego głucho okna. W mroku widziała Anna twarz Julki, skrytą i obcą. Niebieskie oczy uciekały przed jej spojrzeniem.

Anna zaczęła sama: — Chce pani, żebym coś poradziła? —

Na parterze za otwartym oknem smażono coś, Cuchnęło złym tłuszczem. Ale Annie zdawało się że gdzieś pozatem wietrzy zapach eteru.

— Nie — powiedziała Julka prosto z mostu — nie potrzeba mi. —

— Może coś lepiej będę wiedziała jak pani — powiedziała Anna łagodnie — przechodziłam to już — i poczuła, że czerwieni się w ciemności.

Zrobiła krok naprzód, chciała uciec od zapachów podwórza, wyjść na ulicę, ale Julka nie ruszyła się.

— Nic tam nie będę robiła — powiedziała.

— Tylko? — zdumiała się Anna.

— Całkiem nic — powtórzyła Julka.

— Ah... — zrozumiała wreszcie Anna.

Umilkły obie. Gdzieś na górze stukano talerzami. Śmietnik cuchnął w łagodnym cieple wieczoru. Letnia noc nadchodziła, paliła się na niebie blade złocistym, wielkim rogałem księżyca. Okna ciemniały wczesnie. Rozpychano je naościęz, drewniane ramy skrzyślały, szyby cienko podzwaniały na lekkim wietrze.

— To ja już pójdę — rzekła Anna i stała dalej.

— Dosyć się dzieci chowa na całym świecie i moje nie zginie — nieoczekiwanie twardo powiedziała Julka. — Przyszłoby wyginąć wszystkim biednym ludziom, żeby na to patrzeć, nawet i tego nie mieć? — Oczy jej błyszczały surowo, groźnie.

— Tak — rzekła Anna — to prawda. Pani sobie już poradzi. —

Czekała chwilkę, ale Julka nie powiedziała nic więcej. Wtedy wyciągnęła do niej rękę. Pożegnały się. Do bramy Julka zawołała na nią:

— Dziękuję. —

Anna skinęła jej tylko zdaleka. Ledwie wyszła na ulicę, spotkała Stefana. Musiał tu już czekać jakiś czas.

— No i co? Rozmawialiście? — spytał żywo.

Podniosła oczy:

— Julka chce przecież mieć to dziecko. —

Stał przed nią zmarszczony. W jasności latarni

widziała twarz z twardymi szczękami i krzywą, czerwoną blizną.

Już chciała się przed nim wytłomaczyć, że mu nie pomogła, kiedy on zaśmiał się krótko i machnął ręką:

— Niech i tak będzie. — uśmiechnął się prawie wstydliwie — Chce się mieć swoje dziecko, żeby było z nas.. —

Pomilczeli chwilę...

— Muszę iść teraz — powiedziała Anna — jutro pewnie przyjdę popołudniu, jeżeli będziecie w domu. —

— Przychodźcie napewno — zawołał, przytrzymując jej rękę — a może teraz iść kawałek, odprowadzić was, co? —

— Pojadę, nie trzeba — wzbraniała się Anna gorąco. Nie wiedzieć czemu, nie chciało jej się za nic iść z kimkolwiek ulicą. Poszła sama.

Zdaleka, w sinych światłach leżał Plac Broni. Na Pokornej ludzie siedzieli na kamiennych schodkach przed zamkniętymi sklepami.

W przejściu obok jakiegoś domu zapachniało delikatnie i słodko. Za białym płotem składu drzewa kwitło lato zabłąkaną w te strony pojedynczą, wonną akacją.

Ale dalej były sklepy śledzi. Nietylko za dnia, jeszcze wieczorem, przez całą, niedługą ulicę do końca zalatywały ostro, słono i mdło.

..Tej nocy w którejś chwili w kuchni, na swoim wąskim polowym łóżku obudziła się Anna. Usiadła

na łóżku. Drżała. Może coś jej się śniło. W niejasnych obrazach był szpital i wędrownka po Belwederskiej i jakaś droga zapomniana dokądś przez most, a może nie było wcale snu, tylko nagle obudzona rozpacz.

Jakby kamieniem przywalono serce. Wkopała twarz w poduszkę. Nim zdążyła oprzytomnieć, powstrzymać się, wybuchnęła w nią dzikim łkaniem.

Łóżko zatrzęsło się boleśnie, zaskrzyphiało w słabych zawiasach, zajęczało pod nią. Przygryzła szorstkie płótno poduszki.

Powstawały w jej myśli słowa. własne, a jakby nie przez nią powiedziane. Nie poznała ich, nigdy nie mówiła niemi do siebie. Teraz powiedziała w samą głąb gorącej, mokrej poduszki:

— Moje dziecko.. Mogłam mieć dziecko.. —

Gdzieś za tem wszystkim było ogromne zdumienie, że mógł człowiek tak wyć nieludzko, mógł tak przegrywać, dławić się własną boleścią?

Rozdarły się nagle zasłony, w których się żyło, łamało wszystko, żeby zdobyć, co się chciało, czego się pragnęło nawięcej, najżywiej, własną krwią.

Mogło tak mijać coś, żeby z tego nic nie zostało, żaden ślad? Ciskała sobie samej.

— Wtedy, kiedy go kochałam, mogłam je mieć, wtedy.. —

Jeszcze jedna ludzka myśl żyła w niej Żeby być cicho. Zębami chwytiała własne ręce. Pomagało. Inny jeszcze ból zaczynał docierać do świadomości, uspakajając, kiedy go czyniła lżejszym. Poduszka zapadła

nad jej głową. Może jeszcze krzyczała w nią coś. Nigdy już nie wiedziała tego.

Łóżko trzeszczało jękliwie. W korytarzu szurało coś miękko, człapiąco. Drzwi się poruszały. Nie słyszała nic.

Dopiero, kiedy ktoś uniósł niezmierny ciężar poduszki przesyconej goryczą łez, drgnęła, usiadła gwałtownie.

Znajomy głos, od najpierwszego dnia życia znajomy, zrosnięty z wszystkimi dniami i nocami, płynący we własnej krwi, powiedział strwożony i czuły, jak niegdyś, chyba sto lat temu:

— Andzia.. —

Oddychała ciężko, odpoczywała. Twarde ręce dotknęły jej mokrej twarzy, głos był niezwykle cichy i o nic pytał. Wtedy Anna zarzuciła ręce na szyję chudej, zgarbionej postaci i tak została.

Łzy zaczęły płynąć wolniej, łagodniej i nareszcie były to dawne łzy dzieciństwa i młodości, które płynęły, żeby przynieść ulgę.

Mama schyliła się nad nią. Coś musnęło zlekka, przesunęło się po gorącej twarzy Anny. To były włosy mamy rozplecione na noc, rzadkie i sypkie jak popiół.

.....Następnego dnia padał letni, obfity deszcz, kiedy Anna ze swoją teczką spieszyła na Stawki do Stefana.

Myślała, o ludziach, którzy mogli tam być z nim i o tem, czy potrafi być z innymi taka jak Andrzej.

Jedno było im przecież wspólne. Wiedziała jak

bardzo pragną wiedzieć wszystko, jak zasypują niezliczonymi pytaniami. Wszystko, co się działo miało dla nich jedno ukryte, ale niezmiennie prawdziwe znaczenie.

Oddawna już znali prawdziwą ważność pozornie odległych spraw.

Czyż nie była to ta sama droga, która prowadziła ich i ją, poprzez swoją własną, trudną prawdę, do wspólnej jakiejś wszystkim prawdy.

Szła szybko pod letnim deszczem. Pachniał świeżością zmytej zieleni, nawet w brudnych ulicach bliżej ku Murdzielowi.

Po długich minionych dniach, po raz pierwszy oddawna czuła krążenie własnej krwi i tę nawpół zapomnianą radość z uderzenia własnych kroków w twardy bruk znajomych, ludnych ulic.

Ból, który zajął w niej każdą cząstkę, uwolnił tę jedną, która przez cały czas wymykała się wszystkiemu. Coś było zawsze jeszcze, czego się pragnęło, do czego się szło przez wszystkie dni swego życia.

Dlatego jeszcze raz można było zacząć od początku. Jeszcze ten raz i może wszystkie inne razy w życiu, zawsze od nowego początku do tego samego końca. Żeby życie stało się inne.

Małe kino, do którego napływali tłumnie ludzie zatrzymało Annę. W wąskim przejściu tłoczyli się wchodzący, trzeba było poczekać.

Przed kinem na afiszach całowali się kolorowi ludzie, czerwone litery wołały ogniecie: „Miłość dziewczęcia z Hawai“.

Śmieszna rzecz, bolało trochę, kiedy zbyt długo trzeba było stać i patrzeć wprost na te jaskrawe słowa.

Chociaż nieprawdziwi byli ci wytwornie przegięci, całujący się, nudni kochankowie, którym dla egzotyki niezbędna była Hawai, ci w nieskazitelnych ubraniach, zawieszeni nad brudną, nędzną ulicą, na wprost wózka ze zgniłymi jabłkami, które sprzedawał obdarty chłopak.

Tylko słowa, które są zawsze jednakowe, w patetycznym frazesie i powszedniej prostocie, za biedne na uczucia, za wielkie, za przesadne na czyjaś prawdę, godziły w nią znajomym ostrzem.

W niewidzialnej głębi z powolnym skrzypieniem zaczęła się obracać płyta.

Anna usiłowała przedostać się naprzód.

„Gdy bałałajka gra, melodię życia zna..“ — jęczała płyta lirycznym barytonem, w którym chrypiały ciche trzaski.

Wtedy Anna zatrzymała się na sekundę. Stanęła. Poznała ją.

To wszystko, ból i gorzycz, która ją trawiła i ta pociecha utajona, którą koił letni deszcz, pełne bólu rozstanie i jutro, w którym już się chciało podjąć nowy trud — to była właśnie ona.

Można ją było nazwać słowami z ochryplego patosu skrzypiącej płyty. Właśnie tak: melodia życia..

Rozpryskując twardo małe kałużki we wgłębieniach wyboistego bruku, biegła Anna naprzód, żeby

jaknajprędzej zdążyć na Stawki, pamiętała, że już przedwieczorem schodzą się lokatorzy.

Latem uliczka Częstochowska zaczynała rozbrzmiewać żywszym ruchem, częstym turkotem wozów i nawet przesywającymi sygnałami trąbek samochodowych.

Zimą odstraszały je kupy niezmicionego śniegu i głębokie, grząskie błoto. Pryskało zawsze spod kół, obrzucało ludzi siedzących na wozach pulchnymi, lepkiemi płatami.

Latem błocko po długim, upartem wysychaniu zamieniało się w grubą warstwę kurzu na kocich łbach, odsłaniając je wreszcie ludzkim oczom, szare, czarne i rude, gładko oszlifowane niezliczonymi kołami, które po nich przeszły.

Z łoskotem dudniły teraz tędy wozy i niezdarnie, miękko na gumowych oponach podskakiwały ciężarówki.

Uliczka w letniem, odświeżnym słońcu leży przesłonięta chmurkami kurzu, dyszy jednostajnie i miarowo ciężkimi oddechami Olkowskiego i Nonplusu.

Kiedy sierpień idzie ku końcowi, upały stają się duszące, słońce płonie białym żarem, gdzieś padają ludzie od porażen, na ulicach tanio, za bezcen sprzedaje się na wózkach zielone, robaczywe, albo wiatrem przedwcześnie strząśnięte jabłka, już tu i ówdzie pokazuje się coroczny gość, tyfus brzuszny,

wtedy na Częstochowskiej stoi Be-Te-Ha, Olkowski robi cztery dni w tygodniu, Nonplus trzy.

Komin Be-Te-Ha sterczy wystygły i martwy między dwoma gęstymi oddechami sąsiednich kominów w te dni, kiedy tamte żyją.

Tego dnia przed Olkowskim ciężarówka czekała na skrzynki gwoździ. Wozy omijały ją z trudnością na wąskiej jezdni.

Kiedy przejeżdżały, ludzie przestawali ładować, oczy zasypywał suchy, gryzący kurz. Zasłaniał je, pluli kaszleli i przeklinali. Przed otwartą furką Nonplusu pracował człowiek. Ubijał twardo grunt łopata. Obok leżał wykopany, stary, w kawałki pęknięty kamienny fliz.

Ludzie weszli dziś przez wyjazdową bramę, razem z taczkami, które przyjechały po towar.

Rozchodzili się na dół do szlifierni, na pierwsze piętro do sortowni i na górę do fajlarek i wirówek.

Na schodach spotkali się Urbański i Zając. Cicho powiedział Zając, zwracając krzywą łopatkę do Urbańskiego:

— U Bicińskiego piętnaście procent zdjęli. —

Urbański pokiwał głową, siwe wąsy poruszyły się:

— Już wiadomo było, jak nam wtedy zdjęli, że w tej samej branży wszystkim zdejmą. —

Poszli na górę. Już od rana spostrzegli wszyscy, że był dziś na Nonplusie ruch większy niż codzień.

Niewiadomo skąd i przez kogo, chyba z biura

i pewnie przez ryżego Mundka zaczęto mówić, że się spodziewają nowego inspektora pracy.

Już się pokazywał w sąsiednich fabrykach.

A nowy, wiadomo jak nowy. Zawsze mu się coś nie podobało, poto był, żeby wprowadzać jakieś zmiany. Przychodzili tedy ważni, wielcy wśród ukłonnów dyrekcji i ciekawych spojrzeń robotników.

Węszył taki przy dolnych kołach, że tutaj mają być siatki ochronne, zaglądał tu i owdzie, a już każdy krzywił się napewno na stary grat wentylatora.

Wychodził surowy i zmarszczony, po jego odejściu na jakichś drzwiach wypisywano czerwoną farbą „Wyjście zapasowe“, na dole, gdzie stały puste paki poprawiano napis „Jadalnia“, wysuwano te paki, które poprzednio były zabrane, potem wieść o inspektorze ginęła na długo.

Dzisiaj od rana w sieni myto okna. Potem przystawiono drabinę do ściany. Ryży Mundek trzymał, stary Kulesza wlaził na dwa stopnie, żeby sprawdzić gaśnice.

W sieni przez otwarte okno płynęło ciepłe, błękitne powietrze sierpniowe. Pył w niem przeświecał cienkimi zwojami.

Ryży Mundek coraz to latał po schodach w górę i w dół, po szczotki, po ścierkę, znów pokazywało się, że co która gaśnica wyładowana.

Buch, buch uderzały twarde podeszwy płótniaków w drewniane, próchniejące drzewo schodów.

Stopnie miesiącami ścierały się coraz bardziej, zapadały, rzekłbyś, zrównają się kiedyś z samą dREW-

nianą podłogą sieni, zbliżą do kamienistego podwórza na dole. W sieni na ścianach ciągną oczy muchami upstrzone, kolorowe plakaty ostrzegawcze. Jeden plakat: Kaleka. Noga o kuli, podwinięta w górę pusta nogawka spodni. Pod pachą szczudło, w ręku czapka. Stoi przed zamkniętymi drzwiami Ubezpieczalni od Wypadków. Z boku duże napisy „Uważaj na niebezpieczeństwo przy pracy“ i „Żadna renta nie wynagrodzi kalectwa“.

Przy tym plakacie stawali ludzie pierwszego dnia, kiedy go powieszono. Ebo to było jak obraz z filmu. Nawet tamten człowiek miał tak pochyloną głowę przed drzwiami, które wyglądały, jak zamknięte głucho.

Wtedy mówili do siebie. Jakie ostrzeżenie, albo to kto naumyślnie ręce pcha w tryby?

Drugi plakat był równie żywy. Od góry koło z transmisją i ukośny napis:

„Nie nakładaj pasów rękami na koła w czasie biegu“.

Dziwny napis. Każdy wie: Najlepiej w biegu. A jak to? Zatrzymać fabrykę, kiedy jeden pas zleci? A nakłada się od zawsze ręką albo krótką drewnianą pałeczką. Jak pamięć ludzi na Nonplusie sięga, nic innego na to niema. Chyba wymalować na obrazku.

Plakaty wisiały miesiącami, soczyste kolory wyblakły i pył je pokrył. Należały do fabryki jak ściany, przestano je dostrzegać.

Stary Kulesza na drabince stękał przy gaśnicach, sprawdzał, zawieszał spowrotem i swoim zwyczajem

mruczał do siebie, jeżeli nie było gdzie blisko ryżego Mundka. Potem zlął ciężko i poszedł sprawdzić węże do wody.

Leżały pozwijane, wyschłe, skurczone upałem i długiem leżeniem.

— Toby był bal, żeby się paliło. Wszystko, psiakrew, sparciałe — zamruczał głośniej.

Ryży Mundek po raz niewiadomo który gnał na górę. Teraz włókł wielką, podwójną drabinę. Dyrektor kazał jeszcze sprawdzić wentylator.

Mundek otworzył na górze drzwi hali. Zaskrzyptały, jęknęły, ludzie chciwie podnieśli oczy, ale mało kto uwierzył, że dziś Mundek wskazuje na godzinę. Każdy już miał wyczucie swoich godzin, wiedzieli, że to zawczasie.

Mundek po złodziejsku oczami zamrugał do nich, uszykował drabinę i zaśmiał się szeroko zdrowemi, złotemi zębami.

Rozczarowana Julka odwróciła oczy. Miała dziś znów swój zły dzień. Upał był taki, że niektóre kobiety zamiast sukni, nosiły wprost swoje fartuchy z rękawami, ręce odrywały się wciąż od roboty, żeby ścierać pot, który kapał aż do ust słonemi kroplami.

Słońce zalewało całą halę, nowe wirówki jarzyły się błyskami srebrnego metalu. Rano szuflami zebrano pył z podłogi. Uciekał, ukrywał się, wlaził w oczy, w uszy, w usta. Julka zmęczonemi oczami żałośnie popatrzyła na drzwi. Przez cały czas nie czuła żadnych znaków, o których zwykły mówić kobiety. Nie mdliło, niczego się nie zachciewało, może dlate-

go, że wiadomo było: nie pomogą żadne zachcianki . Tylko jedno. Nogi puchły od stania. Zrobiły się ciężkie jak żelazne słupy, wrastały w ziemię, piekły, kłuły, rozpychały pantofle, aż je zrzuciła i stała łośo.

Na sercu dźwigała kamienie trosk. Stefan jeszcze wciąż był bez roboty, a czas szedł.

Jeszcze nikt nie wiedział o niej, chyba Andzia, a już sama zaczynała myśleć:

— Wytrzymam aby takie stanie przez cały czas? —

Ale nie ona była jedna. Każdy człowiek z tego szeregu miał swoje kamienie, a już tak się znali nawzajem, że po sobie patrząc, mogli zgadywać, co komu między jednym ruchem, a drugim chodzi po głowie.

Stary Urbański zawsze najprędzej obracał grzebieni z dwóch stron. Migał jak płomień, dotykając kamienia, wydawał krótki, twardy zgrzyt i był gotowy.

Urbański miał trochę duszniczy. Kiedy przychodziły letnie dni, duszne i słoneczne, tłusty pył wysychał i tak się mieszał z powietrzem, że go się piło głębokimi haustami. Wtedy Urbański zaczynał kaszleć i chrząkać. Nie od zimna jak inni, ale od gorąca.

Kiedy płynne złoto słonecznych płomieni rozlewało się na jego kole i ogrzewało mu krzywe, pogięte od roboty paluchy, liczył niespokojnie, wyrывая ciężko oddech z gardła i uspakajał się, że się już nie długo lato skończy.

Szła zato wtedy znów chlupocząca, zimna jesień,

wszystkim trzeba było butów i węgla. Tedy między jednym grzebieniem a drugim do wygładzenia z obu stron, w błyskawicznym migotaniu, starczyło akurat czasu na jedno: psiakrew...

Od Urbańskiego na prawo robił wysoki, kościsty Piotr Chudzielec, głośny oddawna, krzykliwy i śmiały.

Chudzielec w ostatnich tygodniach z nowymi ludźmi się pokumał. Tajemniczy i ważny. Najczęściej Urbańskiemu swoje nowiny opowiadał że się i u nas w kraju ma odmienić jak już się w Niemczech, za granicą zmienia, że pacholków żydowskich i tych co piją krew ludu spotka zasłużona kara.

Owszem, na to Urbański kiwał głową z uznaniem. Nie, żeby to takie nowe było, co Chudzielec przynosił, nawet mogło się zdawać, że każdy kogo innego o tę krzywdę posądzał i na innego do walki się szykował, już nie od dziś, gdzie...

Minęły długie lata, maszyny już się zmieniły od pierwszej do ostatniej, fasonów grzebieni było chyba ze sto od tamtych, dawno zapomnianych dni, kiedy Urbański, młody fajlarz, (może się dopiero żenił wtedy), pierwszy raz usłyszał o karze za krzywdy ludu.

Albo to ktoś powiedział, albo się przeczytało na słabo odbitej ulotce. Lata przeszły, ludzie mijali, wołali te słowa, obrywali za nie krwawo, albo uspakajali się i pokornie wlekli swoje życie, czas szedł, krzywdy były.

I słowa też zostawały. Nawet, kiedy je Chudzielec trochę odmienione z małymi zmianami przyniósł, po-

znawał je Urbański i głową kiwał, ale z Zającem Chudzielec do oczu sobie skakali.

Zając na każde słowo tamtego, swoje inne. Że w Niemczech, zagranicą źle, że się nic nie poprawiło, tylko, lud pracujący tumania, a robotniczej krwi more wyleli, że nie tak właśnie, a całkiem inaczej ma być — i będzie.

Wtedy już Urbański myślał, że najważniejsze grzebień raz dwa obrócić, żeby najprędzej i najwięcej zrobić, że im się samym uprzykrzą te słowa i przecież kiedyś zestarzeją się. Bywało i tak, a potem ni stąd ni zowąd, gdzieś zbliżka buchały jak nowe płomienie skrytego głęboko, tłamszonego, deptanego, a wiecznego ognia.

Tak je poznał wtedy na czas strajku, kiedy je mówili wszyscy, Dolis, Pietrzak i Zając i nawet chuda tyka, Sikorzanka zgóry.

Dopiero później, po tych dniach zaczął Piotr Chudzielec krzywo na Zająca patrzeć. Naszczekiwali na siebie, trzymali się z trudem zdaleka jak psy na łańcuchach. Spuścić — zagryzą się.

Nakładając szybko grzebyki jeden po drugim z całej garści, Julka w milczeniu spoglądała po nich, jednym skrótem mogłaby powiedzieć co sobie szepta- li i co znaczyło, kiedy ktoś wierzchem dłoni błyskawicznie przejeżdżał po czole.

Na sekundę oderwała stopę od podłogi, przytrzymała w powietrzu. Stopa zawisała jak ciężar na sznurze.

— Nie wytrzymam chyba — pomyślała Julka

i na samą myśl, pot na czole i na szyi zaczął stygnąć i zimnym strumykiem ciec po rozgrzanej skórze.

Cała jedyna nadzieja była zawsze na wytrzymanie.

Raptem drzwi się otworzyły, dobroczynny przeciąg musnął mokre czoła, tylko Andzia Sikorzanka mruknęła gniewnie:

— Drzwi zamykaj, cug... —

To ryży Mundek wchodził do hali i niósł wysoko jak sztandar płaski, pusty kosz.

Podszedł do stołu Pawlakowej zmiótł do niego jedną ręką grzebienie. Posypały się z kościanym chrzęstem.

Julka odetchnęła, wyprostowała się i — aż drgnęła ze strachu. Przetrzywała chwilkę i dwa grzebienie za długo ostrzone, pękły, skruszyły się. Braki odliczano.

Z rozpaczliwą uwagą szarpnęła się nanowo, prędeej, żeby nadrobić. Raz, nałożyć, dwa, wyjąć.

Wtedy z wysoka cienko, donośnie zaczęła przeciągle nawoływać syrena Nonplusa.

Obiad. Ludzie ruszyli się odrazu, mężczyźni powstawali, kobiety odeszły od maszyn i stara Pawlakowa wylazła z za stołu. Każde z nich pierwszym ruchem otarło pot.

Józka Olszewska i Mania z chichotem pierwsze zbiegły nadół. Julce ścisnęło się serce. Wiedziała, że to do nowego szlifierza lecą. Już innego przyjęli.

Był przystojny, choć ospowaty. Tam obok niego przechodziły i robiły miny. Bo już był nowy, nowy...

W niepamięć sypały się niedawne sprawy, a choć dziewczyny nic złego nie robiły, brała Julkę na nie głucha złość:

— O, tyle zostawało z wszystkiego, stefanowego czynienia... —

Ostatni ludzie schodzili już i Julka wyszła za nimi.

Przyjęła ich świeżo zamieciona, jasna sień, stopnie odsłoniły się spod pyłu, wydeptane, poszarzałe od mycia, z drzewa jakby zmiękłego pod nieustannym ciężarem ludzkich stóp, okna z oczyszczonymi szybami, z lichego, pełnego skaz szkła i czerwone, lśniące gaśnice, cały Nonplus wystrojony w przezroczyść szyb, odświętny, odmieciony z kurzu i nieprawdzywy.

Julka usiadła na stopniu wpoprzek, plecami oparła się o ścianę i stopy wyciągnęła przed siebie. Tak odpoczywały najlepiej. Nie chciało jej się nawet jeść, byle tak siedzieć do wieczora i jeszcze dłużej, dopóki wreszcie odczepi się od nóg, niezmierny, przez całe lata codziennego stania wrośnięty ciężar.

W poprzednich dniach dosyć ją nastraszyła Andzia Sikorzanka. Taki był w jej oczach strach, jaki się wtedy pokazał u Dolisowej Anny. Tyle, że tamta zaraz przycichła, cała się w słup zdumienia i niezrozumiałej boleści przemieniła. Wydało się wtedy: Zawsze kobieta nie to co chłop, zaraz zrozumie, co też znaczy mieć dziecko.

Andzia zato lepiej swojskiego życia świadoma, wciąż nad nią tylko szepcze:

— Oj Julka, żebyś nie żałowała. Namordujesz się całe życie. Do tej roboty z brzuchem chcesz chodzić, co? Na te czasy wybrałaś? Nie licz na chłopca. —

A Julka nic. Jak kamyczkami w wodę. Zabolą słowa, przestraszą głodem, męką, boleściami, śmiercią z białych skrzyżowanych pischeli na żałobnych chórach — i nic.

Zwiera się znów fala, rozpluwają się i tylko spokój zostaje i ciepłe oczekiwanie, jak też wyglądać będzie ono własne dziecko, żeby miało coś ze Stefana, a coś z Julki.

Nad nią schody trzeszczą pod krokami. Urbański i Zając schodzą na samym ostatku. Śmieją się:

— A ty jak siedzisz? —

Julka zawstydzona prędko spuszcza nogi. Urbański pośmiał się i idzie dalej.

Julka zobaczyła jego okrągłe, przygarbione plecy i zaraz odwróciła oczy. Pamiętała żeby teraz tylko na wysokich i zgrabnych ludzi patrzeć.

Uśmiechnęła się do Zająca: — Skwar, co? — i już znikły jej z pamięci zmęczone, okrągłe plecy starego fajlarza.

Nie odgadłaby, że już tam w niej tkwią, wmurowane, że się przypomną jeszcze dzisiejszego dnia i wielu innych późniejszych.

Zając przysiadł o stopień wyżej:

— Co to Julka ostatnimi czasy bez piątek na niedzielę patrzy? —

— Eh nie — rzekła smutno — ino w te gorączki tak się człowiek zmarnuje, że i mówić się nie chce. —

— Bo to i Stefana jużem parę dni nie widział. Myślałem pokłócili się, czy jak? Dlaczego Stefana nie widać? —

— Będzie dzisiaj. Już ja sama nie chce, żeby go tu tyle widzieli. Niech pan sam powie, panie Zając, było to wtedy naco jemu? Zawsze inni robią, żyją, a on tylko się umorduje. Czasem myślę, niechby już lepiej i zdjęli tamto. Przy maszynach i takby jedna na dwie nie wystarczyła. —

— Ale, nie starczyłaby. Jużbyś się sama dawno wzwyczała. Tyle że jeszcze ciężejby szło. Młoda jesteś to i nie wiesz, jak dawniej bywało. Pierwszy to raz ludzie ruszyli się u nas i choć coś se uratowali. Może dlatego, że już naprawdę nie szło tak wyżyć. A jak choć raz wytrzymali to wiadomo, już się nie uda, uchwalić, zabrać i dobrze... —

Ale Julka cały czas uparcie głową przeczyła, aż zawołała gorąco:

— Zawsze inni robotę mają i zarobek, choćby najgorszy. A on co? —

Zajac zmarszczył się, czołem pobiegły dwie głębokie bruzdy. Siedział i szukał, szukał trudnych słów, jakby to objaśnić, co się zmieniło przy strajku, dlaczego nie szkoda mu było Stefana, szukał jak zgubionej rzeczy, o której było wiadomo, że musi napewno być gdzieś blisko, a przecież nie dawała się znaleźć.

Bo Nonplus stał niby ten sam, jednakowo kto siedział przy maszynach na górze, kto na dole nad kamieniem szlifierskim i przy polerowaniu, nic się na lepsze nie zmieniło w ich życiu, wszystko szło po sta-

remu, tak jak o jednej godzinie wychodziły codzien z sortowni czworokątne paki z błękitnymi etykietami, na których stały nieskrócone słowa: Non plus ultra.

— Inspektora się spodziewamy — powiedział Zając, pokazując w krzywym uśmiechu rzadkie, ciemne, pokruszone zęby.

— Dlatego się do wentylatora zabierają — zrozumiała Julka i przymknęła oczy, bo jej się kleiły w ciepłej, złocistej smudze słońca.

Słońce można dziś było znieść jedynie tutaj w chłodzie sieni. Zając dzwignął się powoli:

— Pójdę na papierosa — rzekł.

Skinęła mu tylko. Od schodów szedł przyjemny, nieznaczny chłód. Nad głową Julki świeciło słońce w szerokiej smudze. Smuga drżała na sino pobielanej ścianie i płonęła krwawo na jednym z plakatów.

W czerwono złotej łunie i czarnych kłębach dymu uciekał tam człowiek. Niżej wielka ręka trzymała papierosa tuż koło napisu: Nie palić.

Od tego plakatu Julka codzien odwracała oczy, żeby się czasem nie urodziło z płonącym znamieniem ognia.

Z łagodnego wypoczynku codzien gwałtownie wyrwał ludzi najpierw głęboki bas Olkowskiego. Już ku końcowi zdarzało się, że mu towarzyszył cienie, przeciągle Nonplus.

Sień na dole zapełniła się tupotem nóg, Julka słyszawszy je, wstała otrząsnęła się i poszła.

W hali już od drzwi uderzyła gorąca, złota spiekota. O tej porze świeciło słońce w same wielkie,

drobnymi szybami pokratowane okna Nonplusu.

O drugiej stanęli do roboty. Świeżo wyczyszczony wentylator nieco mocniej skrzydłami przecinał gęsto pyłem nasycone powietrze. Odmieciona podłoga i sufit wychylały jaśniejsze, niecodzienne oblicza. Gaśnice były czerwiejsze niż zazwyczaj. Tylko ludzie stali, siedzieli powszednim szeregiem przy robocie.

Od Julki na lewo Andzia Sikora z okrągłymi rumieńcami na twarzy i suchym, piersiowym kaszlem, na prawo szczerbata, chichotliwa Józia Olszewska.

Wszystkie w szarych fartuchach i chustkach na głowie, od początku aż do samego końca, do drzwi, gdzie stała pierwsza wirówka, jednakowymi ruchami, krok naprzód, krok wstecz, poruszały się jak szare koła tej samej maszyny.

Ludzie przy fajlarkach ruszali się inaczej. Mogli szybciej lub wolniej do pewnej granicy. Nad granicą były dodatki, poniżej niewolno było robić.

Nabierali wprawy. Jak cyrkowi kuglarze jednym ruchem przerzucali skończony i tym samym ruchem, nieuchwytnym dla oka, porywali nowy grzebień.

Pasy furczały, koła obracały się z hukiem, przesuwacze u wirówek szczękały, ludzkie ręce migały wysoko, albo całkiem nisko. W słońcu było widać jak na ścianach, na suficie i podłodze rozpylał się obficie świeży kurz.

Wtedy przeciągle zgrzytnęło i zwolniło biegu koło w fajlarce Urbańskiego. Zgóry jakiś trzask przedostał się poprzez szum pasów, jego maszyna zahamowała nagle bieg.

Urbański ciężko schwytał oddech jak wyrzucona z wody ryba. Poznał odrazu i podniósłszy oczy zobaczył potwierdzenie. Na górze obsunął się pas. Niepotrzebnie i martwo obwiśł wśród szalonego biegu i nieustannych, błyskawicznych obrotów innych sąsiednich kół i pasów.

Urbański podniósł się i wziął ustawioną w kącie drabinkę. Była tu właśnie dla podnoszenia pasów, które spadały niekiedy. Pociągnął ją za sobą. Narysowała za sobą na podłodze cienkie, długie ślady. Potem ustawił i sprawdzwszy, czy dobrze stoi, zaczął włączyć ciężko szczebel po szczeblu.

Ludzie na dole ledwie podnieśli oczy. Nad fajlarkami grzebienie migały jak żółte błyskawice. Przy wirówkach z hałaśliwym wycinaniem zębów w grzybkach łączyło się przeciągłe dzwonicie.

Wtedy nagle wstrząsnął ludźmi, przeszył, zatrzęsł całą halą nieczłudzki krzyk opętany strachem i boleścią, tak przeraźliwy, że kamienny turkot kół i szum pasów i metalowy bieg maszyn ucichły przy nim jak bzykanie muchy.

Wszyscy rzucili się razem. Piotr Chudzielec i Zając i Pawlak i młody SitarSKI. Niewiadomo kto pierwszy pochwycił drabinę, wszyscy razem porwali człowieka, szarpali, wrywali go oszalałym, pędzącym kołom, które uparcie i niezmordowanie biegły za swoim jedynym prawem obrotu.

— Zatrzymać na dole — wrzasnął ktoś.

Andzia Sikorzanka rzuciła się ku drzwiom i nadół. Kobiety, porzuciwszy maszyny, zaczęły płaczem

pomagać, niektóre zaś rzuciły się ku drabinie i próbowały uchwycić z innymi żywy, ludzki kłęb.

Nad nimi nie ustawało wycie, niosło się ponad maszyny, huczało, wdzierało się w uszy ludzkie, żeby już nazawsze zostawić tam część swego dźwięku.

...Wydarli go owemu kołu. Jak wór rzucony z wysokości zaciężył im na ramionach. W rozdętej krzykiem, potwornie skrzywionej twarzy wyblakłe źrenice rozszerzyły się, zalały całe oczy.

Już był na dole, na samej czysto odmiecionej podłodze, a jeszcze był otwartymi straszliwymi ustami. Chwytały szeroko powietrze. Już nie oddychały drobnymi chwykami dusznicy.

Na pierwszą, ciekłą warstwą pyłu, która ścieliła się już delikatną bielą na podłodze, szeroką, hojną strugą ciekła krew z miękkiej miazgi szeroko rozchlanej w tym miejscu, gdzie pięć minut temu w rękawie brudnej, szmacianej koszuli tkwiło suche ramię Urbańskiego.

Na górze nieustannym pędem biegły koła. Wszystkie pasy były założone, maszyny huczały metalowym biegiem, ale przy nich nie było nikogo. Z góry nadół kapały gęsto ostatnie krople krwi.

...Andzia Sikorzanka pędziła wdół.

— Na pomoc! — wołała niewiadomo do kogo w biegu.

Stopnie jęczały pod nią. Z hali dochodził tylko zwykły, odległy szum. Mundek przepychał się właśnie przez drzwi sortowni z wielką paką.

On pierwszy wrzasnął:

— Co jest? — i cisnął paczkę.

— Rękę Urbańskiemu zgniełło — krzyknęła rozpaczliwie, lecąc naoslepek wdół.

Ale ryży Mundek wyprzedził ją. Zielone, małe oczy prawie mu na wierzch wyszły w bladej piegowatej twarzy. Runął wdół jak kamień ciśnięty z wysoka i tylko już z parteru krzyknął:

— Zatrzymać? —

— Tak — jęknęła bezradnie, przystając Andzia. Ale już nad nią od góry trzeszczały schody pod szybkimi krokami innych pędzących po pomoc.

...Piotr Zienkiewicz trzymał w ręku przyniesiony rachunek. Przeglądał, sprawdzał pozycja po pozycji. W pamięci sumował długie kolumny.

Wtedy otworzyli drzwi, szarpnęli niemi dziko, wdarli się bez pukania. Zienkiewicz zbłądł. Jakieś odległe wspomnienie, któraś z tysięcznych nocnych obaw ścisnęła mu serce. Rękami oparł się o biurko. Czekał.

Wysoki, gadatliwy, ale niegroźny i zawsze uprzejmy Piotr Chudzielec zawołał:

— Wypadek u nas, rękę wyżej łokcia poszarpało. —

Zienkiewicz wstrząsnął, się:

— Przy czym? —

— Pas zleciał, a on wszedł na drabinę.... — zaczęła Andzia.

— Trzeba zatrzymać — powiedział Zienkiewicz.

— Już zatrzymane. —

Zmarszczył się, chciał coś powiedzieć, ale młody

Sitarski, nie czekając, zawołał:

— To możeby po doktora dzwonić... —

Zienkiewicz przyciągnął grubą książkę. Ręka mu jeszcze drżała. Szukał pospiesznie numeru Pogotowia Ubezpieczalni. Szukając spytał:

— Komu to? —

— Urbańskiemu — odrzekli posepnym chórem.

Zienkiewicz podniósł słuchawkę, połączył się. Prosił, żeby prędko. Powiedział:

„Moje uszanowanie“, tonem, którego nie słyszeli często ludzie z Nonplusu. Potem popatrzał na stojących. Czekali jeszcze. Wzdrygnął się i mimo nich poszedł naprzód. Jeszcze tylko odwrócił się do urzędniczki:

— Pani opiekuje się apteczką, proszę tam zabrać co trzeba. —

Poszli przez podwórze. Zienkiewiczem chłód wstrząsnął w samym słonecznym skwarze. Pojedyncze wróble ćwierkały na kamieniach. Ludzie szli za nim. Mieli rozpięte, brudne koszule, na twarzach pot. Ścierali go wierzchem dłoni.

Szczupła, wysoka panna z warkoczem owiniętym koło głowy wyprzedziła ich. Biegła do apteczki.

Na czole Zienkiewicza leżały głębokie zmarszczki. Chodziło o zasadę. Samby natychmiast kazał zatrzymać, ale zrobili to oni bez pytania. Spojrzał na Sitarskiego. Tamten myślał, że chce zapytać, zaczął mówić:

— Bo na tem kole... —

Ale Zienkiewicz nie słuchając go, wszedł do sieni.

Już zdołu usłyszeli kroki, bieganinę i jęki. Ruszyli go — pomyślała Andzia.

— Sami wszystkim rozporządzili — przemknęło Zienkiewiczowi.

Na trzeciem półpiętrze leżał ranny. Ludzie stali wokoło. Kobiety zalane łzami. Twarze pełne zgrozy i lśniącego potu wołały wciąż ku rannemu, przekrzykując jego jęki.

— Zaraz będzie doktor. —

Urbański miał na oczach do połowy zsunięte powieki, było spod nich widać białka. Wargi miały kolor żelaza.

Na wyższych stopniach, którądy go zniesiono, narkreśliła się cienka, czerwona smuga. Plama pod nią była jak kropka pod długim wykrzyknikiem.

Panna z opatrunkami i jodyną przepychała się między ludźmi.

— Nie spojrzę, bo zemdleję — uspakajała się, podchodząc blisko.

Ranny jęczał, ludzi czuć było potem, robiło jej się mdło. Nienapróżno bronila się przed zawiadywaniem apteczką i kierowaniem pomocą.

Jodyna w małej butelce odrazu okazała się głupia i niepotrzebna. Prócz niej miała gazę, watę i bandaż. Ale gdzież to położyć? Zbliża krwawa płachta przesłoniła jej oczy. Naoślep prawie dotknęła kłębem waty.

Wata zmiękła opadła, utonęła w krwawem wnętrzu. Zamachała rękami, słańiała się.

— Niech pani zostawi — powiedziała jakaś ko-

bieta. Usunęła się, zawisła u poręczy, posiniała. Cóż to byli za ludzie, że mogli tam stać zbliska?

U parteru szły nowe kroki. Ludzie z kotłowni i szlifiarze z dołu, kobiety, polerowaczki przychodziły dowiedzieć się, co było.

Pierwszy Mundek na schodach dojrzał krew. Patrzył, patrzył, aż go zamdliło.

— To trza będzie myć znów — pomyślał najpierw, nim zobaczył żelaziste wargi Urbańskiego i wspominał jego najstarszego Antka, z którym dawniej grywali w klipę. Ile ich tam było jeszcze wyliczył ze strachem. Baśka, Kaziak, Zbychu i Gienia... Nie doliczył wszystkich, splątało mu się, bo pan Zienkiewicz z całej gniewnej mocy huknął wdół:

— Rozejść się wszyscy. Co to za spacer? Zaraz będzie doktor. —

Potem jął wołać Kuleszę, a kiedy stary Kulos poczłapał na górę, zawołał mu:

— Koło oczyścić, za piętnaście minut puścić znów. —

Ludzie z parteru nie weszli już na górę, ale ci, którzy niedawno temu z Urbańskim w jednym szeregu siedzieli, a jeszcze potem zdzierali go z drabiny, poruszyli się niespokojnie.

— Aż doktor będzie poczekamy — szepnęła Sikorzanka Julce.

Zienkiewicz z żalem rozłożył ręce, kiwał głową. Nigdy nie uważają przy tych pasach, pomyślał, ale nie chciał już robić wymówek.

— No cóż — rzekł — zaraz pewnie nadejdzie

Pogotowie to was opatrzą, — i bardzo szybko zszedł po schodach.

Ludzie koło Urbańskiego stali beczynnienie. Przytykali kubek z zimną wodą do ciemnych, stwardniałych warg. Pił, rozlewając po brodzie. Stali. Czekali.

Gaza i wata włamszone do miazgi zwały się z nią w jednej jaskrawej czerwieni. Ludzie nadślucliwali, czy nie jedzie samochód. Nawet ranny przestawał jęczeć i słucał.

Ale było cicho. Nonplus, zatrzymany w ruchu, już się zapadał w odświeżną martwość. Przez świeżo umyte okna płynęło złociste, letnie popołudnie. Gaśnice błyszczwały wesoło. Kolorowe plakaty „Nie palić“ i „Uważaj na niebezpieczeństwo przy pracy“ ostrzegały przezornie.

Porzucony, zapomniany w tej ciszy, ranny jął się bronić nanowo rozpaczliwym wysiłkiem. Jęczał rozdzierająco, z błędnych oczu ciekły bez szłochu wielkie łzy. Julka odwróciła się zupełnie, płakała jak dzieciak. Inne kobiety za nią. Nawet chłop nie jeden odwracał się, bo uderzało do głowy.

Tylko Feliks Zajęc, cały zielony na zapadłej twarzy, unosił go i podtrzymywał, dopóki tamten nie dał znaku oczami, żeby go nie dotykać. Minuty szły. Żaden odgłos trąbki nie dochodził z ulicy. Ludzie w jaśności sieni mrużyli oczy.

Wycie rannego przycichło, stało się jednostajniejsze, a może tylko uszy nawykły do niego.

Stara Pawlakowa szturchnęła najbliższ stojącego Zajęcę:

— Jak za dużo krwi poleci to i doktor nie pomoże, pamiętacie Majchrzaka od Olkowskiego? — wypełniła gorączkowo bezzębnymi ustami.

Zając poderwał się, żeby zejść. Przytrzymali go:

— Gdzie? —

— Na dół — ryknął rozpaczliwie. Niech jeszcze kto idzie, może jeszcze trza dzwonić, żeby prędzej przysłali. Co to jest, zabawa? —

Młody Sitariski już go wyprzedzał, po dwa stopnie skacząc:

— A choćby prywatnego zawołali, co? —

Wysoki kościsty Chudzielec przyłączył się do nich:

— Zginać przy nich człowiek może — rzekł gorzko.

Kiedy szli pospiesznie przez podwórze, szlifiarz Wójcik przyłączył się do nich. Wracał do roboty i chciał wiedzieć, dokąd idą.

— Ruszamy zaraz? — spytał.

— Ale — zawołał Zając, kiedy jeszcze żadnego pogotowia nima —

— To wy do dyrektora? —

Nie odpowiedzieli. Wszyscy razem szli, biegli w stronę biura. Tym razem pukali.

— Co znów? —

Zienkiewicz miał pod oczami sińce, to widok krwi tak na niego działał — od wtedy...

— Niema jeszcze doktora — powiedział mu natarczywie fajlarz z krzywą łopatką. Siwe włosy lepiły mu się do czoła. Na koszuli miał bryzgi krwi.

Panny zaczęły odwracać oczy, któraś zawołała współczująco:

— Może jeszcze dzwonić. —

Ludzie we drzwiach stłoczeni nie powiedzieli już nic, Piotr Zienkiewicz sam w milczeniu podniósł słuchawkę i zaczął kręcić tarczą.

A chociaż czynił to wszystko dobrowolnie, miał przytłaczające uczucie, że ktoś żelaznym chwytem nagina jego ramię, do wszystkiego, co robiło. Dlatego właśnie, odwróciwszy się prawie od nich, ze swoim własnym uniesieniem pytał, kiedy wreszcie będzie karetka.

Ale kiedy „niedługo“? — pytał gniewnie — Trzeba prędeej, człowiek leży we krwi.

W słuchawce szcęknięło. Wszyscy wiedzieli, że tamta strona odłożyła.

Stary fajlarz z krzywą łopatką podszedł prawie do samego stołu:

— To prywatnego — rzekł bezczelnie — prędeej, bo wykrwawi. —

Zienkiewicz podniósł zimno oczy. Ludzie stali ciasno spojeni. Tamten wyglądał, jakby się sam miał ważyć zadzwonić.

— Bezczelność... — rzekł Zienkiewicz — tyle pieniędzy biorą, a nic w porę nie robią. —

Obrzucił ludzi twardem spojrzeniem. Sińce pod oczami miały barwę atramentu.

Nie poświęcając im spojrzenia uwagi, rzekł gniewnie:

— Sam wezwę prywatnego lekarza, to skandal...—

W myśli przeszło błyskawicznie: proces Ubezpieczalni. Już wiedział, rozzuchwalili się, to był sens, ustępstw, przy lada czem pokazują pazury. Powoli, trzeba od początku do końca zmienić cały skład ludzi. Zacząć wszystko od początku...

Tarcza telefonu skrzypiała. Zienkiewicz zamówił najbliższe prywatne pogotowie.

Ludzie wyszli, kłaniali się, dziękowali. On trwał w milczeniu. Nie oszukać go niskim ukłonem.

...Tancerze przez podwórze pędem wrócili do sieni. Powitały ich zaraz jęki. Kobiety płakały na stopniach.

— Jezus, kiedyż to? —

I znów do rannego: Zara, zara, już... —

Wata, bandażami przysłonili krwawą, wylewną ranę. Wkoło mdło pachniało krwią.

Czekali. Nagle sień ożyła, przeszedł przez nią znajomy szum od góry, wstrząsnęła się, ożyła. Na dole puszczono maszynę.

Nonplus ożył, zastukał, zatrzeszczał, zaszumiał biegiem pasów i kół, ruszył w swoją powszednią drogę.

Na to wezwanie do roboty, ludzie drgnęli. Palce same zadrżały, nienawykłe do spoczynku, kiedy pracowały koła i zęby ich maszyn. Ale pasy i koła wciąż samotnie szumiały i biegły w górze. Zdołu nadszedł majster Krall. Zatrzymał się i zawołał w górę: — No dalej, dalej, jak tu jeden z nim poczeka też starczy.—

Feliks Zając stanął przy poręczy. Jego duże stopy w płóciennych podartych pantoflach stały nieda-

leko głowy rannego. Krzywa łopatka naprzód wysunięta nadawała mu wygląd gotującego się do skoku:

— Nie ruszym się, dopóki tu pomocy nie będzie— rzekł tak cicho, że go ledwo słyszeli najbliżsi, ale domyślił się nawet majster Krall o co chodzi.

Urbańskiemu głowa leciała wtył. — Co jest? — wrzasnęła stara Pawlakowa w kuczki przy nim siedzącą. Chustka zleciała jej z głowy, siwe, wyblakłe kosmyki włosów chwiały się przerażone.

Ludzie stłoczyli się bliżej. Dźwigali go, podnosili, nawoływali, krew wałała ich odzienie, ranny wył, kiedy go dotykali, a oni nic więcej nie mogli mu powiedzieć, jak tylko, że zaraz, że tylko patrzeć.

Wtedy z ulicy dobiegł żałosny sygnał karetki, jękliwy i przeciągły. Ostatnia chwila wydłużyła się niepomieranie, ludzie umilkli zupełnie, wszystko patrzyło wdół, gdzie nagle zastukano noszami i na schodach pokazał się niewysoki, tęgi pan z małą lekarską teczką.

Ktoś rzucił ku niemu i gniewnie oczami zaświecił w źrenice, jakaś kobieta rozpaczliwie i zuchwale schwyciła za rękaw:

— Co za porządki, co tak długo? Człowieka bez ratunku zostawia, niech ginie. —

Wszystkie oczy ciskały nienawiść, wszystkie ręce z trudem trzymały się zdaleka.

Pan z małą teczką, choć go nie dotknął nikt, cofnął się, zbladł.

— Jestem lekarzem prywatnego Pogotowia lekar-

skiego — rzekł — przed chwilą ledwo zostałem wezwany... —

Ludzie rozstąpili się. Ktoś powiedział głucho:

— Ah tak, a tamtych jeszcze niema... —

Lekarz poszedł naprzód, na czoło wystąpił mu pot. Dwóch sanitariuszów tuż obok ustawiło nosze. Założyli prowizoryczny opatrunek. Teraz zobaczyli wyraźnie, że w krwawej masie był jeszcze kształt ludzkiego łokcia.

Ktoś chciał jeszcze podejść do noszów, pożegnać się, ale już powieki rannego ciężko, bez jednej myśli o tych, co tu byli, a może o wszystkim, co było, leżały na oczach. Jeszcze na brwiach, na rzęsach osiadły leżał nonplusowy pył.

Już na górze drzwi hali otwierały się co chwila, ludzie pospiesznie wracali do roboty. Nosze powoli, stopień po stopniu wędrowały wdół.

— Przyczem to się stało? — spytał lekarz, układając w teczce narzędzia.

Młody Sitarski jeszcze stał obok: — Pas nakładał — objaśnił.

— Ciągle przy pasach — rzekł lekarz, kiwając głową—mało się ostrzega, żeby nie nakładać w biegu?—

— A jak nakładać? — spytał Sitarski.

— Chyba są jakieś narzędzia — rzekł lekarz.

— Może i są — rzekła stara Pawlakowa — ale my nie słyszeli. Zawsze i wszędzie tak się kładzie, nie inaczej. A jak się komu co stanie to już los. Jak kto

przyczem robi, to i od tego żyje i od tego umrzeć może. —

— Sto procent niezdolności do pracy — powiedział lekarz, już schodząc, a oni prędko wracając na górę po splamionych krwią stopniach, obliczali po swojemu: dwie trzecie tego, co zarabiał. Jeżeli przyznają... —

Już nad swoją maszynę zasiadając, stary Pawlak przekrzyczał jej szum:

— Może to i nienajgorzej, a jakby zredukowali całkiem... —

Odkrzyknęli poprzez turkot z paru stron: — Co wy też. A ręka. —

Julka słowami plakatu pomyślała o rencie i kalcie, ale to było za długie na krzyczenie przez maszynę. A co też znaczyły te grosze, na co mogły starczyć. Ale stary Pawlak, który dobrze wiedział, że prędko go już tu nie będzie, bo dziesięciu młodych na jego miejsce mogli mieć, kiwał ponuro głową przy swoim:

— A co za skarb wielki ludzka ręka? —

Stary Kulesza z Mundkiem zmyli co trzeba i zabrali się jeszcze raz tego dnia szorować schody. Na dole przed bramą drugi raz zagrała jękliwa trąbka. Pogotowie. Ale wzięli mu prywatne — myśleli z dumą nonplusowi ludzie. Takie było niesłychane zdarzenie tego dnia, równie mocno w pamięci zostające, jak to, co się stało Urbańskiemu.

Już ta niezwykła, niesłyszana na fabryce nowość miała zostać między ludźmi.

— Żeby tu Stefan dziś był — myślała Julka. Odwracała oczy, bo zachodziły wciąż łzami. Potem łzy zaczęły obsychać, bo nie było na nie czasu. Raz, dwa nakładało się. Wirówki zgrzytliwie wycinały zęby w grzebykach i szczękały przesuwaczami.

Taki był ciąg ludzkich spraw. Poszedł Dolis, był jeszcze Stefan, a choć Stefana na fabryce zabrakło, Feliks Zając dziś na jego miejsce jakgdyby wszedł i jego słowami mówił. Przyszło to Julce na myśl kiedy pomyślała o tem, jak opowie Stefanowi i urwało się, bo trzeba było raz, dwa wyjąć grzebyki.

Jeden po drugim z pełnej garści nakładała świeże, równo obcięte kawałki rogu.

Ostrza ze zgrzytem wrzynały w twardą masę. Naprawo stała szczerbata Józia Olszewska i co chwilę wdychała żałośnie, na lewo poza Sikorzanką był szereg fajlarek.

Ludzie siedzieli zgarbieni nad turkoczącymi kółkami, w ich palcach nad kamieniem migotały, furcząc, duże grzebienie jak żółte błyskawice.

— Julka starała się nie patrzeć w tę stronę. Żeby nie widzieć pustego miejsca przy trzecim kole od okna. Wyrastały tam z niego okrągłe plecy Urbańskiego, jak się uśmiechał, przechodząc obok niej w południe i krwawa miazga która leżała tam później. I obwisłe wąsy nad wargami czarnymi jak żelazo.

Przypierała myśl do czegoś innego. Jak ludzie kamieniem stali, czekając na doktora, jak się nikt nie ruszał. O tem chciała myśleć, co mocne, silne i niestrasne, żeby się urodziło bez czerwonych znamion

krwi i bez czarnych znamion strachu, żeby urosło silne, mocne i niebojące się.

Roboczy dzień szedł ku końcowi. Słońce zaczęło wędrować w górę po szybkach, z hali znikła złoć. Jeszcze tylko spiekotą i potem czuło się lato.

Młody Sitarski, który robił przy oknie, wyjrzał na moment:

— Ludzie stoją koło furty i patrzą tu — rzekł:

Ale inni lepiąc się gorącym potem, ledwo słuchali, schyleni nad robotą i w zaciętem milczeniu odrabiali stracone tuziny.

Już przestali powtarzać nazwisko Urbańskiego, już nazwisko to, opuściwszy halę fabryczną, przeszło dalej, nadół do biura.

Tam je przepisywano czysto, porządnie na czterech formularzach doniesienia o wypadku.

Panny szeptały: — Dyrektor okropnie zdenerwowany dziś. —

— Ludzie nie chcieli przystąpić do pracy, dopóki nie było lekarza... —

— Oburzające z tem pogotowiem... —

— Ale przecież dyrektor tu niewinien... —

— Ostatecznie nic się nie stało, już pracują. Dyrektor jest taki nerwowo. —

— Od wtedy, wiecie, od wtedy... —

Przez otwarte okno i przestrzeń podwórza zdalaka Nonplus dyszał, szumiał i drżał ruchem maszyn.

— Który to Urbański? —

— Z wąsami, starszy... —

— Nie wiem, ale tyle dzieci ma podobno. —

Maszyna do pisania dzwoni i stuka: Rat, rat, rat...

Wałek się obraca, arkusz wyjęty. Stempel przedsiębiorstwa, podpis przedsiębiorcy, formularze do wysłania.

Nazwisko Urbańskiego idzie dalej. Już wyszło z hali, gdzie było żywym człowiekiem, przepłynęło biuro, gdzie tylko istniało jako zatarta, dwuwymiarowa sylwetka starego, wąsatego chłopca. Płynie dalej. Do wielkich arkuszy, ksiąg zamkniętych w biurach. Już nawet nie jest nazwiskiem. Jest cyfrą. Podsumowana z innymi daje wynik:

→ Codzień w kraju ginie przy pracy trzech ludzi. —

A niżej: — Ciężko pokaleczonych jest sześćdziesięciu.

I jeszcze niżej w odgradzonej czarną granicą linii kratce: — Corocznie ginie przy pracy tysiąc pięćdziesiąt ludzi... ciężko pokaleczonych jest dziewiętnaście tysięcy.

...Suma pod czysto przepisana kolumną grubo podkreślona.

I już niema Urbańskiego. Wmieszał się, utonął w dziewiętnastu tysiącach innych, on i jego chuda, wysoka żona i jego dzieci, ile ich tam jest...

Na ulicy przed żelazną furtą z grubemi, złotemi literami u szczytu, stoją ludzie. Trochę dorosłych, więcej dzieci. Zaglądają. Po sąsiednich ulicach krążą niepewne, niesprawdzone pogłoski.

Było tak: ludzie kręcili się na ulicy po cieniejszej stronie. Przecież to lato.

Na Częstochowskiej wyzwoliły się spod wiecznego błota kocie łby, szare, rude i czarne. Lato wzbilo się wysoko pod bure od fabrycznych dymów niebo kłębamii gęstego kurzu, ożywiło uliczkę stukotem kół wozów i wrzaskliwemi trąbkami aut.

Ale nigdy nie było ich przecież tyle jak tego dnia.

Pierwsze dzieciaki puściły się w cwał za jasną, wielką karetką Pogotowia, która jechała, płacząc żalosną trąbką.

Dzieciaki pędziły dysząc, bosc stopy klaskały o bruk. Zdaleka zobaczyły, że skręca w Częstochowską. A kiedy zmordowane przystanęły na rogu, widziały, że karetka stoi przed Nonplusem, ale stamtąd, nim zdążyły dobiec, wniesiono tajemnicę do auta, zatrzaśnięto drzwi.

Auto nawróciło, trąbiąc, podskakując, nakryło dzieci gryzącą do łez szarą chmurą i ruszyło w dal niewidzialnych ulic.

Nim się rozczarowane dzieci wydostały z Częstochowskiej, zatrąbiła po niej, krzykliwa, doniosła trąbka. Nadjeżdżała druga karetka.

Wtedy dorośli bezrobotni i nawet niektórzy zajęci, pospieszili w tamtą stronę, podeszli pod sam Nonplus.

Druga karetka stała chwilę. Człowiek, który z niej wysiadł, zapisywał coś długo na kartce. Sam dyrektor rozmawiał z nim. Potem odjechali z niczem.

Ludzie nie ruszali się spod Nonplusu, niektórzy

zbliżyli się pod samą furkę i przestąpili nowy, dziś dopiero położony, kamienny fliz.

Słyszeł tylko głośny, turkoczący oddech Nonplusu, widzieli jak przez bramę wyjeżdżały taczki z pakami o błękitnych etykietach. Były w nich grzebyki, te same, które potem sprzedawali ślepi i widzący bezrobotni pod murami domów:

„Najlepsze rogowe, szyldkretowe, kieszonkowe, fryzjerskie, domowe...”

Stali długo, patrzyli, nie widzieli zmian.

Były gdzieś wewnątrz. Tam rosły, ukazywały się w nagłym wstrząsie, w rozdarciu i zdumiewały tych samych, w których powstawały, ale na codzień żyły niedostrzegalne, nawet wewnątrz mało komu wiadome i nie mierzyły się tem, kto stał przy maszynie, ani nawet tymi, którzy odchodzili stąd na zawsze.

Inne bowiem prawa, niż ludzkie życie i śmierć rządziły Nonplusem.

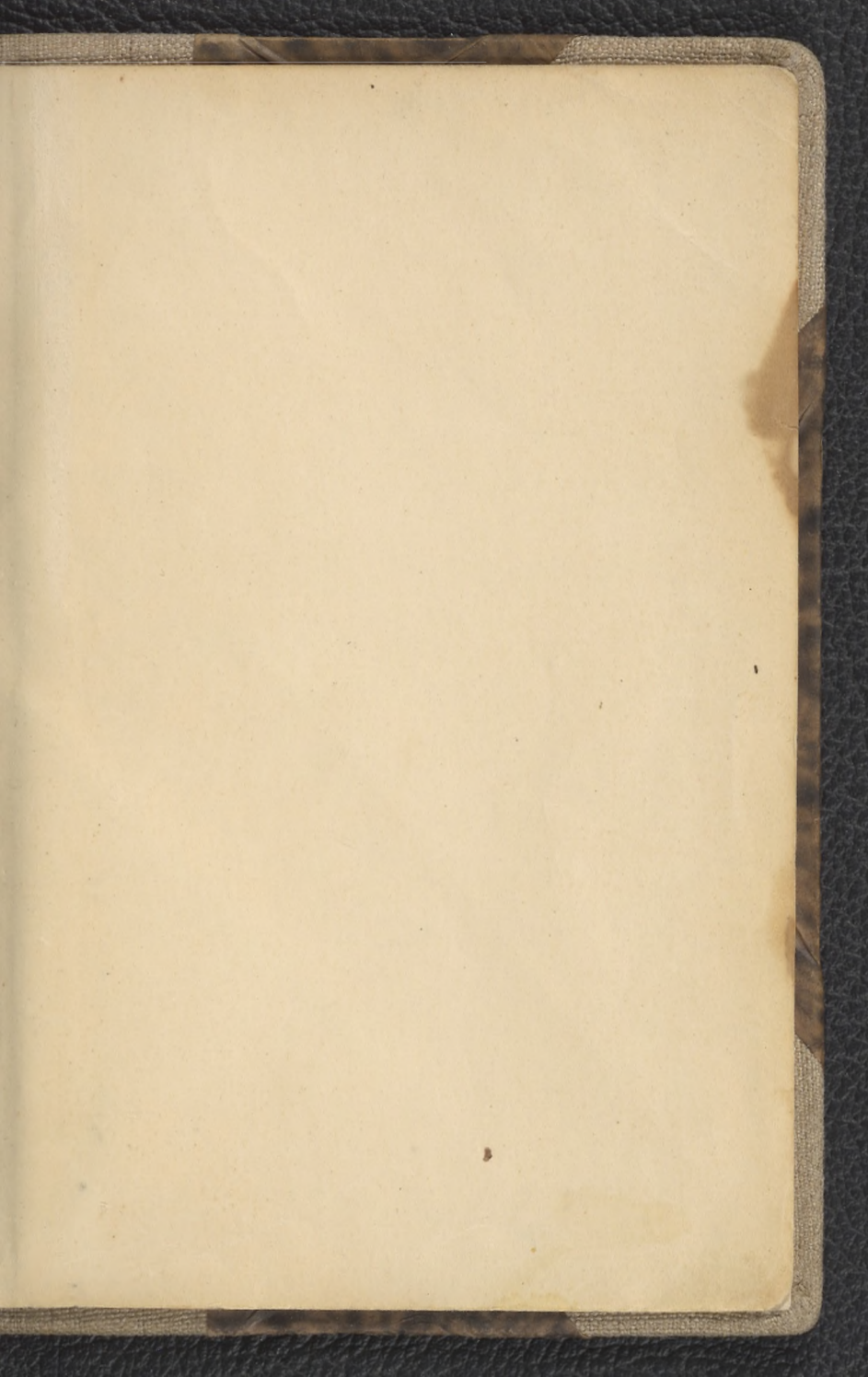
K O N I E C

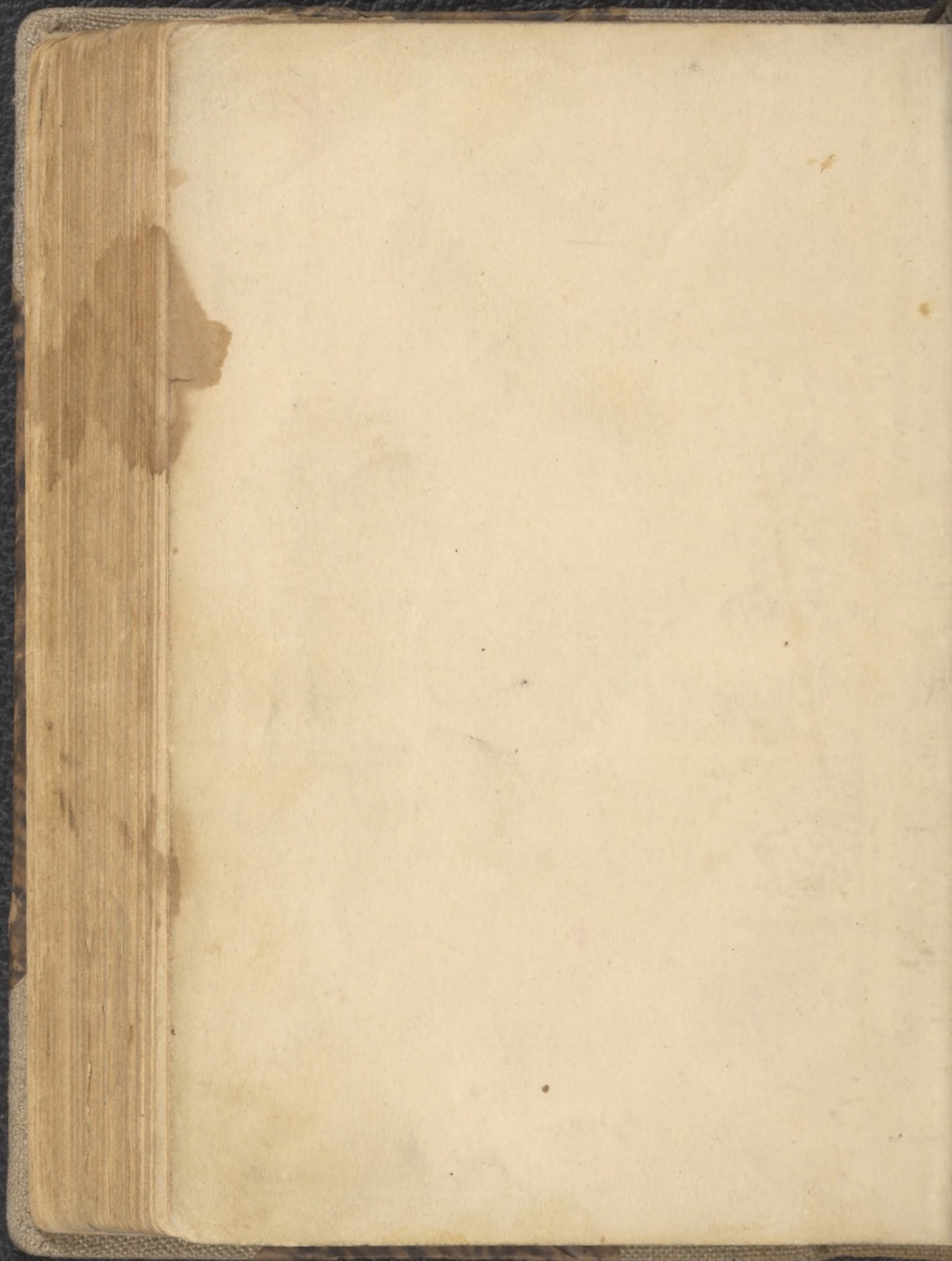


30.432



152





B-Ka Publ. mstr. W-wy.
14. V 02



238941

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001016541724